MYŚL NARODOWA



MIESIĘCZNIK.

Maj - Czerwiec 1916. Rok I. № 5—6.

PETROGRAD.

MYŚL NARODOWA

Maj — Czerwiec 1916.

Treść:

L'IDEE NATIONALE

Mai—Juin 1916.

Sommaire:

MYŚL NARODOWA

MIESIĘCZNIK

Maj—Czerwiec 1916 Rok I № 5—6

PETROGRAD.

Krzewicielce ducha narodowego

Almae Matri Jagellonicae

J. Talko-Hryncewicz.

Prof. Uniw. Jagiellońskiego.

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI.

(Z moich dawnych wspomnień).

Kiedy przed laty kilku prof. Stanisław Tarnowski opuszczał z powodu podeszłego wieku zajmowaną w Uniwersytecie Jagiellońskim katedrę, Uniwersytet żegnał go uroczystym obchodem. Ponieważ wielka sala w Collegium novum okazała się za małą, obchód urządzono w sali Starego teatru. Zebrali się tu profesorowie wszystkich wydziałów ze słuchaczami i liczni goście. Byli przedstawiciele władz autonomicznych galicyjskich i rządowych, delegaci różnych instytucyi i towarzystw narodowych z całej Polski, wreszcie literaci z Sienkiewiczem na czele. Uroczystość rozpoczął hr. Stürgkh, ówczesny minister wyznań i oświaty, który w tym celu przybył z Wiednia, odczytaniem reskryptu cesarskiego i złożeniem w imieniu Cesarza powinszowań jubilatowi. Po licznych adresach i mowach Tarnowski w odpowiedzi charakteryzował to stanowisko, jakie po długich latach opuszczał, i mówił, co go skłoniło do ubiegania się o nie. Ponieważ dziś dla Polaka — mówił jubilat — wszystkie drogi są zamknięte, wybrałem zawód, który mi pozwolił zostać przedewszystkiem polakiem, zawód niezależny, dlatego najzaszczytniejszy. Nauczać z katedry prastarej Wszechnicy Jagiellońskiej było szczytem moich marzeń w młodości, bo dało to możność, badając przeszłość, pracować dla przyszłości.

W słowach, wypowiedzianych wówczas przez Tarnowskiego, odczułem swe własne myśli. Urodzony na kresach, wychowany i pracujący w obcem środowisku, może dlatego własnie odczuwałem silniej urok wiedzy ojczystej i tę aureolę, jaką otoczoną była dla mnie Wszechnica Ja-

giellońska. W dzieciństwie jeszcze (w r. 1863) pamiętam starszą od siebie młodzież, która tam się uczyła, potem myśl moja często latała koło głównego ogniska naszej wiedzy, a choć drogi moje coraz bardziej oddalały mnie od niego, nie przestawałem wciąż interesować się jego życiem i rozwojem. Tylko po wielu latach i różnych kolejach losu, ze stepów mongolskich przywiodła mnie droga, ani zbyt łatwa, ani usłana różami do podwawelskiego grodu.

Otóż kiedy ani żądza sławy, ani zaszczytów lub karyery, która nie była nigdy celem mego życia i za młodu, nie mogą i dziś wchodzić w rachubę, chcę wypowiedzieć kilka myśli serdecznych mających związek z Uniwersytetem Jagiellońskim.

W latach 1872—1875 przebywałem na studyach medycyny w Kijowie. Była tam jeszcze świeża pamięć o Izydorze Kopernickim, dzielnym wychowańcu szkół i uniwersytetu w Kijowie, który następnie jako stypendysta rządowy zostaje lekarzem wojskowym, odbywa jako chirurg polowy kampanję sebastopolską, jest przy oblężeniu Sabastopola i Sylistryi; następnie zamieszkawszy w Kijowie, odrzuca świetną praktykę, jaką wówczas dla lekarzy przedstawiało to miasto, i zostając prosektorem anatomii przy uniwersytecie, oddaje się całkowicie nauce i ogłasza pierwsze prace antropologiczne w Rosyi. W roku 1863 Kopernicki podaje pomoc rannym w Lubelskiem, skąd emigruje zagranicę. Kilka lat tuła się po Europie, poświęca się studyom antropologicznym w Paryżu, tam nostryfikuje swój dyplom lekarski, następnie przebywa w Serbii i Bułgaryi, skąd otrzymuje zaszczytne wezwanie do urządzenia zakładu anatomicznego w Bukareszcie; wreszcie, zatęskniwszy za krajem, przenosi się do Krakowa, nostryfikuje po raz trzeci swój dyplom lekarski i habilituje się jako docent antropologii. Kopernicki posiadł już wówczas szeroką sławę europejską w świecie naukowym, a osoba jego w nas, słuchaczach uniwersytetu, wzbudzała wielkie uznanie i szacunek. Od tego czasu zainteresował mnie Kraków, a raczej jego Uniwersytet, będący jakby świetną spuścizną Polski epoki humanizmu XV i XVI w., tej Polski, której przeszłość przedstawia się w takim majestacie, że na wspomnienie jej wielkości serca mocniej uderzają w potomnych. Silnie pociągała mnie ku sobie odradzająca się z gruzów prastara Szkoła Jagiellońska, żywo interesowały jej losy i rozwój, a pierwszy mój przyjazd do Krakowa wypadł w r. 1876

po skończeniu uniwersytetu, kiedy na dłuższy czas dla dalszych studyów lekarskich udałem się dalej zagranicę.

Smutny obraz przed laty czterdziestu przedstawiał Kraków, przypominający czasy po upadku Rzeczypospolitej z tą chyba tylko różnicą, że nie był tak wyludniony jak wówczas, gdy miał 9 tysięcy ludności. Główny Rynek przepiękny, unikat w Europie, ów świadek wielkości i potęgi narodu, miał wygląd opłakany, a przez swe zanieczyszczenie przedstawiał jakby wielkie śmietnisko, po którem chodziło bezkarnie bydło i nierogacizna. Dokoła ruin Sukiennic bez dachu i okien, w których wróble, wrony i gołębie zwijały swe gniazda, roztaczały się stragany kupczących. Nie mniej smutnie wyglądała katedra wawelska z zamkiem, stare kościoły, gmachy publiczne i pałace, owe stylowe pomniki historyczne. Jeden z ówczesnych korespondentów pism rosyjskich, opowiadając swe wrażenia z Krakowa, obraz ten smutny dopełniał postaciami obdartego w kierezyi Krakusa, przesuwającego się po rynku księdza z różańcem w ręku, lub żyda pejsatego w chałacie, na których z dumą i pogardą spoglądał szlachcic rozparty w powozie. Widok krakowskiego rynku według autora miał odzwierciadlać przeszłość upadającej Polski i stan jej dzisiejszy.

Upadku miasta nie mógł nie odczuć Uniwersytet z omszałymi, pokrytymi patyną gmachami, w których uczyli się i nauczali: Kopernik, Syreniusz, Viteliusz, Głogowczyk i tylu innych. Ubogie aule z odrapanemi ścianami, zniszczonemi ławkami i stołami smutne nasuwały rozmyślania. Podczas wykładu jednego z najbardziej lubianych profesorów były wypadki, że po sali przechadzało się ptactwo domowe. Takie to porządki jeszcze panowały w dźwigającej się z upadku Szkole Jagiellońskiej w drugiej połowie XIX wieku. — A jednak nie przeszkodziło to temu, że wkrótce potem w skromnem laboratoryum Collegium physicum Wróblewski z Olszewskim przy skromnych środkach dokonali wszechświatowego odkrycia skroplenia gazów. Takie to wrażenie wyniosłem z pierwszego mego pobytu w Krakowie w r. 1876.

Wróciwszy z zagranicy, długie lata zamieszkiwałem na Ukrainie. Przeszłość kraju tego zaczęła mię nęcić ku sobie. Gdybym nie był z zawodu lekarzem, prawdopodobnie zajęłyby mnie bardziej historya i stare archiwa, lecz jako zbliżonego do przyrody, zajął mnie więcej człowiek z jego przeszłością i kulturą, i w tym zakresie rozpocząłem badania. Pierwsze prace moje były drukowane

w wydawnictwie Akademii Umiejętności, a lekarskie w Przeglądzie lekarskim (krakowskim) i ten stosunek przetrwał szereg lat pomimo zmieniających się wciąż ludzi, stojących na czele tych instytucyi i wydawnictw. Po pierwszych pracach moich z dziedziny antropologii, Kopernicki, będący już profesorem tytularnym w r. 1889, gorąco namawiał mnie do przeniesienia się do Krakowa, nostryfikacyi dyplomu i habilitowania się na docenta antropologii, będąc pewnym, że w przyszłości antropologia zajmie miejsce bardziej poczesne w rzędzie nauki stanie się konieczną dla wykształcenia lekarza i przyrodnika. Niestety, nie mogłem wówczas urzeczywistnieć tak ponętnej dla mnie propozycyi. Interesy moje zmuszały mnie do opuszczenia Ukrainy i zrobienia wyboru, albo udając się na bardziej zyskowną posadę do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, lub na Syberyę, gdzie mnie więcej pociągały studya antropologiczne, mogące bardziej wyświetlić antropologię słowian. Wybrałem więc tę ostatnią podróż i w r. 1891 wraz z żoną udałem się na Wschód daleki. Na wyjezdnem prawie otrzymałem list Kopernickiego, drżącą ręką na kilka dni przed śmiercią pisany, w którym ze smutkiem żegna mnie, czując swój zgon blizki i bolejąc nad tem, że nadzieja widzenia mnie w Krakowie zawiodła i że kraj opuszczałem na zawsze. Chociaż nadzieję dostania się do Krakowa realnie uważać musiałem za pogrzebaną, jednak jakaś iskierka nadziei wciąż tliła w mych piersiach przez długie lata, że chyba na starość wrócę do kraju, a uosobieniem jego był Kraków ze swoją Wszechnicą. Nadzieja powrotu wciąż mi przyświecała w ciągu badań chińczyków, buriatów i mongołów, lub owych wymarłych ludów których kości spoczywały w starożytnych kiereksurach[1]). Prawie przez 6 lat wydział lekarski, a następnie filozoficzny kołatał, domagając się u ministeryum w Wiedniu stworzenia stałej katedry antropologii, co przedstawiało niemałe trudności wobec znacznych wydatków, tem więcej, że katedry oddzielnej tego przedmiotu wówczas nie posiadał ani Wiedeń, ani żaden z uniwersytetów austryackich.

Nakoniec w r. 1908 ziściło się marzenie moich lat młodych i gorące życzenie ś. p. Kopernickiego. Ofiarowano mi katedrę antropologii, którą objąłem w szczęśliwszych niż mój poprzednik warunkach, gdyż z pewnem uposażeniem. Wkrótce otrzymałem zakład ze stałą

---

[1]) Nazwa mogił dawnych w miejscowej mowie.

odpowiednią dotacją, którego podstawą stały się zbiory Kopernickiego, przekazane przyszłemu zakładowi, moje i złożone w depozycie przez Akademię Umiejętności. W ten sposób, dzięki senatowi akademickiemu Uniwersytetu Jagiellońskiego, otrzymałem warsztat pracy dla siebie i dla uczniów na 1-szem piętrze stylowego, najstarszego budynku uniwersyteckiego Collegium juridicum, nabytego przez Uniwersytet w r. 1400 od kanonika krakowskiego Jana z Rzeszowa za klejnoty, ofiarowane przez królową Jadwigę. Lokal zakładu posiada historyczną wielką aulę, w której się odbywały większe uroczystości i przez wieków kilka promocye doktorskie i dysputy.

Dziś, po latach czterdziestu, rozszerzył swe granice stary Kraków i podźwignął się z upadku. Powstały nowe części miasta. W śródmieściu uporządkowano wiele ulic, zadrzewiono place, rozrosły się kasztany na pięknych plantach, odnowiono wspaniałe Sukiennice z pamiątkową wewnętrzną halą handlową, udekorowaną herbami miast i województw dawnej Polski. Podźwignięto z ruin katedrę i uporządkowano groby królewskie, Zamek na Wawelu w części odrestaurowano; powstał nowy gmach teatru miejskiego, przerobiono teatr stary. Odnowiono gruntownie wiele kościołów i dużo gmachów publicznych, pałaców i zabytków historycznych z pietyzmem, przynoszących cześć współczesnemu pokoleniu.

Cóż mówić o rozwoju życia duchowego w prastarej stolicy w ciągu tego okresu. Zaroiło się od szkół elementarnych, niższych i średnich. Popowstawały muzea, przeróżne towarzystwa naukowe, społeczne, dobroczynne i przemysłowe. Ponad wszystkiem jednak góruje Uniwersytet, chluba miasta, nęcący ku sobie młodzież ze wszystkich dzielnic Polski.

Nie mówiąc już o znacznie zwiększonej ilości słuchaczy, z kilkuset wzrosłej do 4 tysięcy w latach ostatnich przed wojną, produkcya naukowa Uniwersytetu z powstaniem nowych katedr i docentur powiększyła się jeszcze więcej. Stare budynki podźwignęły się z upadku i powyrastały nowe gmachy dla przeróżnych działów wiedzy zgodnie ze współczesnemi wymaganiami czasu i potrzebami nauki. Zbudowano gmachy: Collegium novum, Collegium physicum im. prof. Witkowskiego, studyum rolnicze, zakład weterynaryjny, klinikę psychiatryczną i t. p. Niektóre z tych gmachów już są zbyt szczupłe, nie były bowiem obliczone na tak znaczną ilość słuchaczów. W przededniu wojny miała rozpocząć się budowa nowych

klinik, zakładu chemicznego i innych. W tym też czasie zamierzano przystąpić do budowy nowego specyalnego zakładu Akademii Górniczej, któraby nietylko znacznie posunęła naprzód wiedzę, ale też przyczyniła się do wychowania fachowców dla eksploatacyi bogactw krajowych, których pokłady ziemne podchodzą aż pod sam Kraków, mogący stać się w przyszłości stolicą przemysłu wielkiego węglowego.

Nic też dziwnego, że los wciąż bardziej rozkwitającego w XX w. Krakowa z jego polską Wszechnicą, odpowiadającą najwyższemu poziomowi wiedzy europejskiej, zaniepokoił nasz naród, kiedy przez czas długi okropności wojny zagrażały istnieniu starej stolicy; straszną trwogę przeżywaliśmy wszyscy, jak profesorowie, tak i słuchacze prastarej Szkoły, rozproszeni obecnie niemal po całej Europie. Ocalał! i ciężar przygniatający spadł z piersi naszych.

Podobnie, jak niezłomnie wierzymy w siłę narodu naszego, który wszelkie ciosy przetrwa zwycięsko, tak również wierzymy w to, że Uniwersytet Jagielloński po pięciu i pół wiekach istnienia zapłonie blaskiem jeszcze silniejszym, przyświecając narodowi w jego pochodzie cywilizacyjnym.

W. Porzeziński.

Prof. Uniw. Moskiewskiego.

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI A GWAROZNAWSTWO POLSKIE.

Językoznawstwo porównawcze bada języki pojedyńcze, uwzględniając w miarę możności wszystkie odmiany, wszystkie t. zw. dyalekty lub narzecza. Wiemy zbyt dobrze, że dyalekt literacki, czyli mowa kultularna, nie jest jedyną formą języka, posiadającego już pewną ustaloną tradycyę w piśmiennictwie lub literaturze ustnej, niepiśmiennej, wiemy, że pozatem istnieją liczne odcienia mowy ludowej, ba, nawet język tradycyjny sfer wykształconych nie jest jednolity w zupełności, ponieważ zachodzą tu nieraz znaczne różnice, a więc, poddając język badaniom naukowym, powinniśmy, jak zaznaczyłem na wstępie, rozpatrywać wszystkie objawy różniczkowania danego obszaru językowego. Bezpowrotnie minęły czasy, gdy narzecza ludowe lub wogóle wszelkie oznaki niejednolitości traktowano jako spaczenie postaci językowej, uświęconej tradycyą lub uznaniem powszechnem, nie rozumiano bowiem istoty tego zjawiska, naturalnego i nieuniknionego, a spodowanego różniczkowaniem w łonie społeczeństwa, mówiącego tym samym językiem, który przybiera pewne cechy właściwe w zakresie każdego odłamu czyli części składowej narodu. Nawet osoby pojedyńcze mają swoje właściwości językowe, chociażby minimalne co do ilości i jakości, jednak z konieczności uwzględniamy przedewszystkiem grupy większe i dopiero na tem tle kreślimy rysunek szczegółowy, biorąc pod uwagę jednostki, rodziny i t. d. Wobec tego, że jednolitość języka daje się zachować tylko pod warunkiem stałego obcowania wzajemnego jednostek, wszelkie w tem utrudnienia i przerwy, wszelkie różniczkowanie w jakimbądź

kierunku powodują rozszczepienie językowe. Oto mamy gwary ludowe w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, gwary stanowe, zawodowe, różnice w dyalekcie kulturalnym i t. p. Z biegiem czasu w warunkach sprzyjających różniczkowanie może się posunąć o tyle, że gwary pojedyńcze, coraz bardziej wzajemnie się oddalając, przemieniają się w języki samodzielne. Tym dążeniom odśrodkowym przeciwstawia życie narodowe siłę dośrodkową w postaci języka tradycyjnego (piśmiennego lub ustnego), będącego poniekąd wykładnikiem jedności kulturalnej w obrębie danych granic, chociaż jego jednolitość nawet pod powłoką pisowni konwencyonalnej jest raczej ideałem niż rzeczywistością.

Tego, co powiedziałem, chyba wystarczy na udowodnienie konieczności badania wszystkich odcieni gwarowych, istniejących poza językiem literackim, oraz wszelkich jego odmian, albowiem tylko w ten sposób możemy się zbliżyć do celu, którym jest odtworzenie całokształtu dziejów języka w rozwoju kulturalnym.

Celowe badanie polskich gwar ludowych datuje dopiero od początku ostatniego trzydziestolecia w. XIX: w r. 1872 ukazała się w języku niemieckim lipska rozprawa doktorska ś. p. Lucyana Malinowskiego. „Beiträge zur slavischen Dialektologie. I. Reber die Oppelnsche Mundart in Obernschlesie“. W tym dziele autor podał w opracowaniu należytem część wyników kilkumiesięcznej podróży naukowej po Śląsku, odbytej w r. 1869, dając zarazem wzór szkicu dyalektycznego w zakresie wymagań wiedzy ówczesnej. W dalszym ciągu swej działalności, po objęciu (w r. 1877) katedry w Uniwersytecie Krakowskim, prof. L. Malinowski zasłużył się dobrze nam i ojczyźnie, zachęcając przykładem i wpływem osobistym do badań gwarowych. Pod jego znakiem rozwijało się gwaroznawstwo polskie mniej więcej w ciągu lat dwudziestu, ponieważ szkice dyalektyczne w tym okresie pochodzą albo od jego uczniów bezpośrednich lub od uczonych, którzy się wzorowali na pracy L. Malinowskiego i pracach jego szkoły krakowskiej. Za małymi wyjątkami te studya i przyczynki ujrzały światło dzienne w wydawnictwach Akademii Umiejętności w Krakowie, której się należy uznanie najwyższe za popieranie badań gwaroznawczych.

Dość znaczny ruch na polu ludoznawstwa polskiego w ostatnich dziesięcioleciach w. XIX, którego głównym krzewicielem był ś. p. J. Karłowicz a środowiskiem

głównem przez szereg lat prowadzona przez niego „Wisła“, dorzucił niejedno do pracy zbiorowej językoznawców polskich, zainaugurowanej przez L. Malinowskiego. Jednak stosunkowo niewielki był plon z tej niwy, ponieważ notatki i zapiski folklorystyczne, robione przez osoby, nie posiadające odpowiedniego przygotowania w zakresie językoznawstwa, nieraz są pozbawione wartości jako materyał dyalektologiczny. Stosunkowo najlepiej wyszło przy tem słownictwo, chociaż niejedno wymaga w tych zbiorach poprawek i uzupełnienia. Z tego powodu pomnikowa praca O. Kolberga „Lud“, która swoim początkiem sięga połowy w. XIX, albowiem jej pierwszy tom ukazał się w r. 1857, a zawiera obfity zbiór folkloru polskiego, nie może służyć jako postawa dla ścisłych badań językowych, tyczących się strony zewnętrznej naszej mowy ludowej.

Szkoła gwaroznawstwa polskiego, której kierownikiem był L. Malinowski, chlubnie spełniła swe zadanie, jednak szybki wzrost językoznawstwa w ostatniem dwudziestoleciu w. XIX wymagał dalszego rozwoju oraz pewnych zmian w metodzie badania, jakoteż w sposobie opracowania materyałów zebranych. Nowy okres w dziejach tej gałęzi studyów polonistycznych jest wynikiem ruchu na polu językoznawstwa w prastarej Wszechnicy Jagiellońskiej, który zawdzięczamy przedewszystkiem J. Baudouinowi de Courtenay i J. Rozwadowskiemu oraz ich uczniom i naśladowcom. Prof. J. Baudouin de Courtenay, wychowaniec Warszawskiej Szkoły Głównej, gdzie też się uczył prof.. L. Malinowski, przeniósł się do Krakowa w r. 1893 po skończonych 20 latach służby profesorskiej w Kazaniu i Jurjewie (Dorpacie). Niestety w r. 1900 znakomity uczony opuścił katedrę krakowską z powodów od niego niezależnych i znowu powrócił do Rosyi jako prof. uniwersytetu petrogradzkiego. Szczęśliwie się złożyło, że po jego ustąpieniu studya językoznawcze miały w dalszym ciągu odpowiedniego kierownika, albowiem J. Rozwadowski, który został mianowany profesorem jeszcze przed r. 1900, zalicza się do szeregu wybitniejszych badaczy języka doby teraźniejszej. Niebawem utworzyło się kółko uczonych młodszej generacyi, którzy wyzyskali należycie świetne kierownictwo w zakresie językoznawstwa, a w filologii polskiej mieli od r. 1902 takiego przewodnika, jakim jest prof. J. Łoś. W ten sposób powstała nowa szkoła gwaroznawstwa polskiego, pozostająca podobnie do swojej poprzedniczki w ścisłym związku z Uniwerstetem Krakowskim.

Organem nowej szkoły gwaroznawczej są „Materyały i prace komisyi językowej Akademii Umiejętności w Krakowie“, których zeszyt I ukazał się w r. 1901. Z prac tu umieszczonych dwie mają znaczenie zasadnicze, mianowicie „Szkic wymowy (fonetyki) polskiej“ przez J. Rozwadowskiego i „Wskazówki dla zapisujących materyały gwarowe na obszarze językowym polskim“ pióra J. Baudouina de Courtenay. Ścisły opis fonetycznego systemu polskiego na podstawie wymowy klas wykształconych zachodniej Galicyi, podany przez wytrawnego badacza, mającego odpowiednie przygotowanie fachowe i dobre ucho, co stanowi warunek niezbędny dla studyów fonetycznych, jest naogół pierwszym szkicem naukowym tego rodzaju w zakresie naszego języka. Badacze poprzedni traktowali ten przedmiot ogólnikowo, a stosownie do wymagań ówczesnych poprzestawali niemal wyłącznie na określaniu wartości akustycznej dźwięków, dopiero po pracach fonetyków angielskich oraz idącego w ich ślady lipskiego profesora Sieversa zaczęto poddawać wymowę ścisłej obserwacyi i analizie z punktu widzenia fizyologicznego. Fonetyka nowoczesna nie zadawala się samą stroną akustyczną języka, nie poprzestaje na pilnem się wsłuchiwaniu, lecz udaje się do sprawdzania roli, jaką odgrywają poszczególne narzędzia mówne przy wydobywaniu każdego dźwięku lub grupy każdej dźwięków. Uczeni nawet używają nieraz bardzo pomysłowych środków, żeby oddać rzuty aparatu głosowego widomymi znakami w postaci rozmaitych krzywych, które kreśli przyrząd specjalny, używany przez fizyologów, gdy go połączymy za pomocą narzędzi dodatkowych z jamą ustną. Metodę tych badań udoskonalił słynny fonetyk francuski ks. Rousselot.

Jak nadmieniłem wyżej, szkic J. Rozwadowskiego był pierwszą próbą systematyczną ścisłego określenia wymowy polskiej z punktu widzenia fizyologicznego; chociaż autor uwzględnił tylko język klas wykształconych Galicyi, jednak jego praca stworzyła podłoże dla wszystkich badań gwaroznawczych, ponieważ zaznajamia z systemem dźwięków języka polskiego w postaci literackiej, będąc zarazem niby wstępem do studyów nad stroną fonetyczną narzeczy ludowych oraz innych odcieni wymowy kulturalnej. Pozatem szkic J. Rozwadowskiego ma doniosłe znaczenie dla slawistów i językoznawców, którym przedstawił w ścisłem opracowaniu rozdział fonetyki słowiańskiej, tyczący się polszczyzny, z taką dokładnością, jakiej w r. 1901 brakowało wielu innym rozdziałom. Prace

J. Baudouina de Courtenay, T. Benniego, J. Steina i K. Nitscha, drukowane w organie gwaroznawstwa krakowskiego, są dowodem żywego zainteresowania sprawą, poruszoną w szkicu wspomnianym; w tej pracy zbiorowej wiele zagadnień już rozstrzygnięto i uzupełniono częściowo niektóre luki; naprzykład, chociaż nie mamy jeszcze całkowitego opisu wymowy kulturalnej warszawskiej, jednak pewne jej właściwości już zostały uwydatnione. [1]

Obok zwrotu w kierunku ściślejszego określania wymowy na podstawie badań strony fizyologicznej uległ zmianie w porównaniu zeszkołą Malinowskiego sam system i zbierania i opracowania materyału. Dawna szkoła krakowska zwracała uwagę przedewszystkiem na opis monograficzny jednej gwary; najlepiej wyszła pod tym względem mowa ludu naszego w Galicyi. Nowe gwaroznawstwo nie zaniedbywa bynajmniej tego sposobu, jednak wzięło się do badania większych obszarów ziemi polskiej oraz do syntezy i połączenia wywodów dyalektologyi z historyą języka polskiego na tle dziejów narodu. Liczne prace najlepszego w dobie obecnej znawcy mowy ludu naszego, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego K. Nitscha, oparte na wynikach kilku większych i pomniejszych podróży naukowych, należą do celniejszych studyów tego rodzaju w literaturze europejskiej. Jego sprężystości zawdzięczamy w znacznej mierze postęp w zakresie umiłowanej przez niego gałęzi polonistyki, jego zasługa, że gwaroznawstwo nasze wkroczyło na drogę systematycznego zbadania poszczególnych dzielnic ziemi naszej, zbierając plon obfity, którego nam mogą pozazdrościć narody, bogatsze od nas w środki i ogniska naukowe. W r. 1910 Nitsch ogłosił „Próbę ugrupowania gwar polskich“. (Rozprawy wydziału filologicznego Akad. Umiejętności); dołączona do tej pracy mapa uwidocznia w sposób nader przejrzysty wywody autora, umieszczone w tekście tej acz niewielkiej co do liczby stron, lecz bardzo cennej rozprawy. Szczęśliwy pomysł miał zasłużony badacz, gdy

---

[1]) Por. jeszcze analizę samogłosek polskich T. Benniego w „Pracach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego“ („Samogłoski nosowe“, 1912). Najnowsza praca w zakresie fonetyki języków słowiańskich O. Brocha, która wyszła w języku rosyjskim jako zeszyt 5 „Encyklopedyi Słowiańskiej (Энциклопедія славянской хронологіи изд. Отдѣленія русскаго яз. и словесности Императорской Академіи Наукъ) oraz w przeróbce niemieckiej u Wintera w Heidelbergu, uwzględnia w szerokiej mierze prace uczonych polskich, przedewszystkiem J. Rozwadowskiego.

na wezwanie prof. Brunnera napisał w r. 1911 dla „Popularnej biblioteki przyrodniczej“ książeczkę p. t. „Mowa ludu polskiego“, zawierającą doskonały obraz gwar ludowych. Streszczając a zarazem uprzystępniając dla naszego ogółu wywody swoich prac specyalnych autor omawia kolejno cechy głosowe, morfologiczne, właściwości słownikowe oraz wpływy obce i wzajemne gwar na siebie, zaznajamia przytem czytelnika w rozdziałach pierwszym i ostatnim z kwestyami zasadniczemi, mianowicie z pojęciem o mowie ludowej, metodzie jej badań, ze stosunkiem do języka ogólnie naukowego i znaczeniem dla jego rozwoju i t. p. Rozdział czwarty zawiera: ugrupowanie gwar polskich, przedstawione na tle historycznem, oraz charakterystykę Kaszubszczyzny.

Łatwo zrozumieć, że stosunkowo młoda gałąź wiedzy, jaką jest gwaroznawstwo polskie, nie rozstrzygnęła wszystkich pytań dyalektologyi historycznej ani daje zadowalniającej odpowiedzi na wszystkie zagadnienia, tyczące się teraźniejszości, jednak powinniśmy podkreślić znaczny postęp w obudwu kierunkach, który zawdzięczamy naszej Szkole krakowskiej, przedewszystkiem prof. Nitschowi. Powinienem z największem uznaniem wspomnieć też o ściśle naukowem traktowaniu przedmiotu, albowiem wszędzie, nietylko w dziełach specyalnych, ale zarazem i we wspomnianym szkicu popularnym ukrywa się luk bądź w materyale, bądź w wywodach, przeciwnie, stale się na nie wskazuje, hypotezy podaje się tylko jako hypotezy. Ze wszelkiemi zastrzeżeniami co do zmian w pewnych punktach w zależności od dalszego postępu w zakresie badań gwaroznawczych możemy przyjąć na podstawie wywodów prof. Nitscha, że w mowie ludu polskiego przechowała się do dnia dzisiejszego pewna różnica między rdzenną Polską a obszarami skolonizowanymi w dobie późniejszej; pozatem istnieją pewne różnice językowe w prastarych krajach polskich. Mianowicie granica t. zw. mazurzenia, t. j. wymowy cz, sz, dż, ż, jak c, s, dz, z, zgadza się z dawną polityczną granicą między Wielkopolską a Śląskiem, Małopolską i Mazowszem, ponieważ nie można brać w rachubę ewentualnego przesunięcia tej granicy gwarowej na tak małej zresztą przestrzeni w jedną czy w drugą stronę. Wielkopolska, rdzenna ziemia nasza, leży poza granicami obszaru mazurzącego, jednak brak mazurzenia w tej dzielnicy ma przyczynę o charakterze odmiennym od tej, która spowodowała nie mazurzenie na Śląsku południowym. Mamy tu do czynienia z wpływem języka czeskiego; północna

część Śląska Górnego oraz resztki polszczyzny na Śląsku średnim należą do obszaru mazurzącego, do którego się zalicza kilka wsi pod Rawiczem (na południowej granicy Wielkopolski), przydzielonych do Wielkopolski w dobie późniejszej, szczątki innych właściwości śląskich świadczą wymownie o przynależności tej okolicy aż do w. XIV do Śląska. Pomijając drobniejsze szczegóły zaznaczę, że brak mazurzenia na północnym wschodzie w okolicy Sejn i w pasie pogranicznym z gwarami ruskiemi na wschód od Lublina i Rzeszowa jest wyraźnym znakiem pochodzenia tych gwar, pozostałych na krańcach Polski etnograficznej, gdzie się stykają Polacy z Białorusinami i Małorusinami. Trudniejszem jest określenie charakteru wpływów czeskich na Śląsku niemazurzącym; prof. Nitsch przypuszcza, że mamy do czynienia nie z późniejszym wytworem, lecz raczej z pozostałością od czasów prasłowiańskich, t. j. że wymowa cz, sz, dż, ż, nie uległa mazurzeniu pod wpływem czeskim. Nie posiadamy co prawda niezbitych dowodów którymi, byśmy mogli poprzeć tę hypotezę, jednak bądź co bądź powinniśmy zaznaczyć, że jej przyjęcie lub odrzucenie niewiele zmienia istotę rzeczy, natomiast zachodzi poważna trudność w zakresie drugiego pytania, albowiem jest faktem uderzającym brak mazurzenia w Wielkopolsce z Kujawami i ziemią Dobrzyńską, a więc rdzenna Polska była oddawna podzielona pod względem językowym na dwa obszary: niemazurzący i mazurzący, którego granice obejmują po części ziemie skolonizowane w dobie wcześniejszej. Ta różnica zasadnicza daje dużo do myślenia, że przyszłe badania może uchylą kiedyś przynajmniej rąbek zasłony, która spadła nad przeszłością przedhistoryczną. Wprawdzie prof. Nitsch ze wszelkiemi zastrzeżeniami przypuszcza dawną niejednolitość szczepową ludu polskiego, któraby usprawiedliwiała poniekąd podział ziemi naszej na dwie części, oraz mogłaby wytłumaczyć ostro zarysowaną różnicę pomiędzy ludnością ziemi Dobrzyńskiej, a Mazowszanami z tamtej strony Skrwy, odznaczającymi się wzrostem niższym od swoich sąsiadów.

Znamiennem jest znowu, że t. zw. *a* pochylone[1]) zachowały do dnia dzisiejszego kraje nasze odwieczne

---

1) T. zw. *a* pochylone lub ścieśnione wymawia się po większe części jak *o* (zło, ptok = zła, ptak), w pewnych gwarach jak *ou*; dawna wymowa jako głoski pośredniej między *a* a *o* przechowuje się też do dnia dzisiejszego naprzykład u Kurpiów, częściowo u Mazurów pruskich, na Warmii.

mianowicie Wielkopolska, Małopolska, Śląsk i blizkie Mazowsze. Natomiast brak tej wymowy, nieodróżnienia *a* czystego i dawniej pochylonego, znajdujemy w ziemiach, zamieszkanych niegdyś przez Prusaków (na północ od ziemi Chełmińsko-Dobrzyńskiej) i Jadźwingów (Podlasie); na wschodniem pograniczu Małopolski zanik *a* pochylonego jest tego samego pochodzenia, co brak w tym kraju mazurzenia. Jednak, jak zaznacza prof. Nitsch, między dwoma obszarami, nie mającymi *a* pochylonego, znajduje się trzeci, który je zachował (Kurpie, środkowa część Mazowsza pruskiego, Warmja z Ostródzkiem). „Możliwe, że w tych okolicach ludność pierwotna albo zupełnie wyginęła, albo napływ polski był prędszy i liczniejszy, a więc odporniejszy na językowe wpływy pruskie czy jadźwińskie albo... Nie znając szczegółowej historji osiedlenia tych krajów nic pewnego o tem powiedzieć nie można". Tyle prof. Nitsch. Trzeba mu przyznać słuszność: w chwili obecnej nic stanowczego powiedzieć nie możemy dla przyczyny przez niego wskazanej. Gwaroznawstwo polskie zaznaczyło fakt o doniosłem znaczeniu, dalsze badania nie tylko filologów, lecz zarazem i historyków powinno wskazać, czy się znajdzie kiedy rozwiązanie tego zagadnienia.

Punkt trzeci, na który chciałbym zwrócić uwagę, jest dzisiejsze rozmieszczenie wymowy *ę* zamiast *a* nosowego (litera *ą* oddaje dźwięk *o* nosowego wskutek tego, że w dawnej pisowni polskiej *a* oznaczało *a* pochylone, zbliżone do *o*, gdy *á* pisano na oznaczenie *a* czystego; jeżeli dla *a* nosowego, które znajduje się w gwarach ludowych, będziemy używali litery *ą*, ogólnopolskie *o* nosowe powinniśmy, stosując pisownie fonetyczną, oznaczać literą *o* z ogonkiem). Otóż cała Wielkopolska i Małopolska po Noteć i Wisłę (na południe od Krakowa jednak tylko po Myślenice) wymawia *ę*; gdy ziemie na północ od wskazanych granic za Kazimierza Wielkiego były pod władzą Krzyżaków a Śląsk był już odstąpiony, podgórze karpackie i Mazowsze stanowiły wtedy kraje półdzikie, a więc nic dziwnego, że według przypuszczeń prof. Nitscha wymowę *ę* znamionuje obszar intensywniejszego życia narodowego w epoce wielkiego króla. Gdy z prapolskiej nosówki, pośredniej co do dźwięku samogłoski między *e* i *a*, w jednych okolicach sią rozwijało *ę*, w drugich *ą*, to pierwsza wymowa ogarnęła zwarte terytoryum życia narodowego epoki ówczesnej; znowu łatwo zrozumiemy, dla czego kraje, do których intesywna kolonizacya skierowana była nieco później (część Prus Królewskich i Mazowsza,

pas podhalański), otrzymały ludność z wymową *ę*. Znamiennem jest, że Kurpie łączą się z Mazowszem pierwotnem nietylko zachowaniem *a* pochylonego, lecz zarazem i wymową *a* nowego zamiast ogólnopolskiego *ę*.

Nie będę tu wchodził w dalsze szczegóły, ani polemizował co do sposobu ujęcia pewnych zjawisk językowych, albowiem nie piszę rozprawy filologicznej, mam tylko na razie zamiar wskazać na ten kierunek, który odznacza nową szkołę krakowską, oraz podnieść jej niespożyte zasługi. Na zakończenie dodam jeszcze słów kilka. Gdy przeminie burza, co w dobie obecnej szaleje niemal w całej Europie i pustoszy ziemię naszą, gdy powrócimy do spokojnej pracy kulturalnej, nie zapominajmy o celowem badaniu gwar ludowych mowy naszej. Zapewne będziemy mieli przed sobą cały ogrom zadania, polegającego na dźwignięciu z ruin tego, co upadło od zbrojnej ręki wroga, oraz na stworzeniu twardego podłoża dla dalszego rozwoju ziemi naszej, jednak pomiędzy innemi nie możemy przejść do porządku dziennego nad gwaroznawstwem polskiem: jeżeli praca dla przyszłości, jak tego wszyscy gorąco pragniemy, ma być najwydajniejszą, powinniśmy dokładnie zdać sobie sprawę z tego, co było; cząstkę tej przeszłości wskażą nam połączone wysiłki filologów i historyków polskich.

J. Talko-Hryncewicz

Prof. Uniw. Jagiellońskiego.

CMENTARZYSKO w ŁANKISZKACH pod NACZĄ (pow. Lidzkiego, gub. Wileńskiej) z XV—XVII w. pod względem antropologicznym.

Kiedy przed laty przypadł mi zaszczyt urządzenia i otworzenia pierwszego zakładu antropologicznego naszej prastarej Almae Matris Jagiellonicae, pochłonął on mię całkowicie. Było moją ambicyą postawić zakład na poziomie współczesnej wiedzy, ażeby odpowiadał warunkom wszechstronnego wykształcenia antropologa. Przy małych środkach trzeba było ściągać zewsząd kolekcye w darach lub depozytach różnych instytucyi i osób prywatnych. Chodziło bowiem o to, ażeby zakład przedstawiał nie tylko ogólną wiedzę antropologiczną, lecz i tę odnoszącą się wyłącznie do naszego kraju, ażeby cudzoziemiec znalazł to, czego u siebie nie posiada; o kolekcyę, któraby dała obraz ludności naszej od czasów przedhistorycznych aż do współczesnych. Wiele, niestety, z moich dezyderatów nie mogło być tak łatwo uskutecznionych. Otrzymanie naprz. szkieletów litewskich okazało się wielce trudnem. Zdobyłem z jednego starego cmentarza z pod Wierzbołowa nad granicą pruską kilka czaszek z czasów wojen szwedzkich, problematycznie litewskich, natomiast z innego starego cmentarza w Maryampolskiem, na którym przeszło 50 lat nie chowano, starałem się posiąść nieco szczątek, lecz tych musiałem się wyrzec, poniósłszy wiele zachodów i kosztów, wobec sfanatyzowanych chłopów, którzy mnie zaskarżyli do władz o profanacyę ciał zmarłych; gdyby nie interwencya kolegów Litwinów mógłbym być narażony na jeszcze nieprzyjemniejsze następstwa. Nie dałem jednak za wygraną i za zdobyciem szczątków zwróciłem się w inną stronę, już na krańce etnograficznej Litwy, do dawnego mego przyjaciela p. Wandalina Szukiewicza, dziś jedynego archeologa na Litwie, bez

rozgłosu od lat 30 pracującego, wybornego znawcę Lidzkiego, które przeszedł wszerz i wzdłuż i jest dziś bodaj jedynym na Litwie spadkobiercą Tyszkiewiczów, Kirkorów i Glogerów. Jemu to zawdzięczam, że mogłem zdobyć znaczny antropologiczny materyał z cmentarzyska w Łankiszkach, odległego o parę klm. od Naczy, które p. Szukiewicz przed laty kilkunastu już rozkopywać rozpoczął; teraz zbadaliśmy to cmentarzysko z nim wspólnie latem 1913—1914 roku. [1]) Materyałami naszych badań podzieliliśmy się w ten sposób, że p. Szukiewicz opracował część archeologiczną, a ja antropologiczną. Zanim praca nasza pojawi się w wydawnictwie naszej Akademii Um. chcę z nią zapoznać czytelników «Myśli Narodowej» przytaczając ostateczne jej wyniki szczególnie pod względem antropologicznym.

Ponieważ nas zajmują przeważnie groby szkieletowe ludności, której potomkowie siedzą po dziś dzień na tej samej glebie, musimy rozpatrzeć się przeto w jej stosunkach narodowościowych. Nacza jest granicą etnograficzną wschodnią, oddzielającą lud litewski od białoruskiego. Na tej pogranicznej linii od wieków trwało ciche ścieranie się dwóch kultur i, jak się zdaje, granica litewszyzny niegdyś przechodziła dalej na wschód, lecz w wiekach ostatnich musiała się cofnąć ku zachodowi. Nazwa litewska wielu wsi zamieszkałych dziś przez ludność białorusko-polską to wskazuje. Cofanie się litewszczyzny jest faktem przez wszystkich zaznaczonym. Białoruszczyzna wkracza z Trockiego i Lidzkiego powiatu, idąc przez Wileński na Kowno i Wiłkomierz. Nie jest to wynikiem żadnej propagandy, lecz następstwem kulturalnego podboju, jednej narodowości przez drugą, który odbywał się i odbywa

[1]) Badając w tym zacisznym zakątku, wśród lasów, odległym od kolei żelaznych i dróg większych o 30 klm. od stac. kol. Oran i tyleż od Lidy i Ejszyszek, dzięki czemu zabytki archeologiczne lepiej tu się zachowały, nie mogliśmy przypuszczać wówczas, że jesteśmy w przededniu strasznej wojny, a jeszcze bardziej, że ona nie oszczędzi Naczy i jej okolicy. Dziś na tych polach szaleje walka straszna, może największa w wojnie obecnej. Niespokojni jesteśmy o losy naszego archeologa który do ostatnich chwil nie opuścił Naczy i jego zbiorów. Niewątpliwie jednak przymusowe wygnanie i tu zaciężyło na losach ludności. Miliony wygnańców i zagłada niezbadanych zabytków odwiecznej kultury w kraju naszym, wywołają jeszcze większe pogmatwanie dla rozejrzenia się przyszłemu badaczowi w stosunkach etnologicznych i antropologicznych, niż przypisywane dotąd wielkiej wędrówce narodów. Z tego względu badania nasze w przededniu tej katastrofy dziejowej nabierają większego znaczenia.

wszędzie na lądzie stałym, tak u dzikich plemion w Azyi i Afryce, jak również i u wysoko kulturalnych naprz. w Szwajcaryi lub Belgii.

To samo u nas na Litwie, białoruszczyzna i polszczyzna od wieków szła z nieprzepartą siłą, a tem ciekawsze, że szła przyśpieszonym krokiem—wtenczas właśnie, kiedy, zdawałoby się, najmniej spotykały dla siebie sprzyjające okoliczności, a przeciwnie utrudnienie w nabywaniu ziemi, w ograniczeniach językowych polskiego i litewskiego i usiłowaniach wprowadzenia języka urzędowego do kościoła. W tym też czasie polszczyzna z miast wyrzucana, największe robiła postępy po wsiach. Sam pamiętam jeszcze z lat mojej młodości, jak w Żoślach lub Jewiu starzy tylko mówili z sobą po litewsku, a dzieci po polsku, dziś już tam mowa litewska zanikła. W powiecie Trockim, do którego znaczną falą wciąż wkracza białoruszczyzna, można łatwo prześledzić, że mowa białoruska jest jakby etapem ewolucyjnym przejścia do polskiego. Dziadowie mówią wyłącznie po litewsku, dzieci po białorusku, a wnukowie po polsku. *)

P. Szukiewicz sporządził ciekawą mapkę etnograficzną okolic Naczy przez którą przechodzi z półn. na południ. linia wygięta pograniczna, oddzielająca litewszczyznę na wschodzie od białoruszczyzny. Pomimo większości nazw litewskich miejscowości zamieszkałych przez Białorusinów na południo-wschód od Naczy, pomiędzy ludnością słowiańską znajdują się jeszcze oazy z osadami litewskiemi. Pan W. Szukiewicz, od dzieciństwa pamiętający stosunki narodowościowe w swojej wsi, utrzymuje, że przed 50 laty w Naczy mowa białoruska była dominującą, a po polsku mówiono tylko we dworze. Obecnie niema człowieka, nie władającego obydwoma językami, a na 65 chat język polski w domu używanym jest wyłącznie w 15, w innych 15 posługują się dwoma językami, a druga po-

*) Mówiąc to, konstatuję tem tylko fakt ciążenia białoruszczyzny zachodniej kn katolicyzmowi i polskości. Chociaż współczuję najzupełniej rozwojowi młodych odradzających się narodowości litewskiej i białoruskiej tam, gdzie te dążności istnieją, nie mogę jednak usprawiedliwić walk narodowościowych w celu wzajemnego narzucania swej narodowości innym, tak ze strony szowinistów polaków, nie uznających praw innych do życia, jak również propagandzie nienawiści do polskości szerzonej przez pewien odłam kleru litewskiego i narodowców litewskich, lub przez niektóre panie, gorliwe szerzycielki litewszczyzny, nie umiejące po litewsku, a domagające się odbudowania starej Litwy. Tymczasem każda siłą narzucana idea ma skutek odwrotny, pobudza do obrony, a nieświadomych utrwala w swej narodowości i naucza ją cenić.

łowa mieszkańców mówi po białorusku. Po drogach spotykający się krzyczą, aby im ustępowano z drogi, zwykle po polsku i w tym języku do siebie się zwracają. Ludność ta uporczywie broni języka polskiego w kościele i pomimo trudności i przeszkód pragnie uczyć się tego języka. ju. Wyjazd do Wilna za zarobkiem, najczęściej na służbę utrwala jeszcze bardziej dążności oświatowe. Czytelnictwo paru pism ludowych wileńskich wśród ludu coraz się zwiększa i daje tym pismom egzystencyę. Polskość na Litwie i zachodniej Białorusi nie jest zjawiskiem współczesnem, ale następstwem całego szeregu zjawisk historycznych, odwiecznej kolonizacyi włościan polskich i gęsto osiadłej drobnej szlachty i wreszcie kultury reprezentowanej przez Kościół.

Te to czynniki wytworzyły tak zwany naród szlachecki w powiatach Nowogródzkim, Lidzkim, Trockim i sąsiednich, który na Rusi i Litwie odegrał taką rolę cywilizacyjną, jak w Polsce etnograficznej Podlasie. W Lidzkiem istnieje jeszcze dotąd gniazdo Mickiewiczów z którego wyszli i przodkowie Adama, Narbuttowie, Jundziłłowie i Szukiewiczowie, dalej siedzą Kościuszkowie, a wziąwszy stare akta z XV i XVI w. do ręki, spotykasz rzesze drobnej szlachty, która ciągnęła stąd uprawiać swym pługiem przyległe ziemie Rusi i Litwy, jako oficyaliści, dzierżawcy, a nieraz dobywała miecza i niejeden stał się następnie „*bene natus et possessionatus*“. Nacza, opodal której leży badane cmentarzysko Łankiskie, w XV w. była własnością możnej rodziny Kościów v. Kościewiczów, we dworze w ogrodzie dzisiejszej własności p. Szukiewicza istnieją fundamenty byłego zamku i piwnic w którym zamieszkiwali dawni dziedzice.

W r. 1520 wojewodzina podlaska Maryna z Kiszków Januszowa Kościowa wznosi kościół, wtenczas widocznie na dawnym cmentarzu w Łankiszkach przestano grzebać zmarłych, a zaczęto przy nowo zbudowanej świątyni. [1]) Według badań p. Szukiewicza okolica, ośrodkiem której jest Nacza, skupia w sobie ślady wielu stuleci i najlepiej może ilustruje dzieje nietylko tego zakątka, lecz szerszego terenu, od wschodu zamkniętego przez błota Ejszyskie i rzekę Dzitwę, z któremi na południe łączą się błotarzeczki Pelasy, Przewoskie i Dubickie. Od po-

---

[1]) Dzisiejsze uroczysko Łankiszki jest nazwą litewską oznaczającą, niwę i wskazującą, że ludność litewska zaludniała tę okolicę, a nie białoruska, jak obecnie.

łudnia i zachodu leżą kotliny rzek Uły i innych wpadających do niej. Cały ten teren jest tylko cząstką obszernej pofalowanej płaszczyzny litewskiej, która od wyżyn Ponarskich ku południu i połud.-zachodowi zniża się i stacza w bagna, sięgając kotliny Niemna. Wody lodowcowe, wpływające głównie na uformowanie powierzchni w kraju, potworzyły w warstwach naniesionego przez lodowce żwiru liczne kotliny i zagłębienia różnej głębokości, niegdyś wypełnione wodami, stanowiące ożywienie okolicy i wygodę dla osadnictwa. W jednej z kotlin, jak sądzi p. Szukiewicz, płynęła rzeka Nacza i na niej przy sprzyjających warunkach ześrodkowywało się życie od czasów najdawniejszych. Pole łankiskie zawiera najwięcej tych śladów. Wierzchnią warstwę tego pola stanowią piaski aluwialne, pokrywające wierzchnią warstwę utworów lodowcowych. Przed laty trzydziestu kilku w Łankiszkach porastał las, po wycięciu takowego grunt zorano, przy czem zrównano z powierzchnią miejsca nad nią nieco występujące w rodzaju kurhanów. Cała miejscowość cmentarzyska jest całkowicie równą. Brak wszelkich wiadomości i podań o Łankiszkach u ludności, a tylko o sąsiedniem uroczysku Kryżelach zostało podanie, że było tu niegdyś wielkie murowane miasto. Na cmentarzysku łankiskiem p. Szukiewicz znalazł liczne ślady osad neolitycznych i cmentarzysko ciałopalne z późnej epoki neolitu, groby szkieletowe od wczesnej aż do późnej epoki historycznej, które dowodzą bogatej kultury tu przechowanej od czasów najdawniejszych, dawnego znacznego zaludnienia okolicy i związku tego cmentarzyska z dzisiejszymi mieszkańcami ob. mapkę (na str. 509).

W badaniu łankiskiego cmentarzyska w którem w części uczestniczyłem, a plan takowego przedstawiam, na str. 510 zbadaną została przestrzeń więcej niż 1000 m. kwadr. przy czem rozkopano do 146 grobów szkieletowych. Przeciętna ich głębokość dochodziła do 1 metra. Robione były przekopy jeden obok drugiego, bo groby leżały rzędem, nieraz dwiema warstwami. Nieboszczycy leżeli na wznak wyciągnięci, przeważnie głową na połud.-wsch. twarzą na lewo, lub prawo, z rękoma wyciągniętemi wzdłuż, lub leżącemi na kości łonowej. Większość pogrzebanych były kobiety, następnie mężczyźni i znaczna ilość dzieci. W kilku grobach znaleziono szkielety kobiece, trzymające w objęciach szkielety dziecięce. Ogromna większość pogrzebana wprost w ziemi, niektórzy w trumnach drewnianych lub na deskach. Groby były bardzo

III



ubogie w przedmioty i to nietylko można powiedzieć o szkieletowych późniejszych, lecz i o starszych ciałopalnych, znajdujących się na cmentarzysku łankiskiem, w których oprócz przepalonych kostek nic nie znaleziono, a to zdaje się wskazywać na ubóstwo ludności. W niektórych grobach szkieletowych znaleziono z bronzowych przedmiotów: 1) ozdoby kobiece: nausznice, odmiana typu starosłowiańskiego, kolczyki, pierścionki, brzękadła, paciorki, 2) pasy skórzane ze sprzążkami, klamrami i kółkami. Z żelaza: 3) W obfitości noże, różnej wielkości, przeważnie o trzonkach drewnianych lub z kości, przypasywanych do pasa za pomocą sznurka 4) krążki z białego wapienia, może „wiertałki“ od wrzecion, a może do innego jakiego użytku, 5) krzesiwa, 6) garnki stypowe które znaleziono przy zwłokach dziecięcych 3 razy, może jako przeżytek



czasów pogańskich. Garnki roboty ręcznej, glina barwy jasno-ceglastej, wielkości różnej, wreszcie 7) części tkanin lnianych i wełnianych od odzieży, nakoniec najciekawszemi są 8) monety wskazujące do pewnego stopnia czas powstania cmentarzyska. Pomiędzy innemi najdawniejszą jest moneta przypisywana W. Ks. Witoldowi. Na jednej stronie grot włóczni z krzyżem, na drugiej herb Kolumny, dalej denarki Aleksandra Jagiellończyka z literą gotycką A i denarek Zygmunta Augusta z r. 1558.

Gęstość grobów w których leżą szkielety jeden na drugim, lub obok siebie w bezładzie, bez trumien—a taki rodzaj pogrzebania nie był we zwyczaju nawet w czasach najdawniejszzch—i to, że przeważającą część szkieletów

stanowią kobiety, znaczna ilość dzieci i, jak wspomniałem, niektóre z nich jakby w objęciach matek, pozwala przypuszczać że część grobów w Łankiszkach powstała przy jakichś okolicznościach wyjątkowych, być może dżumy, lub że ludność była wymordowaną. P. Szukiewicz przypuszcza, czy część pogrzebanych nie jest ofiarą tej strasznej katastrofy, która dotknęła kraj przez napad Tatarów w r. 1506; przeniknęli oni w głąb Litwy i oblegli Lidę, z której bawiący w zamku obłożnie chory stary król Aleksander musiał uciekać. Otóż czy część hufców nie dotarła do Naczy i czy nie wymordowała tam pozostałych kobiet i dzieci?

Mówiliśmy dotąd o stronie etnograficznej dziś zamieszkałej w Naczy ludności, z antropologicznej szczególny interes przedstawia nie narodowość, o której sądzić można tylko z kultury materyalnej, lecz rasa fizyczna pogrzebanych w Łankiszkach. Pod względem materyalnej kultury towarzyszącej obrządkowi pogrzebowemu, ludność cmentarzyska łankiskiego podobnie jak i obecna, na tych miejscach osiadła, była słowiańską. Inaczej rzecz się ma co do ich strony fizycznej. Wiemy o wiekowem cofaniu się litewszczyzny pod naporem języka i kultury białoruskiej i że nazwy większości wsi zajętych przez ludność słowiańską są litewskie, jak to wyżej wspomniałem, a co do najstarszych, najdłużej zachowujących się nazw rzek, to takowe swem brzmieniem przypominają fińskie, jak Nacza, Kotra, Wersoka, Lidzieja, Uła, i t. d. Imiona białoruskie ludności po wsiach okolicznych z XVII w., spotykane w inwentarzach gospodarskich w Naczy, mówią tylko o kulturze, ale nie o pochodzeniu mieszkańców, którzy, o ile badanie antropologiczne szczątek łankiskich wykazać mogą, należą do typu mieszanego o przeważającym pierwiastku litewskim.

Szczątki ludzkie, które dostały mi się do badania z cmentarzyska łankiskiego, były bardzo zniszczone, tak że ze 146 grobów nadały się do całkowitego lub częściowego zbadania, tylko cząstki 104 osobników. Z tych było mężczyzn—33, kobiet—51 i dzieci—20. Co do wieku: indywiduów młodych było 39, średniego wieku 24, starych 21, dzieci od 4 do 16 lat—20. U niektórych indywiduów znaleziono przyschnięte do skroni, lub luźnie leżące pęczki włosów przeważnie jasnych z żółtawym odcieniem, których zbadaniem zajął się prof. Hoyer w Krakowie. Co do budowy kośćca, to takowa niezbyt mocna, a często słaba, wzrost mierny, czaszki w budowie swej przedstawiają

wielkie mieszaństwo typów, choć przeważnie średniej wielkości, o konturach owalnych, lub elipsoidnych. Czaszki od wązkich i znacznie wydłużonych, aż do krótkich i znacznie szerokich. Czaszki męskie mało się wyróżniają od kobiecych. Oddzielne wskaźniki czaszek t. j. stosunek największej szerokości do długości waha się od skrajnej krótkogłowości do długogłowości w męzkich od 73,71—92, 50, w kobiecych od 70,56 — 90,59, przy średnim m. 79, 50, z 80,70, a więc są przeciętnie typu pośredniogłowego. Pod tym względem według wskaźników badań żywych najbliżej więc stoją Litwino-Łotyszów: 80,6, północ. Polaków: 80, czaszek Wileńsk. z XV—XVII w.: 80, 51, wreszcie Finnów nadbaltyckich; 77,3 — 83,26. Ustępują natomiast bardziej krótkogłowym Białorusinom: 82, 1, Ukraińcom: 82—84, 7 i połud. Polakom: 84. W budowie twarzy spotyka się także rozmaitość od bardziej wydłużonej i wązkiej do krótkiej i szerokiej z wystającymi łukami jarzmowymi, jak również w szczegółach budowy oddzielnych części czaszki i twarzy.

Jeszcze wybitniej występuje różnica w budowie czaszek, wykazująca ich mieszaństwo, przy rozpatrywaniu szczegółowem i podziale na oddzielne grupy według cech fizycznych, chociażby naprz. według głównych typów kraniologicznych, przyczem się okazuje, że wszystkie 3 typy występują jednocześnie, przy nieco znaczniejszej przewadze krótkogłowego, na który przypada 39%, długogłowy 31% i pośredniogłowy 30%. Rozpatrzmy te trzy typy wespół z innemi towarzyszącemi każdemu z nich cechami fizycznemi budowy czaszki. Otóż uważamy za najstarszy na cmentarzysku łankiskiem typ długogłowy, o bardzo niekiedy skrajnych liczbach wskaźników czaszkowych, prawdopodobnie typ autochtonów na obszarze Litwy i Rusi, który pozostawił swe ślady w licznych fińskich nazwach rzek i niektórych miejscowości. Typ ten odpowiada długogłowemu, liczniej występującemu w kurhanach środkowej i wschodniej Europy i u dzisiejszych mieszkańców w guberniach środkowej i wschodniej Rosyi, Finnów zachodnich: Estów, Liwów, Finnów Finlandyi, Finnów wschodnich, Litwino-Łotyszów i słabiej u Białorusinów i Polaków północnych, na co już przedtem zwracaliśmy uwagę. Kwestya wskaźnika czaszkowego u Finnów oddawna była poruszoną przez badaczy. Mniemanie, że długogłowi Finnowie zasiedlali niegdyś całą wschodnią, a nawet część środkowej Europy i że do nich należała ludność Rosyi, istniało oddawna, lecz obok tego były zdania, że kurhany

są słowiańskie, a Finnom przypisywano krótkogłowość pokrewną mongołom i widziano w nich wychodźców z Azyi.

Badania żywych Finnów w Finlandyi ograniczają się dotąd badaniami dokonanemi przez Retziusa, Elisiejewa, a ostatnimi czasy Kołmogorowa, natomiast czaszki o wiele więcej są znane z opracowań Gustawa Retziusa (ze zbiorów Anatom. Muzeum Król. Inst. w Stockholmie) Höllstena, Weymarna, Kyrklunda (z anatom. muzeum Uniw. w Helsingforsie), wreszcie Hartmanna, Welckera, Virchowa, Elisiejewa i innych. Wszyscy badacze tych czaszek stwierdzają znaczne mieszaństwo typów bez przewagi żadnego z nich, przy czem oddzielne wskaźniki wahały się od 69—90; dlatego to jedni czaszki fińskie zaliczali do długich, inni, i to większość autorów, do krótkich. Wszyscy jednak zgadzali się z tem, że wśród czaszek występuje znaczny procent długich. Modyfikując i obliczając przeciętną średnią wskaźników dla dzisiejszych Finnów Finlandyi, Kołmogorow znalazł wskaźniki dla nich pośredniogłowe lecz znacznie zbliżone do długogłowości, dla Korełów 78,99, a dla Tawastów 77,48.

Większą krótkogłowość, niż u zachodnich, zwykle przypisują Finnom wschodnim, oddzielonym znacznym obszarem ziem dziś zasymilowanych przez Słowian. Jednakże i tu widzimy analogiczny układ kraniologiczny, w którym występują trzy typy, przy mniej lub więcej wydatnym długogłowym. Jednem słowem wszystkim Finnom jest właściwie mieszaństwo typów, znaczniejsze niż naprz. u Słowian, u nich występuje długogłowość jako pozostałość rasy aborygenów, znaczenie której wyświetlą przyszłe badania, tak u Finnów dawnych jak i współczesnych, a zarówno i ich sąsiadów. Kwestyę tę uważamy za podstawową dla antropologii współczesnej i bez przesady twierdził jeden z badaczy Finnów, Elisiejew, że antropologia Finnów jest kamieniem węgielnym antropologii Rosyi, a z nią i całej Europy, krótkogłowość zaś jest uważaną za przymieszkę późniejszą. Większość antropologów rosyjskich z Bogdanowem na czele przyjmuje, że ziemie Rosyi współczesnej początkowo zaludniało długogłowe kurhanowe plemię autochtonów, nie fińskie, następnie przybyli Finnowie, później Słowianie wyparli część Finnów z dawnych placówek na zachodzie ku morzu Bałtyckiemu, a na wschód ku ziemiom przyległym do Uralu, i znaczną ich część zasymilowali. Otóż proces ten musiał się odbywać wcześniej i na ziemiach rdzennie

polskich w Polsce północnej, Litwie i Białorusi, a słabiej i w krajach środkowej Europy, dziś osiedlonych przez Niemców, a niegdyś częściowo też przez Finnów. Według uczonych filologów znaczna część starogermańskich słów jest zapożyczoną u Finnów (Ratzel), co wskazywałoby na wpływ ścierania się ich od bardzo dawna z Germanami.

Obok zaznaczonych przez nas w czaszkach łankiskich trzech typów kraniologicznych, występują w każdym z nich właściwe cechy fizyczne, jak to wyżej wspomnieliśmy, a mianowicie typowi długogłowemu towarzyszy czaszka wydłużona, niższa, o węższem czole i potylicy, twarz krótka i wązka o węższym nosie. Typ ten o wiele starszy, północny, który mógł być typem autochtonów, nazwaliśmy dla wyróżnienia *finoidnym*, przypomina on budową czaszki fińskie, litewskie, a w części wileńskie XVI—XVII w.; przeciwnie, drugi typ o czaszkach szerszych, krótkogłowy, o krótszem ciemieniu, szerszem czole i potylicy, twarzy jeszcze krótszej, szerszej, niekiedy o wydatnych jarzmach, przypomina wiele czaszki krzywiczańskie z IX—XIII w., współczesne białoruskie, a jeszcze bardziej południowo-ruskie. Typ ten dla pewnych cech azyatyckich przezwaliśmy dla wyróżnienia od pierwszego *mongoloidnym* Trzeci typ mieszany, pośredniogłowy, przedstawia mieszaństwo dwóch pierwszych typów; ten przeto występuje w rozmaitych odmianach i jest rozprzestrzeniony pomiędzy czaszkami pochodzącemi z Łankiszek, jak również w różnych późniejszych grupach czaszek kopalnych na Litwie i Białorusi, jak i współczesnych mieszkańców. Typ ten u wszystkich kategoryi czaszek tworzy tem znaczniejszy procent, im pochodzenie czaszek jest późniejsze. Według układu kraniologicznego w typie f i n o i d n y m, typ długogłowy występuje w więcej niż w połowie wypadków (52%), a w drugiej po połowie pośrednio i krótkogłowy (po 24%), w m o n g o l o i d n y m przeważa krótkogłowość (91%), a na dwa inne przypada mały procent (9%). Ponieważ na cmentarzu łankiskim ludność grzebaną była zapewnie przez długie wieki, można przypuszczać że takie ugrupowanie nie było stałe, i budowa czaszek ulegała wciąż pewnym ewolucyom i korelacyom.

Na zakończenie muszę jeszcze wspomnieć o znalezionych sztucznych otworach w czaszkach łankiskich, stanowiących pewien interes etnograficzny. Otwory podobne w czaszkach znane są z głębokiej starożytności i polegały na zrobieniu otworu jamie czaszkowej za pomocą świdra, piły, noża lub może innego jakiegobądź narzędzia. Pier-

wotnie używano do tego krzemienia, a później zastąpiło go narzędzie metalowe. Rękoczynu przewiercenia kości dokonywano na ludziach żywych w głębokiej starożytności i ta operacya do naszych czasów przetrwała pod nazwą trepanacyi, dokonywano jej w celach leczniczych przy padaczce, w chorobach umysłowych, uszkodzeniach kości czaszki, wrzodach, przy nowotworach mózgu, a w czasach ostatnich w chorobach wewnętrznego ucha. Dokładny opis tej operacyi znajdujemy u ojca medycyny, Hippocratesa, a sięga ona czasów pierwotnych i była niegdyś dokonywaną daleko częściej, niż obecnie. W czasach nam współczesnych pierwsi Broca i Prunières w r. 1873 opisywali czaszki trepanowane w Europie, pochodzące z dolmenów w Logezie i z innych miejscowości Francyi z okrągłymi, lub owalnymi otworami. Obok trepanowania czaszek u żywych zaczęto opisywać pośmiertne trepanowanie czaszek w celu uzyskania wypiłowanych krążków dla noszenia ich jako amuletów na szyi, podobnie jak noszą zęby zwierząt lub włosy niektóre współczesne dzikie plemiona, oprócz tego wypiłowują kawałki z czaszki, lub zeskrobują ją u nieboszczyków w celach czarodziejskich, lub leczniczych. Od czasu opisu pierwszych trepanowanych czaszek przez Broca i Prunières'a powstała ogromna literatura tego przedmiotu, opisująca mnóstwo wypadków spotykanej trepanacyi w czaszkach pochodzących z neolitu we Francyi, Włoszech, Belgii, Anglii, Danii, Portugalii. W niektórych krajach trepanacya przetrwała aż do naszych czasów, jak w Czarnogórzu i Kornwalii. Następnie znaleziono trepanowane czaszki w starożytnych mogiłach innych części świata, gdzie operacya ta utrzymała się dotąd. Znajdowano ją w czaszkach pochodzących z dolmenów afrykańskich w Algeryi i przyjmują, że została tam przyniesiona ze starożytnej Grecyi i Rzymu, gdzie cieszyła się prawem obywatelstwa. Lekarze arabscy znali ją w końcu XI w. Na wyspie Teneryfie wykonywano ją za życia. W starożytnych mogiłach Syberyi Zachodniej Adrianow i Goroszczenko znajdowali ją na czaszkach jako rękoczyn pośmiertny. W Ameryce trepanacyę pośmiertną wykonywano nie tylko w starożytności jak u dawnych Inków w Meksyku, lecz i obecnie w celu otrzymania amuletów, lub dla czarów. Istnieje jeszcze zwyczaj u pewnych plemion, jak to opisał Kopernicki na czaszkach Ajnów z Sachalinu, zeskrobywania kości brzegów otworu potylicznego, oczodołów, nosa i t. d.

We wschodniej Europie przynajmniej dotąd trepanacya jest mało znaną. W Czechach opisano kilka wypadków. W Rosyi trepanacya należy do wyjątków i to są wypadki trepanacyi pośmiertnej. Zaledwie parę z nich opisano, a mianowicie wypadki Nefedowa z Wetługi z Kostromskiej gub. i Kotłówki Ełabużskiego pow. i znana czaszka z przedhistorycznej mogiły z Chułanu, gub. Terskiej na Kaukazie, przywieziona przez Müllera. Były to wycięte okrągłe blaszki kostne dla noszenia na szyi, jako amulety.



Na ziemiach naszych czaszki z otworami sztucznymi należą do wyjątkowych, Biełaszewskij w r. 1893 opisał z Horodyszcza na Kniażej górze nad Dnieprem w Kaniowskiem czaszkę z przewierconym otworem owalnym na wierzchniej części prawego czołowego guza, Dudrewicz czaszkę z cmentarzyska pochodzącą z Marjenhauzu z Inflant polskich z czasów historycznych XII—XIII w. i inną jedyną dotąd czaszkę z Polski etnograficznej, z dużej mogiły ze wsi Turowa, leżącej między Płońskiem a Płockiem, rozkopanej przez Fr. Tarczyńskiego. Należała ona do grobów rzędowych słowiańskich, bogatych w żelazo; znaleziono tu obrączki od kubełka, włócznie z oszczepów i zausznice kabłączkowate. Na lewej kości ciemieniowej znajdował się otwór eliptyczny, według jednych był on pośmiert-

nym, według innych—zrobionym przy życiu. Do tych niewielu wypadków przybywają nowe po raz pierwszy opisane na Litwie, a pochodzące z cmentarzyska w Łankiszkach, których fotografie tu przedstawiam (Tabl. II). Są to czaszki krótkogłowe, według typu określonego przez



nas, zbliżające się do mongoloidnego, a więc należą do okresu późniejszego, chociaż kości paru czaszek są spróchniałe i źle zachowane. Są to czaszki z wyraźnemi cechami kobiecemi, wieku młodego, sądząc z niezarośniętych szwów i zachowanych, nie startych zębów. Z czterech otworów sztucznych, 3 zrobione na kościach ciemieniowych, 2 na prawej, i 1 otwór na lewej stronie, a jeden na kości potylicznej. Kształt otworów owalny, największa średnica ich od 10—20 mm. Ostre i nierówne brzegi, brak gładkości i zabliźnienia wskazuje na ich niezawodne pośmiertne pochodzenie. Otwory mogły być zrobione jakiemś ostrem narzędziem, sądząc z paru czaszek lepiej zachowanych. Wielkość otworów pozwala przypuszczać, że blaszki kostne mogły być noszone na szyi jako talizmany, lub też używane jako środek leczniczy, dla czarów, guseł i praktyk czarodziejskich, przy których wogóle w średniowieczu kości nieboszczyka odegrywały niepośledni rolę.

Roman Dyboski

Prof. Uniw. Jagiellońskiego

TRAGEDYA MODERNIZMU KATOLICKIEGO.

„Demolins określił te prądy katolickie, które dziś modernizmem nazywają, jako wyraz wtargnięcia ducha anglo-saskiego do sfery katolicyzmu, w której dotąd duch Rzymu najwięcej znaczył“.

Czy istotnie ojcem modernistów nazwany być może Newman, co swobodę myśli w liberalnych ramach wysokiego kościoła anglikańskiego tragicznym gestem porzucił dla dobroczynnej niewoli rzymskiego dogmatyzmu? Czy istotnie, „czem Novalis dla romantyzmu“, stał się dla modernistycznego religii katolickiej odrodzenia jezuita Tyrrell, co sterał życie na swarach z gnębiącemi go zawzięcie władzami Kościoła, czy mógł on w tej walce i w tym ucisku stać się tych nowych myśli „żywem, pięknem i wszechstronnem wcieleniem?“

Zdawałoby się, że takie określenia obu tych genialnych odszczepieńców zupełnie się mijają z ich dramatyczną rolą w dziejach religii, — że obydwaj oni przedstawiają tylko głęboko wzruszające epizody w szeregu rozpaczliwych wysiłków nad przywróceniem Kościołowi tej społecznej i filozoficznej powagi, której on w dzisiejszym świecie chyba już odzyskać nie zdoła.

A jednak profesor Maryan Zdziechowski w pomnikowej pracy, zawierającej owoce wieloletnich jego badań nad myślą religijną w literaturach europejskich XIX wieku [1]), — właśnie tych dwóch angielskich bohaterów nowego katolicyzmu śmiało czyni filarami budowy, która w jego marzeniach już nad światem roztacza majestatyczne

---

[1]) *M. Zdziechowski,* profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego: „*Pesymizm, romantyzm i podstawy chrześcijaństwa*“. Dwa tomy. Kraków, 1914.

sklepienie nowych rządów zorganizowanego i odmłodzonego chrześcijaństwa. Słuszność tej prognozy w znacznej mierze tedy zależy od trafności tamtej historycznej definicyi. Warto więc przyjrzeć się bliżej portretom obu Anglików, jakie nakreśliło pióro polskiego filozofa.

I.

Newman, urodzony katolikiem, byłby zapewne typowym modernistą. Mistyczny aż do egotyzmu zachwyt nad osobistym stosunkiem duszy do Boga, wizyonerską pewność nieśmiertelnego bytu, Newman przedziwnie łączy z równie znamiennym sceptycyzmem, uznającym niemożliwość udowodnienia dogmatów.

Ale dlaczego człowiek tego typu, zrodziwszy się członkiem narodowego kościoła swej ojczyzny, nie mógł pozostać w tym kościele, którego kapłanem do śmierci pozostał oxfordzki platonista Jowett, choć kromie niejasnego przeświadczenia o życiu poza grobem żadnych prawie nie zachował wierzeń, — w którym wysoka godność dziekana katedry św. Pawła piastuje mistyk - radykał W. R. Inge, co na kongresie kościelnym dowodził, że usunięcie postaci Chrystusa z historyi przez krytykę naukową nie przyniosłoby szkody religii, bo pozostałby nienaruszonym idealny obraz Chrystusa jako wzór we wszystkich sprawach tego życia! Braku swobody Newman w kościele anglikańskim odczuwać nie mógł, ani większej swobody u Rzymu szukać. Nie szukał jej tam człowiek, co chętnie i bez protestu poddał się dogmatowi o nieomylności papieża. Cóż więc właściwie Newman znalazł w łonie rzymskiego kościoła, gdzie tajemnica tego głębokiego zadowolenia, które sam nazwał „zadatkiem szczęśliwości wiekuistej“?

Niewątpliwie główna pobudka, co podziałała na Newmana, przy całym jego wybujałym indywidualiźmie w sprawach religijnych była jednak socyalnej natury. Newman w liberaliźmie, panoszącym się wtedy głównie w angielskiej polityce ekonomicznej, a panującym po dziś dzień w kościele angielskim, widział poprostu drogę do anarchii, i zaimponowała mu przeciwna ostateczność — zwarta hierarchiczna organizacya kościoła rzymskiego. Dokonał się u niego ten sam proces psychologiczny, który dokonywa się dziś u takich krytyków literackich, jak Wil-

liam J. Courthope, co w hasłach ruchu romantycznego — swobodzie i naturze — widzą niebezpieczeństwo zupełnego zerwania z normami piękna, i dlatego nawet do arcydzieł wielkich romantycznych poetów niechętnie się odnoszą, a nowy dźwięk znajdują w oschłych i wymuszonych płodach klasycyzmu, choć te rażą dzisiejszego człowieka obfitością komunałów. Courthope i krytycy jego typu nawet wielbioną przez romantyczny wiek XIX oryginalność myśli chętnie poświęcają dla panowania pewnych powszechnie obowiązujących prawideł formalnej piękności: tak samo i Newman najcenniejsze religijne porywy dusz wyzwolonych z ochotą przynosi w ofierzę idei kościoła powszechnego, któremu słusznie się należy powszechny posłuch, — ewangelicznej idei „jednej owczarni i jednego pasterza“. I tutaj tragizm tej postaci — tragizm nie przez nią samą odczuwany, bo Newman w religii rzymskiej znalazł niebiańskie ukojenie, — lecz widny oczom obserwatora: jedną z największych wartości, jakie Newman bez szemrania poświęcił sprawie katolickiej, była własna jego osobistość, — były te klejnoty myśli i uczuć religijnych, które dusza jego dałaby światu, gdyby umarł nie jako kardynał w założonym przez siebie klasztorze, lecz jako samotny mistyk-filozof w jednem z pięknych starych kollegiów tego Oxfordu, który tak ukochał, że nawet w swej mniszej celi miał na ścianie jego widoczek.

Wyrażać taki sąd, nie znaczy to zapoznawać wartość pism człowieka, który poprostu wielką sprawę religijnego zjednoczenia ludzkości uznał za ważniejszą nawet od własnych płodów umysłowych. Newman i przed nawróceniem i po nawróceniu pisze czarująco melodyjną angielszczyzną, nieskażoną w czystości, klasyczną w doborze wyrażeń, wzorową i w zwięzłości i w przemilczeniach, okresami o cycerońskiej iście budowie; zawsze nas zachwyca wzniosłą prostotą i akademicką jasnością i ścisłością myśli, tak jak niezmąconą, posągową pięknością rysów zachwyca nas jego portret z lat oxfordzkich; niejednokrotnie w ekstazę nas wprawia polotem wyobraźni i potęgą uczucia w traktowaniu straszliwzch zagadnień religijnych, zbanalizowanych przez poziomą literaturę teologiczną — jak np. dogmat o grzechu pierworodnym. Ale z tem wszystkiem zaprzeczyć się nie da, że szczególnie po ogłoszeniu dogmatu o nieomylności Newman oddaje te zalety w służbę idei, którym zaiste tylko *invita Minerva* hołdować może. Najbardziej spon-

tanicznym [1]) i przeto najznakomitszym utworem Newmana pozostaje ten, który paradoksalnie nazwać można najbardziej protestanckim (choć opowiada historyę jego przejścia na katolicyzm), bo jest najswobodniej osobistym w treści: *Apologia pro Vita Sua.*

Nieco inaczej przedstawiają się te rzeczy profesorowi Zdziechowskiemu: wyczytał on z „Apologii", co i wyczytać z niej można, że jednym z ważnych motywów zwrotu Newmana i jego oxfordzkich przyjaciół ku katolicyzmowi był „ekklezyastycyzm" — pragnienie dla Kościoła jaknajwiększej niezależności od państwa, więc i reakcya przeciw chwilowym tendencyom ustawodawczym whigistycznego rządu i przeciw samej idei kościoła narodowo-państwowego. Ale jeżeli Newman w „Apologii" o tej najuchwytniejszej, politycznej stronie sprawy szczególnie wiele mówi, to jednak trudno zdecydować się na to, by stanowy interes teologa zawodowego uznać u tej prawdziwie świątobliwej osobistości za moment decydujący. Wolno tu widzieć jedynie objaw tej w założeniu — z wrodzenia i powołania — specyficznie teologicznej umysłowości, która sprawia, że nawet w „Apologii" są rozdziały nużące swą scholastycznie-spekulatywną treścią. Ten fachowo-teologiczny sposób rozumowania przecież spowodował i to, że Newman, jak sam opowiada, na studyach nad starą herezyą monofizytów uświadomił sobie stosunek nowoczesnego protestancyzmu do kościoła rzymskiego.

Ale profesyonalna technika myślowa, to rzecz mniej istotna, niż widoczny związek ogólniejszych pobudek Newmana z pewnymi prądami myśli świeckiej w XIX i jeszcze w XX wieku. Modernistą nazwać możemy Newmana, gdy w zwierciadle przepięknych jego medytacyi widzimy go, jakby oko w oko z majestatem bóstwa; gdy jednak bierzemy pod uwagę społeczny sens jego kroku i faktyczne owoce jego działalności — która tak nader szerokie zatoczyła kręgi, choć ten uczony marzyciel propagandystą nigdy nie był, — nazwa „socyalisty religijnego" wydałaby się dlań odpowiedniejszą. Śmiały postępek Newmana, to pierwszy w szeregu zamachów na wychodowany przez racyonalistów, rewolucyonerów i romantyków zarówno *ideał*

---

[1]) Spontanicznym w rezultacie, nie w genezie, bo Newman do napisania „Apologii" doprowadzony był przez niesprawiedliwe zarzuty Kingsleya, i pisał ją z przykrością, jaką skromności i wstydliwości jego wielkiej duszy sprawiało takie obnażanie najtajniejszych jej przejść.

wolności [1]) — ideał dziś prawie ostatecznie zdetronizowany na korzyść drugiego z rzędu słowa na sztandarze wielkiej Rewolucyi: słowa „*Równość*“: ono dzisiejszym ludziom wydaje się pewniejszym i bliższym od mglistego widma wolności stopniem ku urzeczywistnieniu trzeciego i najszczytniejszego hasła: „*Braterstwo*“. I dlatego nam, co i dziś wśród gromów rozszalałej walki narodów nie przestajemy marzyć o ich zbrataniu, co i w wirze panującej dyskusyi nad zagadnieniami bytu narodowego nie zapominamy o celach wyższych niż narodowe, kosmopolityzm religijny, zamanifestowany w odważnym postępku Newmana, musi być drogi i szczególnie zrozumiały, bez względu na to, czy sami pewszechną uległość dla autorytetu jedynego Kościoła uważamy za rzecz zbawienną i wogóle doniosłą, czy też nie.

Nie w tym jednym tylko względzie Newman z właściwą geniuszowi pół-świadomością wyprzedza dążenia lat późniejszych; wszak pracę nad wyrobieniem w sobie przekonania o logicznej konieczności wszystkich — także późniejszych — dogmatów katolickich złożył w pamietnem „Studyum o rozwoju nauki chrześcijańskiej“, gdzie — jak to zapowiada i sam tytuł — ośmielił się kiełkującą wtedy we wielkich umysłach, dziś aż do jednostronności rozpanoszoną we wszystkich naukach, zasadę ewolucyi zastosować do historyi wierzeń religijnych, i w ten sposób stał się poprzednikiem uczonych tak zupełnie odmiennego od niego typu, jak Adolf Harnack, i filozofów o tak odmiennych naczelnych celach, jak William James.

W tej też, ze wszech miar znamienitej pracy, najbardziej może zbliża się Newman do usiłowań modernistów, o ile one w praktyce dążą poprostu do pogodzenia logicznej formy dogmatów religii ze zdobyczami nauki. Potrzebę takiego nieustannego kompromisu czy konkordatu dla żywotności religii wymownie uznaje Newman, gdy dowodzi—słowami parafrazy Zdziechowskiego—że „rozwój idei nie ma i mieć nie może charakteru ściśle logicznej dedukcyi“;

---

[1]) Nie znaczy to oczywiście, by Newman gdziekolwiek mówił o wolności bez należytego uznania jej ceny, tego i dziś nikt rozumny nie uczyni, póki jeszcze nie cały świat cieszy się posiadaniem elementarnych swobód obywatelskich. Newman usiłował nawet przedstawić Kościół katolicki jako najdoskonalsze połączenie rozsądnie pojętej wolności z niezbędnym autorytem. „Autorytet w Kościele“ — według jego opinii — „nie staje w poprzek wolności, bez której nie byłoby życia i rozwoju; przeciwnie, on jest postulatem wolności, rękojmią przeciw swawoli i rozpasaniu.

że „rośnie ona i potężnieje, o ile umie z tych prądów, które spotyka, wyciągnąć i przyswoić sobie wszystko, co do wzbogacenia i ujawnienia jej treści przydać się może“; że wreszcie faktycznie „jej rozwój jest wynikiem współdziałania ludzi z okolicznościami“; że wchodzi ona w styczność z epoką swoją, z rozmaitymi sposobami myślenia i działania, z rozmaitymi prądami; mierzy się z nimi, czyniąc nieudane nieraz próby ujarzmienia ich, i ulega ich wpływowi; wkracza na obce terytorya, które opuścić musi z czasem.

Zasadniczo to bardziej nawet znamienne i ciekawe, niż późniejsza enuncyacya Newmana w osobnej rozprawie o specyalnej kwestyi stosunku nauki przyrodniczej do Religii (*Christianity and Scientific Investigation*). Zaciekła walka o teorye Darwina, — walka, której ogień ogarnął wszystkie umysły Anglii, w której wzięli udział nawet ludzie z tak zupełnie innej sfery, jak Disraeli, co uważał za potrzebne teatralnym gestem stanąć „po stronie aniołów“, — walka ta zastała Newmana już w porcie wierzeń rzymskich; i imponować nam może jedynie olimpijski, godny klasycznych oxfordzkich tradycyi spokój, z jakim usuwa na bok wszelką myśl o niebezpieczeństwie choćby najśmielszych odkryć, czy hipotez naukowych dla istoty religii, i wskazuje palcem na granice między jedną a drugą dziedziną. A granice, jakie Newman zasadniczo wyznacza rozumowi i władzy poznawczej, nader są ciasne; określając je w „Gramatyce wiary“, autor w uznaniu szerokiego zakresu intuicyi, nawet w logice, zdumiewająco się zbliża do popularnej dziś filozofii Bergsona, zaś w silnem uwydatnieniu subjektywności wszelkich aktów umysłu raz jeszcze objawia typowo angielski indywidualizm. „Nie miałem nigdy pretensyi do przekonywania tych, co myślą inaczej niż ja“ — tak zaczyna się jeden z rozdziałów tej dziwnej apologetyki, którą agnostyk Huxley ze swego punktu widzenia mógł nazwać „podręcznikiem niewiary“. Agnostykiem w literalnem etymologicznem znaczeniu słowa przecież właściwie deklaruje się tu i Newman. Jeżeli stwierdziwszy, że jest rzeczą niemożliwą naukowo ustalić pewność religii, Newman mimo to w głębi jaźni znajduje jakieś ostateczne, osobiste kryteryum, rozstrzygające o pewności wierzeń religijnych, — kryterym, które on nazywa „zmysłem wnioskowania“ *(illative sense)*, — to narzuca się oczywiście porównanie z kategorycznym imperatywem Kanta[1]). Z tego porównania

1) „Kanta Newman nie czytał nigdy“ (Zdziechowski, II, 190).

znowu Newman wychodzi, jako typowy Anglik: „stoi na twardym gruncie doświadczenia“, jak słusznie mówi Brémont: „on tylko stwierdza fakt, że pomimo niedostateczności dowodów, ludzie przyjmują jako prawdę takie lub inne twierdzenie — i fakt ten on tylko opisuje...“ Do niego z większą jeszcze pewnością niż do Kanta zastosować można słowa szekspirowskiego króla Henryka (IV):

„Thy wish was father, Harry, to that thought“
(„Pragnienie, synu, ojcem było myśli“) —
(*„Król Henryk IV“, Część II, akt IV, sc. 5*) —

— i Newman ze szczerością charakterystycznie angielską wcale się tego pochodzenia wiary nie zarzeka. „Nadzieja jest tu przewodnikiem, a żądza jej spełnienia — dowodem jej prawdy“: oto streszczenie jego własnych słów. Ale właśnie dlatego „Gramatyka wiary“, jedyna może książka Newmana pisana *ad propagandam fidem*, w tem pojęciu jest niepowodzeniem koniecznem,—więcej: oświadczeniem niemożliwości powodzenia. To też nigdzie chyba tragizm, jaki leży we właściwej Newmanowi kombinacyi subtelnego sceptycyzmu z dziecięcą wiarą, tak oczywistym się nie staje, jak w tej pogmatwanej i licho zbudodowanej pracy, wydanej w samym fatalnym roku ogłoszenia dogmatu o nieomylności papieża. Stwierdzając wciąż na nowo, że pisze tylko dla siebie, że zwraca się tylko do tych, w których już rozwinięta jest zdolność do wiary, w których silnie brzmi głos sumienia, najdowodniej świadczący o istnieniu Boga. — Newman ostatecznie budzi w nas przekonania, że są ludzie z urodzenia i usposobienia religijni — i są inni, którzy tej zasadniczej skłonności nie posiadają. Od takiego postawienia sprawy już wieje jakby mrozem kalwińskiego fatalizmu, i w ten sposób Newman właśnie przez to, że chce uniknąć mentorstwa i doktrynerstwa, w tej, zresztą tak głęboko ludzkiej książce może najbardziej się oddalił od pięknego humanizmu swej oxfordzkiej kultury. Coś jakby chłód starotestamentarnej grozy przenikać go także musiało, gdy w rozważaniach nad odwiecznym problematem złego i cierpienia, winy i kary, przyszło stanąć oko w oko z wnioskiem, że „bez poczucia grzechu niema szczerej religii“. W takich miejscach Newman istotnie sięga krańców religijnego pesymizmu, straszniejszego, jak słusznie mówi Zdziechowski, niż ateistyczny pesymizm Schopenhauera. W takich też momentach najbardziej podziwiać musimy siłę przekonania, z jaką Newman mógł stale za

dobroczynną uważać tę niewolę umysłową, w którą się oddał, — i tu zarazem bezlitośniej niż gdziekolwiek narzucać się musi myśl, że może jednak między taką niewolą a niebezpieczną dla ogółu ludzi swobodą niema właściwie drogi pośredniej, — niema owej *via media*, o której sam Newman jeszcze za anglikańskich czasów marzył i pisał. Świadomy wybór tej alternatywy, którą obrał Newman, to niewypowiedziane wyznanie faktu, że się nie czuje w sobie sił na rolę jednego z ludzi absolutnie wielkich, — to zarazem deklaracya braterstwa z szarym tłumem bliźnich, to akt wiary prawdziwego społecznika, nie paktującego z osobistą pychą, to — ostateczna rezygnacya z liberalnego chrześcijaństwa, które chcą umożliwić moderniści.

II.

Dla Newmana myśl o nieomylności jakiejś najwyższej władzy kościelnej już na długie lata przed ogłoszeniem takiego dogmatu nie przedstawiała niczego strasznego. „Przypuściwszy“—pisał— „że Stwórca nie jest obojętnym widzem wszystkiego, co się w świecie ludzkim dzieje... głoszę — choć daleki jestem od twierdzenia, aby innej drogi nie było — że niema nic rażącego nasz zmysł w tem, iż Bóg mógł uznać za rzecz dobrą ustanowienie na ziemi władzy z przywilejem nieomylności w sprawach religii... I gdy widzę, że do tego właśnie rości sobie prawo Kościół katolicki, nie tylko nie doznaję trudności w przyjęciu idei tej, ale znajduję w tem dogodność, przemawiającą do umysłu mojego...“

Dla *Jerzego Tyrrella* ta „dogodność“ była pierwszym kamieniem obrazy i pozostała głównym. Natura to w początkach swej religijnej historyi głęboko odmienna od Newmana: tamten zawsze transcendentalista, dla którego Bóg i świat niewidzialny są właściwie jedyną rzeczywistością, — ten realista nawskróś, szukający Boga „nie w niebie lecz w sobie“, mówiący drastycznie o „antropomorficznych absurdach“, — do religii katolickiej zwracający się nie z upodobania, ale poprostu z potrzeby „ładu w myśleniu“. Ale tu też właśnie uderzające do Newmana podobieństwo. Tyrrell w spotęgowanym stopniu posiada te dwa przedmioty, z których jeden nadał kierunek losom Newmana, drugi — charakter jego osobistej teologii: więc radykalizm logiczny, prowadzący każdą ideę do ostatnich konsekwencyj, i głęboki sceptycyzm, posunięty

u Tyrrella według własnego jego określenia do sympatyi wszystkich władz duszy z negnacyą. Łączy go wreszcie z Newmanem żywy zmysł społeczny, uznanie potrzeby silnej organizacyi religii jako funkcyi socyalnej. Ten zmysł prowadzi jego, jak Newmana, z liberalno-anglikańskiego otoczenia na łono najsilniej zorganizowanego z kościołów — Tyrrell przeszedł na katolicyzm w 18 roku życia — a dalej do zakonu jezuitów. Ale o ile ten ostatni przymiot i zewnętrzne jego życie kieruje na te drogi co Newmana, o tyle tamte dwa pierwsze właśnie mocą większej niż u Newmana intensywności historyę Tyrrella-katolika musiały uczynić znacznie od newmanowskiej odmienną i bardziej dramatyczną. Gruntowniejszy od Newmana myśliciel, nie unosił się, jak on, ideą zastosowania teoryi ewolucyi do życia dogmatów religijnych, nie marzył o pojednaniu liberalnej lewicy z autorytarną prawicą w Kościele: uznawał oba kierunki za uprawnione i konieczne, jak obie wielkie partye w parlamencie angielskim, — i w tym względzie realizmem kardynalnie różny od Newmana, który zawsze o przyszłej wszech-jedności marzył. Tyrrell, przeciwnie, na horyzoncie niedalekiej przyszłości widzi widmo schizmy, i jako jedyny ratunek znowu zaleca to, co zalecało polityczne doświadczenie Anglii: wyrozumiałość i pojednawczość w stosunkach między stronnictwami, czyli poprostu dbałość o równowagę.

Ale te wszystkie wskazania, to tylko jakby preludya do wielkiej rewolucyjnej myśli, która wreszcie się skrystalizowała u Tyrrella. Jedną z cech prawdziwie po irlandzku różnostronnego charakteru tego wielkiego Irlandczyka była od lat wczesnych, jak sam opowiada, „namiętna miłość wolności“. Zwalczać ją z trudem musiał, gdy był jezuitą; i ona to później skrzydeł dodała nieprzepartemu rozumowaniu, które tem pewniej przywiodło Tyrrella do nieuniknionego wniosku, że „*Kościół* i *Wolność* to są dwie rzeczy bardzo ściśle ze sobą spojone“, że w Kościele „niema miejsca dla autorytetu, gdyż autorytet jest czemś zewnętrznem“, że „wolne poddanie się Prawdzie tkwi w istocie Kościoła“, że „idealny Kościół jest harmonią indywidualnych wolności“.

Trudno, czytając takie streszczenie ostatecznych opinii Tyrrella, nie użyć znowu wyrazu „tragizm“, który ciśnie się na usta, gdy się mówi o Newmanie. Ale życie Newmana zakończyło się w idyllicznym spokoju celi klasztornej; Tyrrell przejść musiał sceny burzliwsze: za-

lecając „pewien umiarkowany agnostycyzm“ w odniesieniu do straszliwego dogmatu o piekle, użył wyrazu elektryzującego, i wnet był z władzami kościelnemi w walce, która pokojem zakończyć się nie mogła. „Po owocach ich“ niebawem poznał fanatycznych stronników autorytetu i z boleścią się przekonał, że owa „harmonia indywidualnych wolności“ przynajmniej w Kościele katolickim, jakim on jest, miejsca mieć nie może. Czy jest możliwą w jakimkolwiek przeszłym, teraźniejszym lub przyszłym Kościele, — to najpoważniejsze zapytanie, jakie nam nieuchronnie nasuwa studyum wojowniczej działalności Tyrrella.

Filozoficzne, a raczej psychologiczne zapatrywania Tyrrella na dogmatyczną religię Kościoła podobne są do zapatrywań Newmana: jak tamten w *Grammar of Assent* uznał niemożliwość rozumowego udowodnienia tez wiary, tak ten w *Lex orandi* widzi we wszystkich dogmatach, dotyczących natury boskiej i poza-ziemskiego życia duszy ludzkiej, tylko analogie, *umbras et imagines* słowami św. Pawła. Wiersz Goetego

„Alles Vergängliche ist nur ein Gleichnis“

mógłby służyć jako godło Tyrrellowskiej dogmatyki.

I jak Newman w głosie sumienia znalazł najsilniejszy dowód istnienia Boga, tak Tyrrell w *Lex credendi* apeluje do zmysłu moralnego, jako źródła idei absolutnego Dobra, która stanowi główną treść koncepcyi boskości. I właśnie na rozumowaniu Tyrrella, jak zwykle przenikliwszem w formie od argumentacyi Newmana, jeszcze dokładniej sobie uświadamiamy, że ze stanowiska ich obydwóch wobec oficyalnej dogmatyki jako logiczny wniosek wynika bezcelowość i zbyteczność ogromnej masy rozumowego trudu, nagromadzonego w systematycznej teologii, — bezcelowość i zbyteczność Kościoła jako trybunału w rzeczach wiary, jako instytucyi ujmującej wiarę w karby organizacyi. Odwołanie się do osobistego poczucia dobra i zła, — to najżywotniejszy, najgoręcej przez każdego dzisiejszego człowieka odczuwany, najwymowniej sławiony i przez Zdziechowskiego szczegół w religijnym programie modernizmu; ale trzeba jasno uprzytomnić sobie prawdę, że przyznanie temu szczegółowi wagi decydującej zarazem najfatalniej godzi w sens i potrzebę wszelkich zrzeszeń społecznych o charakterze religijnym. prócz najogólniejszej jedności ludzi, na swoje rozmaite sposoby o przedmiotach religi myślących. Jako

podstawa wspólności interesów pozostaje w takim wypadku jedynie zmysł czy nastrój religijny, u niektórych silniejszy niż u innych, a zresztą religia staje się w najściślejszem znaczeniu spospolitowanego przez agitatorów socyalistycznych określenia „rzeczą prywatną“. I zważywszy, jak wiele funkcyi społecznych, które w średnich wiekach jednoczył w swych rękach Kościół, przechodzi nieustannie już od czasów Odrodzenia w ręce przeróżnych zrzeszeń świeckich, które je pełnią nie gorzej od niego, — ostateczny werdykt, że zostanie na świecie *religia bez Kościołów*, wydać się musi niezaprzeczoną tendencyą rozwoju historycznego. Heroiczny akt Newmana był z tego punktu widzenia beznadziejną próbą przywrócenia jednej formie organizacyi społecznej tej władzy, którą coraz silniej dzierżą inne. Tyrrell ze swym silnym zmysłem dla rzeczywistości tak zmieniać i nawracać oczywisty prąd nie usiłował. Nie znaczyło to coprawda, żeby odmawiał prawa bytu Kościołowi na ziemi. Kościół widzialny — w przeciwieństwie do niewidzialnego Kościoła, Kościoła świętych, który w marzeniach Tyrrella niemniej rzeczywiście istnieje niż w poetycznych wizyach Newmana — Kościół jako zrzeszenie ludzi wydaje mu się przedewszystkiem praktycznem narzędziem walki ze złem i grzechem w świecie, ma więc swoje usprawiedliwienie, jak samo wierzenie religijne, w sferze moralnej. Że właśnie z tego punktu widzenia Kościół, jak się nam ukazuje w historyi i teraźniejszości, jest omylny, bynajmniej nie wolny od błędów i słabości, to i Tyrrell, choć nie *explicite*, przyznawał w *Lex credendi*. Niechętnie i z trudnością zasady pełnej i bezwarunkowej nieomylności się zrzekał, bo sercem przylgnął do idei powszechnego Kościoła i nie chciał go widzieć bez głównej ostoi autorytetu. Próbował dowodzić, że w sporze między urzędowym a liberalnym katolicyzmem „chodzi nie o fakt nieomylności Kościoła, ale o jej granice“. Właściwą funkcyę papieża pojmował jak funkcyę konstytucyjnego monarchy: papież ma z wysokiego swego miejsca wypowiadać i blaskiem swego majestatu otaczać idee, ożywiające cały Kościół, ma wyrażać *consensus fidelium*. Jak daleko od tego odbiega nowoczesny autokratyzm papieski, Tyrrell widział, i pragnąc ocalić organizacyę kościelną, w praktyce zalecać tylko może liberalnym katolikom pozostanie w nim i cierpliwość; spodziewa się lepszego „psychologicznego klimatu“, jakiegoś spontanicznego samo-przeobrażenia Kościoła. W tym sensie nie waha

się powiedzieć, że reformatorzy XV wieku byliby lepiej zrobili, nie opuszczając Kościoła, i byliby lepiej uzdrowili Kościół, niż go uzdrowił sobór trydencki. Tu już typowo angielskie przywiązanie do instytucyi, jako takich, doprowadziło do oczywistego absurdu.

I na stanowisku kompromisowem, a raczej w przekonaniu o gościnnej szerokości ścian prawdziwego Kościoła trwał Tyrrell nawet jeszcze po ostatecznym zatargu z władzą duchowną, po gwałtownym odruchu obrażonej godności osobistej przeciw propozycyi kontroli przełożonych nad korespodencyą prywatną. Jeszcze publikując swój decydujący list w tej sprawie po angielsku, Tyrrell nawoływał do pozostawania w kościele katolickim, choćby w imię nie tego, czem on w obecnym ustroju jest, lecz czem jeszcze dla ludzkości stać się może. Z tej ostatniej pozycyi, na której mógł przynieść chwałę i pożytek swemu Kościołowi, spędził go wreszcie — trudno wyrazić się inaczej — sam Kościół w postaci swych urzędowych przedstawicieli. Co prawda, kto ośmielił się napisać, że Pan Bóg na bliskie bankructwo teologii urzędowej patrzeć będzie równie obojętnie, jak patrzały gwiazdy na bankrutujący system Ptolemeusza, ten nie mógł się spodziewać czego innego jak *excommunicatio latae sententiae*, gdy na antymodernistyczną encyklikę Piusa X polemicznie odpowiedział listem do *Times*. Zresztą wreszcie i w tym liście Tyrrell obstawał za tem, że w Kościele pozostać należy, właśnie po to, by go bronić przeciw papieżowi i dzisiejszym scholastykom. A po wykluczeniu z Kościoła rzymskiego oparł się silnej pokusie powrotu na łono anglikanizmu, który mocą panującej u narodu angielskiego wolności słowa chyba ze wszystkich istniejących kościołów chrześcijańskich najwięcej daje możności jednostkom w rodzaju Tyrrella do dobroczynnego dla ogółu rozwinięcia energii duchowych swego umysłu. Jeszcze w najgwałtowniejszem potępieniu rządów papieskich przeszłych i współczesnych — w rozprawie *Medievalism* — Tyrrell dowodzi, że „zmieniać w Kościele należy jaknajmniej, zachowywać jaknajwięcej“, czyli, że wyznaje dla instytucyi rzymskich takąż cześć i miłość, z jaką do sakramentalnych form konstytucyonalizmu angielskiego odnosi się obywatel Wielkiej Brytanii. A wszelkiej łączności z liberalizmem protestanckim wyrzekł się wyraźnie w swej ostatniej książce „Chrześcijaństwo na rozdrożu“. Choć przez Rzym wyklęty, idei katolicyzmu pozostał niewzruszenie wierny do końca, i do końca nad nierozwiązalnym

problematem zharmonizowania wolności z autorytetem w religii się mozolił, owiany bezbrzeżnym smutkiem nieuchronnego osamotnienia. „Program postępowania, który obrałem sobie, możliwym jest dla jednostek z duchem bohaterskim; nie mogę powiedzieć, że był on zbawiennym dla mego własnego ducha, i nie mogę go sumiennie polecić nikomu ze zwykłych śmiertelnych...“

Ci „zwykli śmiertelni“ — to tło, najlepiej uwydatniające tragiczną szarpaninę, która wypełnia życie szlachetnych „modernistów“ przeróżnego autoramentu. Przejęci prawie bez wyjątku przekonaniem o potrzebie społecznej organizacyi religii, z boleścią sobie uświadamiać muszą, że największym wrogiem, jak to słusznie tylu teologów stwierdziło, jest nie ateizm filozoficzny, lecz indyferentyzm, — tylko indyferentyzm panujący, jak się okazuje, zarówno u szarego ogółu niewierzących, jak u szarego ogółu wierzących. Faktycznie wielbionego przez wszystkich starych i nowych mistyków „zmysłu religijnego“ w stopniu jako tako rozwiniętym nie posiada i tłum tych, co w Kościele pozostają, — tak samo jak nie posiada żywego zmysłu dla piękności literatury, muzyki, malarstwa, rzeźby — tłum półwykształconych czytelników, słuchaczy i widzów. Idealne połączenie dobroczynnej miary autorytetu z osobistą swobodą ducha może i nigdy u tych „zwykłych śmiertelnych“ dokonać się nie da, bo nie łakną oni tej swobody tak gorąco, jak jednostki wyjątkowe, i nie są zdolni patrzeć tak krytycznie na samych stróżów autorytetu. Jeżeli mimo to z hasłem „wolność i autorytet“ jako programem odrodzenia Kościoła zgodzić się trzeba, to przedewszystkiem odnosić się ono będzie do tych, którym — czy w zawodzie teologicznym czy świeckim — wypada sprawować rządy nad religijnem życiem ogółu i wskazywać mu drogę — członkom tego idealnego zakonu przyszłości, o którym marzył i Towiański i Fogazzaro, który w Anglii próbował stworzyć Newman; w ich umyśle idealnie jednoczyć się powinien indywidualizm z dyscypliną. Dlatego tak mało na ogół w literaturze modernistycznej uwzględniana kwestya wychowania religijnego i wykształcenia teologicznego szczególną ma doniosłość. Trudno, czytając choćby książkę Zdziechowskiego, oprzeć się nużącemu wrażeniu, że w produkcyi różnych współczesnych „poszukiwaczy Boga“ niejeden mozolny proces psychiczny niepotrzebnie się powtarza, i dużo cennej energii się marnuje. Winna temu w znacznej mierze niedostateczna lub — u duchow-

nych katolickich — jednostronna znajomość historyi usiłowań religijnych. I tu zaprzeczyć nie można, że protestancki system wykształcenia młodych teologów—prawdziwie akademicki — ma znaczną wyższość nad katolickim — klasztorno-seminaryjnym, i lektura Nowego Testamentu w szkole średniej więcej warta od lekcyi apologetyki i dogmatyki.

Protestantyzm nie cieszy się sympatyą ani nawet znacznem zainteresowaniem u katolickich modernistów—tak jakby sie obawiali, że ostatecznie weń popaść muszą, gdy go głębiej poznają. Wolą zajmować stanowisko zasadniczej awersyi. A jednak dla praktyki życia religijnego nie w jednej tylko, wspomnianej właśnie, sprawie wychowania wiele u protestantyzmu nauczyć się można. Marzyć o ideałach trzeba zawsze — bez tego niema postępu; ale gardzić technicznymi szczegółami ich urzeczywistnienia nie należy nigdy i nigdzie. Właśnie z tego względu „wtargnięcie ducha anglosaskiego do sfery katolicyzmu“, dokonane dotychczas tylko w takich odosobnionych wypadkach jak działalność Newmana i Tyrrella, byłoby pożądane na skalę szerszą. Narodowy kościół angielski, najbliżej stojący katolicyzmu ze wszystkich protestanckich, najlepiej zdołał pogodzić pewien stopień przymusu ze znaczną miarą osobistej swobody. Udało mu się to dzięki wyrobionej u narodu angielskiego i tkwiącej w jego charakterze zdolności do największej w życiu sztuki — unikania ekstremów. Wzgardzony przez tylu innych *kompromis* Anglicy nietylko w dziedzinie polityki podnieśli do najwyższej godności i uczynili środkiem wielkich tryumfów.

I jeszcze jedną lekcyę daje historya kościoła angielskiego. Dążenie do Kościoła powszechnego, jak do wielu innych ogólno ludzkich - ideałów, wiedzie przez ograniczenie wybujałego dziś nacyonalizmu, ale oczywiście nie przez jego unicestwienie. Wszystkie wielkie twory ducha ludzkiego zabarwienie narodowe jako jeden ze składników swej cenności mieć będą Otóż Anglia daje nam przykład kościoła narodowego, doskonale zastosowanego do specyficznych potrzeb i właściwości narodu, a jednak nie oddanego biernie na usługi władzy państwowej, jak kościół rosyjski. I bodaj czy nie słusznie twierdził światły anglikański duchowny W. R. Inge — najbardziej może do modernistów katolickich zbliżony, mistyk protestancki dzisiejszy — że wizya powszechnego kościoła chrześcijańskiego chyba tylko w postaci federacyi kościo-

łów narodowych konkretne kształty przybrać może[1]) — tak jak zjednoczenie polityczne Europy tylko jako federacya wolnych narodów możliwe nam się wydaje. Ale do pierwszego celu chyba równie daleko, jak do drugiego. Rzym nie stworzy „Zjednoczonych Stanów Chrześcijaństwa“, a czy stworzyć je zdołają rozrzuceni po świecie i pogrążeni w osobistych rojeniach marzyciele o odrodzeniu religii, chociaż ich obecnie znamiennie wiele i dziwnie są do siebie podobni, — na to pytanie historya modernizmu twierdzącej odopowiedzi nie dała.

Prawdopodobnie będziemy i nadal mieli widowisko nielicznych głęboko religijnych jednostek, tragicznie walczących o możność pozostania w Kościele i podniesienia go z upadku, a poza niemi — oprócz namiętnych przeciwników religii — rosnącą masę ludzi wobec religii obojętnych, i topniejącą — ludzi równie bezmyślnie religię praktykujących. A pozytywnym ogólno - ludzkim pożytkiem z usiłowań przeróżnych współczesnych wskrzesicieli religii pozostanie jednogłośne ich nawoływanie ku osobistemu samoudoskonaleniu jako drodze do tego „wewnętrznego Boga“, który jednak stanowi główny przedmiot wiary dla dzisiejszego człowieka. Sokratesowskie *dajmonion* raz jeszcze okazało się natchnionem przeczuciem istoty chrześcijaństwa. Pełne pięknej pokory i wzniosłego idealizmu zarazem słowa Fogazzara *Bisogna essere santi* i uchylają niebezpieczeństwo stoickiego ubóstwienia natury ludzkiej, zawarte w takiej „religii sumienia“, i równocześnie tworzą złoty most ku duszom zasadniczo niereligijnym.

---

1) W książce *The Church and the Age* (1912). Por. mój artykuł «Kościół angielski i sprawa społeczna». („Biblioteka warszawska“, 1913, grudzień).

Tadeusz Zieliński.

Prof. Uniw. Petrogradzkiego.

UWAGI NAD „GRAŻYNĄ“.

I.

Miło jest poddać się urokowi dzieła poetyckiego, jako skończonej całości leżącej wszystkiemi swemi częściami w jednej płaszczyźnie świadomości twórcy. Takie jest, w istocie, jego przeznaczenie, w tym celu było stworzone. Większość czytelników nie zna innego stosunku do dzieła sztuki, a jeśli przy takim stosunku spostrzegają w niem sprzeczności, uważają je za „wady“ rozbieranego dzieła i ze swego punktu widzenia, oczywiście, mają słuszność.

Niemniej miło jednak, gdy mamy do czynienia z geniuszem, przyglądać się jego pracy twórczej, śledzić rozwój dzieła w różnych okresach, od powstania pierwszego pomysłu do ostatecznej redakcyi skończonego utworu. Przy takim rozbiorze g e n e t y c z n y m sprzeczności tracą swe znaczenie ujemne, najczęściej bowiem tłumaczą się przynależnością do dwu różnych okresów dzieła i dlatego przestają być sprzecznościami, jak siwa broda starca i krucze włosy młodzieńca w życiu jednego i tego samego człowieka. Są poematy, których, właśnie dla ich genialnego niewykończenia, poprostu niepodobna traktować inaczej jak genetycznie: takim jest „Faust“ Goethego, takimi są „Dziady“ Mickiewicza.

Co się tyczy „Grażyny“, to względem niej długo uznawano tylko pierwszy punkt widzenia: znano ją w tej postaci, w jakiej zjawiła się w wydaniu książkowem wileńskiem z r. 1823, chwalono lub ganiono, ale chwalono lub ganiono jako skończoną całość, w jednej chwili wyłonioną ze świadomości twórcy.

Traktowanie genetyczne stało się możliwem dopiero od chwili odnalezienia a u t o g r a f u poematu, znajdującego się w bibl. hr. Przeździeckich; pierwszą o nim wia-

domość podał K. Wł. Wójcicki w warszawskiem wydaniu Mickiewicza z r. 1858, ale całkowity jego przedruk dał po raz pierwszy W. A. Bruchnalski w „Pamiętniku Tow. Lit. im. Ad. Mickiewicza, t. III (1889), str. 215 i nast.). Jednocześnie ten sam autor w Sprawozdaniu z czynności Zakładu nar. im. Ossolińskich za rok 1889, str. 39 i n., idąc za przykładem Wł. Nehringa, J. Tretiaka, Br. Chlebowskiego, P. Chmielowskiego, poświęcił poematowi artykuł p. t. „Geneza Grażyny", w którym starał się dokładniej od swych poprzedników przeprowadzić granicę między historyą i fantazyą, pierwiastkami własnymi i obcymi. Jednak i po nim zostało wiele do zrobienia, zagadnienie powstania „Grażyny" istnieje po dziś dzień. Miałem możność zapoznać się nieco z tem, co dla zagadnia tego uczyniono po Bruchnalskim; wogóle wszakże muszę i tutaj powtórzyć zastrzeżenie i prośbę, wyrażone w artykule o poezyi filareckiej (Myśl Nar., № 1), na wypadek, gdyby którakolwiek z następujących uwag została już uczyniona przez badaczy, których prace były dla mnie niedostępne.

II.

Zacznijmy od samej idei poematu.

„Odyniec kiedyś w liście do S. Korsaka napisał, że źródła kultury jego i Adama były te same, i wymienia między innemi obok Homera, Tassa i Wirgiliusza także romanse i romansowe powieści, tłomaczone z francuskiego" (Bruchnalski, 53). Zgodnie z tą wskazówką Chlebowski gruntownie zbadał wpływ „Jerozolimy Wyzwolonej" na „Grażynę"; Bruchnalski z tegoż stanowiska bada romanse francuskie, zwłaszcza „Numę Pompiliusza" i „Gonzalwa z Korduby" Florian'a; nie pominięto Ossyana i Walter Scotta; nawet Kamillę Wirgiliusza uznano—obok wielu innych— za wzór bohaterski Mickiewicza. Zapomniano tylko tego, kogo Odyniec wymienia na pierwszem miejscu: H o m e r a [1]).

Prawda, Bruchnalski w swojem wydaniu „Grażyny" (Dzieła Ad M., wydanie Tow. Ad. M., III, 93) upatruje wpływ pogrzebu Patroklesa i Hektora na opis pogrzebu

---

[1]) Jeżeli nie liczyć uwagi, mimochodem rzuconej przez prof. Tretiaka (Młodość Mickiewicza, II, 130): «Litawor — to niby Achilles litewski».

mniemanego Litawora, ale sądzi o tych reminiscencyach, że one „dostały się do Grażyny nie wprost z Iliady, ale za pośrednictwem Stryjkowskiego, który przy opisie pogrzebu Swintoroga przytacza z Iliady w przekładzie łacińskim właśnie wyżej wymienione dwie sceny pogrzebne. Ja jednak sądzę, że wpływ Iliady był o wiele głębszy.

„Młody rycerz obrażony chciwością wodza, buntuje się przeciwko niemu, uciekając się przytem do pomocy wspólnego wroga. W obronie sprawy narodowej jednak występuje najdroższa dlań istota, rzuca się na wroga w jego zbroi, myląc tem wszystkich, i ginie w walce. Rycerz mści się za nią, lecz zemsta nie zmniejsza żalu, że przez nierozumny gniew utracił to, co nad wszystko ukochał". Oto w kilku słowach treść Iliady; tak, ale jednocześnie jest to treść Grażyny; naśladując „pieśń o gniewie Achillesa", Mickiewicz napisał nową „pieśń o gniewie Litawora".

Dalej interesującą jest rzeczą porównać opis tego gniewu u obu poetów. U Mickiewicza będzie to długa rozmowa Litawora z Rymwidem (w. 78—480), w szczególności skarga Litawora (w. 340: „dość tego, Rymwidzie!" do w. 452), który jest oburzony, że Witold zabiera mu Lidę. Czyż nie dosyć, że z powodu chciwości Witoldowej wszyscy książęta litewscy ustawicznie są na koniu, walcząc to z Krzyżakami, to z Polakami (zanotujmy mimochodem homerycki epitet Polski pięknie zbudowanej— *Euktimenes*).

366. Z łupów po łupy i z bitwy na bitwę
Świat, jako wielki, zbiegliśmy dokoła
372. A cośmy skarbu z zamków wyłamali,
375. Jemu znosimy, spędzamy ochotnie.
Na trudach naszych w potęgę urasta...
400. A ja com zyskał za rany i znoje?
422. Cóżem chciał wynieść z ognia i kurzawy?
Państwa czy skarby? Nie, nic, kromie sławy!
Ale i sławą wszystkim ponad głowę
Witołd poleciał, Witołd wszystkich gasi...
432. Przecież nie zajrzym. Niech walczy, niech gromi,
Niechaj się w imię i skarby bogaci.
Tylko niech zęba chciwego poskromi
Od swych ojczyców, od ziemie swej braci.

Wszystko to są achillesowskie motywy. Tak właśnie Achilles, opowiadając Odysseuszowi, skarży się na chciwość i niewdzięczność Agamemnona. „Wiele nocy bezsennych spędziłem — mówi (IX, w. 325 i n.) — wiele krwawych dni na wojnie, walcząc z mężami dla niego.

Dwanaście miast zdobyłem natarciem z morza, jedenaście — w walce lądowej na trojańskiej równinie, ze wszystkich pobrałem wiele pięknych skarbów, i przynosiłem wszystko i oddawałem Agamemnonowi; on, będąc zawsze w tyle, przyjmował je, niewiele rozdarował, większą część sobie zostawił". Dalej i on powiada że pogardził długiem życiem dla sławy (w. 410 — 413) i tem przypomina nam inną skargę (I, w. 352 in.): „Jeżeli już niedługo żyć mi sądzone, to niechby przynajmniej sławę dali mi bogowie; ale i tego już nie mam: zbezcześcił mnie Agamemnon".

To podobieństwo przewyższa wszystko, co przytaczano na dowód zależności Mickiewicza od Tassa; ale najbardziej uderzającem wydaje mi się następujące zestawienie. Gdy Achillesowi wydaje się, że jego rozmowa z posłami Agamemnona nadmiernie się przeciąga, ucieka się do takiego podstępu, by ją zakończyć uprzejmie (w. 620): „Tak rzekł i milcząc brwi poruszeniem dał znak Patroklesowi, żeby miękkie usłał Feniksowi łoże: a to w tym celu, by posłowie rychlej pomyśleli o wyjściu z namiotu". Tego motywu zapożyczył Mickiewicz (w. 474):

To powiedziawszy, usiadł i w dłoń klasnął;
Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty
I legł, nie na to może, aby zasnął,
Lecz aby Rymwid miał się precz z komnaty.

O interesującym waryancie tego miejsca niżej będzie mowa; tu przytoczyłem je jako jeden więcej dowód, że istotnie zgodnie ze słowami Odyńca, Homer zajmował pierwsze miejsce wśród źródeł natchnienia Mickiewicza.

III.

Krytyka Grażyny wytknęła przedewszystkiem dwie wady w kompozycyi: nieprzyjęcie posłów krzyżackich przez Litawora i jego twardy sen o poranku dnia. Rękopis dowodzi, że poeta widział obie wady, że chciał je złagodzić, lecz jednocześnie nie chciał zanadto zmieniać gotowego już poematu. Na tem polega główna wartość autografu.

W samej rzeczy, jak ma się sprawa z posłami? Przybywają późnym wieczorem: „Książe jest w zamku?" Proszą ich, by poselstwo odłożyli do rana, oni zaś domagają się stanowczo, by ich przyjęto tej jeszcze nocy, przyczem ich wódz — jak się potem (w. 644) okazuje, Komtur Dietrych von Knieprode — każe nieść do księcia

swój pierścień: „Skoro ujrzy godło, pozna kto jestem“. Straż woła Rymwida, który podejmuje się pójść do księcia. Czy bierze z sobą pierścień Komtura? Należy przypuszczać, że tak; ale oczywista, że go Litaworowi nie pokazuje. Nic dziwnego: jak dowiadujemy się z w. 225, chciał on sam wprzód księcia wybadać, w jakim celu przyjechali posłowie. Tak więc idzie do księcia. Litawor (w. 80) słucha, co Rymwid o Niemcach powiada, ale co innego ma na myśli i korzysta ze sposobności, by serce przed Rymwidem otworzyć. — Ten słucha, odpowiada, potem podchodzi do okna i jakby spostrzegając mówi (w. 216):

Jakiegoś widzę rumaka przy wieży,
A tuż i rycerz oparty na łęku,
Drudzy dwaj chodzą, konie wodząc w ręku;
Posły niemieckie — poznałem z odzieży;
Czy ich zawołać? czyli niech na dole
Przez usta sługi odbiorą twą wolę?

Otóż tutaj właśnie autograf daje nam—wśród wielu nic nię znaczących — bardzo doniosły waryant; mianowicie czwarty z przytoczonych wierszy miał pierwotnie formę następującą:

To są posłowie — p o z n a j ę z o d z i e ż y

Tutaj czas teraźniejszy jest bardzo znamienny: jest jasnem, że Rymwid udaje, jakoby t e r a z d o p i e r o zauważył posłów niemieckich. A jeżeli tak, toć oczywista, że o komturze nic nie wspomniał księciu, i Litawor nie domyśla się, jaki znakomity gość czeka w podwórcu. Pytanie: „Czy ich zawołać? i t. d.“, podsuwa księciu decyzyę: z prostymi rycerzami niewarto robić sobie kłopotu; zaopiekuje się nimi Rymwid, ten sam Rymwid, który mógł nawet szyki sprawiać, pańską zastępując wolę (w. 856). Tego zdania widocznie, jest i książę: w przybyciu posłów widzi on tylko dowód, że mistrz Pruskiego zakonu dotrzymał danego słowa (w. 252), nie przypuszcza, żeby miało inne znaczenie.

Przy takiej — pierwotnej — koncepcyi poety zarzuty tracą podstawę; mamy tu mądry plan Rymwida zmierzający ku temu, by Litawor sam nie mówił z posłami. Ale przytem niespodziewanie powstaje nowa sprzeczność: w. 219:

To są posłowie — poznaję z odzieży

nie godzi się z w. 80:

Słucha co Rymwid o Niemcach powiada [1])

[1]) W autografie: o p o s ł a c h powiada.

Jeżeli Rymwid już pierwej opowiedział księciu o Niemcach, to tem samem odjął sobie możność udawania, że ich teraz dopiero spostrzegł. Logika wymagała, żeby poeta, zgodnie ze swą pierwotną, trafną i uzasadnioną koncepcyą, zmienił w. 80 — innemi słowy; żeby znalazł dla Rymwida inny powód do rozmowy z księciem. Akcya w tem miejscu (od w. 75) mogłaby się rozwijać np. następująco: „Rymwid wziął pierścień i stanął, naślając się, jak postąpić. Nagle zjawia się sługa i wzywa go do księcia[1]). Rymwid posłuchał i, przyszedłszy na pokoje książęce, postanowił do czasu nic nie mówić o posłach spodziewając się, że książe sam cel ich przybycia mu wyjawi. I oto książe zaczął“ i t. d. Wtedy wszystko byłoby bez zarzutu. Ale wiemy, że Mickiewiczowi przy końcu ciążył ten poemat, pisany — wedle własnego wyznania poety — *Musa invita.* Do poczynienia radykalnych zmian zabrakło mu energii; zauważywszy sprzeczność między w. 80 a 219, zastąpił w tym ostatnim wierszu czas teraźniejszy: „poznaję“ przez czas przeszły: „poznałem“. To nam pozwala — w przeciwieństwie do pierwotnego pomysłu, lecz zgodnie z w. 80—odnieść poznanie do chwili, kiedy Rymwid przechodził przez podwórzec, dążąc do księcia. Ale co zrobił z pierścieniem komtura? Możemy przypuszczać, że podczas rozmowy (w. 536—579) oddał go księżnie, ta zaś (w. 613—616) przez swego giermka zwróciła go właścicielowi; *minima non curat praetor.* W każdym razie nie pokazywał go księciu.

IV.

Drugi zarzut krytyki—to twardy sen Litawora; nie wdając się w jego ocenę, zauważę wszakże, że z tym zarzutem, z jego możliwością liczył się sam poeta; autograf dowodzi, że szereg ustępów, tłumaczących twardy sen Litawora, został wstawiony do gotowego już poematu.

---

[1]) Taką, jak się zdaje, była koncepcya pierwotna, wcześniejsza od autografu. Jej ślad pozostał w w. 677, gdzie Rymwid mówi: „Książe mię woła w największym zapale, rozkazał“. Tak w autografie; przed oddaniem do druku Mickiewicz zauważył sprzeczność i zmienił ten wiersz tak: „Niedawno wołał, w największym zapale rozkazał“ i t. d.

Jedno z tych miejsc, w. 466, było zauważone już przez Bruchnalskiego (P. T. M. III, 218) w. 466.

Wiesz com rozkazał: bądźcie w pogotowiu.
Ja legnę, może duch troskliwy spocznie,
Bom trzy dni nie spał. Teraz jeszcze mrocznie.
Świt będzie widny: ruszymy niezwłocznie,
Synom Kiejstuta w Lidzie zostawimy
Godne dziedzictwo: popioły i dymy!

W autografie to miejsce ma formę następującą:

Wiesz com rozkazał: niechaj w pogotowiu
Wraz wojsko stanie i w polu wypocznie;
Wprzód, niż na niebie błysną rogi nowiu,
Sprawiwszy swoje, powrócisz niezwłocznie,
Krewnym Kiejstuta w Lidzie zostawimy i t. d.

Prawda, że w tej formie posiada też ono inne usterki: wypoczynek wojska w tym czasie wydaje się niewczesnym i nieuzasadnionym, a rogi nowiu pojawiają się na niebie wczesnym wieczorem, nie zaś nad ranem. Tak więc omawiany ustęp w redakcyi ostatecznej zyskał pod każdym względem. Bruchnalski jednak myli się, sądząc, że jest to jedyne miejsce, gdzie poeta umotywował jeden szczegół lepiej w druku niż w autografie. Takież lepsze umotywowanie snu Litawora znajdujemy w w. 60 i n.:

Za cóż dotychczas w Litawora wieży
Lampa jak gwiazdka między kratą mruga?
Wszak dziś powrócił, jeździł w kraj daleki,
Snu potrzebują troskliwe powieki.
On przecie nie śpi. Posłano na zwiady...

W autografie znowu niema tej przygotowawczej aluzyi do snu Litawora, o którym później jest mowa; czytamy tam:

Za cóż dotychczas w Korybuta wieży
Lampa jak gwiazdka między kratą świeci?
Pan musi nie spać. Posłano na zwiady...

Wreszcie w związku z tem uzasadnieniem jedno jeszcze miejsce zostało zmienione lekko, lecz nadzwyczaj charakterystycznie: to znany już nam ustęp, w którym poeta wyzyskał podstęp Achillesa względem posłów Agamemnona (w. 475 i n.). W autografie miejsce to ma postać następującą:

Skoczyli słudzy, kazał zwlekać szaty
I legł, nie na to pewnie, aby zasnął,
Lecz aby Rymwid miał się precz z komnaty —

ale po zmienieniu w. 466 i n., o których mówiliśmy przed chwilą, powstała sprzeczność między nowym

wierszem 467: „Ja legnę, może duch troskliwy spocznie i ciało trochę pokrzepię na zdrowiu“, — a w. 476: „I legł, nie na to pewnie, aby zasnął“. I tu jednak poeta zadowolił się tylko nieznaczną zmianą, łagodząc sprzeczność, lecz nie usuwając jej; w. 476 został wydrukowany tak: „I legł, nie na to może, aby zasnął“.

Tak cenił Mickiewicz motyw homerycki!

W jaki jednak sposób, pytamy, uzasadniony był w redakcyi pierwotnej ten twardy sen bohatera? Zobaczmy.

V.

Rzecz w tem, że w kompozycyi Grażyny są inne jeszcze, poważniejsze usterki. Należą tu przedewszystkiem oba spotkania Rymwida i Grażyny, w. 538—580 i 697—762, w treści zupełnie jednakowe. W obu rozmowach Grażyna mówi Rymwidowi, że niebezpieczeństwo nie jest tak groźne, że gniew księcia może ostygnie — i za każdym razem słyszy od Rymwida odpowiedź, że zwlekać niepodobna, ponieważ hufce tej samej nocy mają wyruszyć w pochód. To nasunęło prof. Tretiakowi (Młodość Mickiewicza, II, 109) myśl, że dwa spotkania są poprostu pleonazmem, że w pierwotnej koncepcyi istniało tylko jedno. Myśl ta wydaje mi się wielce szczęśliwą; potwierdza ją w zupełności ta okoliczność, że wiersze 766—772, przy ostatecznej redakcyi włożone w drugą rozmowę, w autografie znajdują się w pierwszej, następując po w. 571, i z tego miejsca zostały wykreślone.

Ta okoliczność nabiera znaczenia w związku z następującą. Jak wiadomo, pierwotnym bohaterem Grażyny był nie Litawor, lecz Korybut, książe Siewierski, jego zaś wrogiem — nie Witold, lecz Kiejstut; obie te zmiany miały wspólną przyczynę: usunięcie mylnego mniemania, jakoby Nowogródek Siewierski, gdzie panował Korybut, był identyczny z rodzinnym poety Nowogródkiem. O tym pierwotnym swym błędzie mógł się poeta przekonać najprędzej w bibliotece Szczorsowskiej, gdzie pracował w końcu 1821 r., a ponieważ w autografie z początku jest mowa o Korybucie, pod koniec zaś o Litaworze, więc też przypuszczenie Bruchnalskiego, że rękopis był pisany w Szczorsach, jest wielce prawdopodobne.

Gdzież jednak dokonała się zmiana w redakcyi? Po raz ostatni w rękopisie imię Kiejstuta zamiast późniejszego

Witolda spotykamy w w. 662, po raz pierwszy wymieniony Litawor zamiast Korybuta w w. 798. Zmiana więc zaszła między rozmyślaniem Rymwida po odprawie posłów przez giermka Grażyny a wyjściem mniemanego Litawora do wojska. Kombinując ten rezultat z poprzedzającemi rozważaniami, dochodzimy do wniosku, że zmiana zaszła przed drugą rozmową Rymwida z księżną. Przed nią mamy redakcyę kowieńską — dlatego mowa o Korybucie; po niej — szczorsowską, dlatego mowa o Litaworze. Rzecz zrozumiała, że między jedną i drugą upłynął pewien czas, w ciągu którego mogły zajść i inne zmiany w pierwotnym pomyśle poematu, m. in. także zdwojenie widzenia się Rymwida z Grażyną— albo raczej, według wcześniejszej redakcyi, Karyną.

Jak miał się rozwijać poemat według redakcyi pierwotnej, gdzie była jedna tylko rozmowa?

Należy pamiętać przedewszystkiem, że rozwiązanie fabuły — zjawienie się Grażyny - Karyny w zbroi mężowskiej i jej śmierć ofiarna — było przewidziane przez poetę od samego początku; już w pierwszej połowie poematu czytamy (w. 501 i n.):

Ona się jedna w dworze całym szczyci,
Że bohaterską Litawora postać
Wzrostem wysmukłej dorówna kibici.

Słowa te usprawiedliwiają, dlaczego Rymwid i inni mogli księżnę w zbroi wziąć za Litawora. Jeżeli tak, to do pierwotnej koncepcyi należy i twardy sen księcia, który dał księżnie możność nałożyć w jego sypialni zbroję i zamiast niego pojawić się przed wojskiem.

Teraz proszę, by czytelnik zechciał sobie przypomnieć, że w koncepcyi pierwotnej ten sen nie był motywowany znużeniem księcia; przeciwnie, tylokrotnie przeze mnie cytowany w. 476: „I legł, nie na to pewnie, aby zasnął“, dowodzi, że książe wcale nie chciał zasnąć. Samego Rymwida sen ten wprawia w zdziwienie (w. 673 i n.):

Zbliża się ku drzwiom, w pokoju noc cicha,
A książę dotąd snem twardym oddycha.
„Cuda prawdziwe! Nie odgadnę cale,
„Jakim dziś wszystkie rzeczy biegą torem:
„Książe mię woła w największym zapale,
„Rozkazał wojsko zgromadzić wieczorem
„A sam śpi dotąd?“

Dlatego możemy sobie postawić pytanie; czem umotywowany został w pierwotnej, kowieńskiej redakcyi ten twardy sen Litawora?

Odpowiedź daje nam poemat, który uznaliśmy za główny wzór Grażyny: Iliada.

Wszystkim czytelnikom pamiętna jest oryginalną pięknością, nieco zmysłową, lecz jednocześnie przedziwnie czystą, pieśń XIV, zatytułowana: „Oszukanie Zeusa“. Nie chcąc, by za wolą Zeusa trojanie zadali porażkę achejczykom, Hera udaje się do Zeusa i swą pieszczotą go usypia, podczas jego snu zaś przez Posejdona daje zwycięstwo achejczykom i napad trojan na okręty zostaje odparty.

Czy można przypuścić, że i w Grażynie pierwotnie sprawa rozwijała się podobnie? Nie uwierzy temu czytelnik ostatecznej wileńskiej redakcyi: wszak w w. 607 — po rozmowie księstwa, którą przez szparę podpatrzył i podsłuchał Rymwid — powiedziano wyraźnie:

...już w swój gmach niewieści
Odeszła księżna.

Otóż tu przychodzi nam z pomocą autograf, zmieniając domysł w pewność. Istotnie napisano tam:

...już w swój gmach niewieści
Musiała odejść.

Tak więc jej odejście — to tylko domysł Rymwida; w rzeczywistości nie odeszła. Została u księcia; jasne, w jakim celu. A skoro tak, to niema miejsca na drugą rozmowę z Rymwidem; od księcia wyszła księżna dopiero po to, by w jego zbroi połączyć się z wojskiem.

Warto uważnie rozejrzeć się w scenie między księciem i księżną, poczynając od w. 596: w autografie scena ta ma postać następującą (przyczem zmiany w ostatecznej redakcyi, wyjąwszy przytoczony wyżej w. 607 i n., nie posiadają większego znaczenia):

Rozmowa coraz żwawsza i zmieszana,
Coraz wolniała, coraz trudniej słychać —

Gdyby księżna namawiała męża do zaniechania wyprawy, rozmowa powinnaby stawać się coraz żywszą i głośniejszą, jak to było w rozmowie księcia z Rymwidem. Otóż nie — księżna prosi, by mąż noc tę jej poświęcił; przy takim temacie zniżenie głosu jest zupełnie naturalne:

Częściej głos pani, bardzo rzadko pana.

W rozmowie z Rymwidem było odwrotnie: na 123 wiersze Rymwida mamy tam przeszło 200 wierszy księcia.

Milczał, niekiedy zdawał się uśmiechać.

Ten uśmiech, rzecz jasna, to nie śmiech szyderczy, którym książę (w. 102) zaprawia rozmowę z Rymwidem; widoczna, że z księżną mówi o czemś innem:

Nakoniec księżna padła na kolana.
Wstał, nie chciał podnieść, a nie śmiał odpychać.

To ostatnie jest tylko domysłem Rymwida; w ostatecznej redakcyi poeta podkreślił to jeszcze mocniej:

Wstał, nie wiadomo, podnieść, czy odpychać,
Kilka słów znowu wymówił goręcej
A potem umilkł i nie mówił więcej.
I było cicho. Znowu postać w bieli
Przemignie ku drzwiom, klamką zaszeleści:

Tak więc pozornie gotuje się wyjść — taką groźbę mogła zaryzykować, pewna, że nie będzie potrzebowała jej wykonać[1]). Istotnie, drzwi nie otworzyła, choć Rymwid przypuszcza, że to uczyniła:

Czy uprosiła, czy się nie ośmieli
Dłużej go prosić — już w swój gmach niewieści
Musiała odejść.

I tu sam odchodzi; dalsza jego obecność, rozumie się, była niemożliwa. Jest stroskany niepewnością: czy uprosiła, czy też nie ośmieli się dłużej go prosić? Ale oto przechodzi obok Krzyżaków; widzi, jak giermek księżny każe im wyjeżdżać. Tu staje się dlań widocznem, że księżna dopięła celu (w. 663 i n.):

Wtem jeden uśmiech i słówko miodowe
Wytrąca oręż, zmusza do powrotu.
A jam zapomniał — widzę, żem zbyt stary —
Co to jest młodość i niewieście czary!

Nie wiedział Rymwid, jak dalece miał słuszność, mówiąc o czarach niewieścich. Mimo to w dalszych rozmyślaniach rzecz wydaje mu się wątpliwą (w. 683):

Inaczej wniosłem z wczorajszej rozmowy...
Wprawdzie żadnegom nie słyszał wyrazu...

Jeżeli poeta tak rzecz prowadził, że Rymwid żadnego nie słyszał wyrazu, to, rzecz prosta, dlatego, iż treść rozmowy była zgoła inna, niż mógł przypuszczać. Tu jednak znajdujemy się bezpośrednio przed zmianą kon-

[1]) Podobnie w XIV pieśni Iliady Hera, wzór Karyny pod tym względem, udaje, że chce od Zeusa pójść do Okeanosa, Zeus zaś ją zatrzymuje.

cepcyi: od w. 685 rozpoczyna się nowa koncepcya, poemat o Litaworze, zamiast dotychczasowego poematu o Korybucie. Po tej zmianie poeta, już w wydaniu wileńskiem, dodał po w. 684:

Lecz długie prośby, głos pana surowy —

wiersz ten, którego w rękopisie niema, radykalnie zmienia charakter rozmowy księcia z małżonką.

Tak więc według pomysłu pierwotnego — w poemacie Korybuta — akcya miała rozwijać się w sposób następujący. Po rozmowie z Rymwidem—jednej tylko— księżnie przychodzi do głowy myśl zbawcza, od której — według autografu — los państwa zawiśnie. Ona przez swego giermka, jak gdyby w imieniu księcia wyprawi posłów, wyrządzając im tym sposobem krwawą obrazę; sama pieszczotą małżeńską uśpi księcia, w jego zbroi stanie na czele wojska, poprowadzi je na obrażonych i zemstą dyszących Krzyżaków i w ten sposób zapobiegnie walce bratobójczej[1]).

Dlaczego poeta zaniechał tej koncepcyi? Myślę, że metamorfoza jego Litewki jest w związku z przeobrażeniem, które się dokonało w jego duszy pod wpływem przeżytej tragedyi miłosnej. Przedtem pociągały go poematy swawolne Woltera, tłómaczył jego *Pucelle* i pisał pod jego wpływem swą lekkomyślną „Anielę". Wtedy scena uśpienia księcia pieszczotą małżonki wydawała mu się możliwą. Teraz stał się czystszym i surowszym; pierwiastku zmysłowego nie mogło być w tej, która miała się stać j e g o Dziewicą Orleańską — w duchu nie Woltera, lecz Szyllera.

VI.

Drugą zmianę w koncepcyi pierwotnej znajdujemy w opisie zgonu księżny.

Z początku mniemany Litawor zmusza do cofania się nieprzyjaciół i wrzyna się w ich szeregi; gdy jednak widzą, że nie jest tak silny, jak śmiały, przestają się bać rycerza i otaczają go (w. 879—89). Rycerz omal nie ginie; w chwili największego niebezpieczeństwa przebija-

---

[1]) O tem, że ona sama może zginąć, mogła nie myśleć: wszak jest amazonką, „Karyną", t. j. waleczną. Podobnie i Patroklęs, występując przeciwko Trojanom, nie myślał, że będzie zabity. W późniejszej redakcyi psychika była inna.

ją się doń swoi i otaczają murem (w. 696 — 910), aż wreszcie sam Komtur wprowadza w bój rezerwy, które przechylają zwycięstwo na stronę krzyżacką; Litwini rozbici (w. 911—17).

Wtem z góry zagrzmiał straszliwy głos męża.

A propos: to efektowne zjawienie się prawdziwego, choć niepoznanego Litawora, również zapożyczone zostało z Iliady; tak właśnie Achilles, zapomniawszy o gniewie, zjawia się nad tłumem walczących, by uratować nie życie wprawdzie, lecz przynajmniej ciało swego druha Patroklesa (XVIII, w. 215 i n.). „On zatrzymał się nad rowem; stojąc nad nim, krzyknął i wprawił Trojan w niewypowiedziane zamieszanie. Trzykroć nad rowem zawołał mężny Achilles, trzykroć zadrżeli Trojanie i ich sławni sprzymierzeńcy...“ Istotnie, aby nie było żadnej co do tego wątpliwości, i nasz poeta mówi dalej (w. 925):

Trzykroć zawołał, zleciał nakształt gromu...

Ale to tylko przelotna uwaga.

Litawora od Litwinów dzieli oddział Komtura, przez który książę musi się przebić do swoich (w.927—40); póki walczy, odbywa się pojedynek między komturem i mniemanym Litaworem, który śmiertelny strzał w pierś odbiera. Czarny rycerz — Litawor prawdziwy — przebił się zbyt późno; obala z konia komtura, potem (w. 963):

Gdzie obskoczyły książęcia dworzany
Przybiega, chwyta, rwie pancerza węzły...

Kto? Oczywiście czarny rycerz. Ale jak wtedy wytłomaczyć w. 968 i n.:

Ból zemdlonego do zmysłów przywoła;
Otwiera oczy, spoziera dokoła
I znowu wciska na oczy przyłbicę;
Z gniewem żołnierze i sługi odpycha,
A Rymwidowi ściskając prawicę:
„Już jest po wszystkiem starcze“, mówi z cicha:
„Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę“.

Jesteśmy zdziwieni: gdzież czarny rycerz? Sądzę, że każdy, kto uważnie odczyta to miejsce — podobnie jak ja, zanim zapoznałem się z rękopisem — przyjdzie do przekonania, iż do Grażyny przybiegł nie czarny rycerz,

lecz Rymwid: wszak słowa: „precz mi od piersi“ mogą stosować się tylko do tego, kto rwał pancerza węzły, a jednak zwrócone są do Rymwida.

W rękopisie jest inaczej; tam w. 971 i n. mają postać następującą:

Zdumiony męża czarnego odpycha
A Rymwidowi ściskając prawicę:
„Już jest po wszystkiem starcze“, mówi zcicha —
„Przez bogów, szanuj wielką tajemnicę!“

Tak więc przybiegł, istotnie, czarny rycerz; on to, nie Rymwid, rwał pancerza węzły oto dlaczego Grażyna nie mówi do Rymwida: „precz mi od piersi!“ Dlaczego poeta zmienił pomysł pierwotny? Można się tylko domyślać. Być może, chciał wytłumaczyć, jak zjawił się Rymwid razem z czarnym rycerzem — wszak niepodobna było przypuścić, że był przy Grażynie i nie przeszkodził komturowi zabić jej. Być może, poecie wydało się niewłaściwem, by Grażyna w ostatniej chwili przytomności odpychała męża, nawet niepoznanego: niepodobna, by w takiej chwili mąż nie szepnął małżonce: „to ja, twój mąż!“ Poeta poprowadził rzecz tak, że świadkiem tej chwili był tylko Rymwid, książę zaś podjechał ku Grażynie już wtedy, gdy straciła przytomność.

Jakkolwiek prawdopodobnem wydaje się to wszystko, niepodobna zaprzeczyć, że przez usunięcie czarnego rycerza z w. 963—974 powstała niejasność: po w. 962: „a rycerz bieży i tratuje po niem!“ następne słowa: „przybiega, chwyta“ i t. d. w przekonaniu każdego czytelnika stosować się będą do czarnego rycerza, nie do Rymwida. W związku z tą zmianą poeta powinien był wstawić po w. 962 ustęp, poświęcony Rymwidowi, powiedzieć, gdzie był w tej chwili — gdyż rzeczywiście straciliśmy go z oczu w. 856 — dlaczego nie przybiegł z odsieczą mniemanemu księciu. Na to jednak zabrakło energii poecie, któremu, jak wiemy, ciążył cały poemat.

Przeróbka, o której mowa, spowodowała inną jeszcze usterkę, dotyczącą epilogu. W tym dodatku do poematu — dość nieudatnym, jak jednomyślnie uznała krytyka — powiedziano o Rymwidzie, że (w. 22):

póki żył, nikomu nie powiadał o tem.
Snać w przysiędze uwiązan, albo w obietnicy.

Gdzież mógł dać to przyczenie? Jest jasnem, że poeta miał na myśli w. 974:

Przez bogów, szanuj wielką tajemnicę!

Ale to w rękopisie. W wydaniu jest wydrukowane:

Precz mi od piersi, szanuj tajemnicę!

A w tem zestawieniu, słowa te mają oznaczać tylko: „nie wyjawiaj mojej płci“ — i przestały wiązać Rymwida z chwilą, gdy książe sam w przedśmiertnych swych słowach powiedział, kto padł z ręki komtura.

VII.

Jeżeli, tym sposobem, rozwój koncepcyi pierwotnej pociągnął w skutku pewne usterki, narażające poemat na więcej lub mniej zasłużone zarzuty krytyki, to wszystkie te usterki z lichwą wynagradza jedna wielka korzyść: zyskał mianowicie charakter bohaterki.

Ktoś w stosunku do niej użył określenia „posągowość“, które zdobyło powodzenie; termin ten spotykamy nieustannie we wszystkich rozważaniach nad „Grażyną“. Nie będę podawał w wątpliwość jego wartości, ale muszę uczynić zastrzeżenie: według mego zdania, stosuje się on tylko do Karyny z koncepcyi kowieńskiej, nie zaś do Grażyny, która wyrosła z cierpień poety w czasie jego tragedyi miłosnej.

Aby się o tem przekonać, porównajmy postępowanie Karyny po jej jedynej — jak sobie czytelnik przypomina — rozmowie z Rymwidem, z postępowaniem Grażyny po drugiej z nim rozmowie. Doniosłe znaczenie posiadają te wiersze, które umieszczone były pierwotnie po pierwszej rozmowie, a które poeta następnie wykreślił, by je włożyć w usta swej bohaterki po drugiej rozmowie. Oto one (po w. 571: „Noc będzie widna, droga niedaleka“, zam. którego w autografie widnieje: „Kędy krzyżacka zgraja na nas czeka“):

Karyna milczy, przymkniona powieka,
Pochyłe czoło, którem się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka,
W niepewnych rysach wschodzi i przemija
I znowu wschodzi, całą twarz obleka;
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem,
Już umyśliła, postąpiła krokiem,
Skinęła czołem i źrenicą błyśnie —
Ach, od tej myśli państwa los zawiśnie!
„Rymwidzie, tę rzecz porucz mojej głowie,
„Nie chcę, ażeby w Litwie powiedziano i t. d.“

Myśl tę znamy: uśpienie księcia, odprawa posłów, bitwa i z pomocą bogów zwycięstwo. Wszystko zostaje wypełnione zgodnie z postanowieniem, księżna nie waha się ani na chwilę, powodzenie towarzyszy jej zamiarom. Tak, w tej postaci jest posągowość, bije od niej wyniosłość antycznego marmuru.

A teraz porównamy z nią Grażynę.

Cały przytoczony wyżej ustęp zakreślił poeta, prócz dwu ostatnich wierszy; pierwszy z nich w redakcyi ostatecznej przybrał kształt następujący:

Co słyszę, jutro? biada mojej głowie!
Nie chcę, ażeby... i t. d.

Oto pierwsze ustępstwo na rzecz słabości ludzkiej, dopiero pierwsze. Grażyna udaje się do męża z prośbą, by zaniechał wyprawy na Lidę; prośby jej są daremne, pozostają bez skutku. Odchodząc na swoje komnaty, każe giermkowi wyprawić posłów niemieckich... Dlaczego? W nowym układzie i ta odprawa posłów nabiera innego znaczenia. Zresztą, ona sama tłumaczy to nam w drugiej rozmowie z Rymwidem (w. 705):

Posły odprawiam do innego czasu,
Ażeby książę nagłą odpowiedzią
Nie przyrzekł Niemcom, póki zemstą płonie,
Coby rad cofnął, gdy z gniewu ochłonie.

Odprawim? Przecie już ich odprawiła! Czyżby o tem zapomniała? Może udaje? A może poprostu jest to pomyłka poety, zaplątanego w krzyżujących się niciach zmienionej koncepcyi? Jakkolwiek bądź, to „do innego czasu“ jest doskonałe: jak gdyby ci posłowie, ten dumny komtur zakonu dali sobą pomiatać, odchodząc i wracając wedle kaprysu litewskiej księżny! Któż to tak mówi? Karyna? ta sama Karyna, o której powiedziano wyżej (w. 522):

Nietylko łoże i serce podziela,
Lecz myśli jego i władzę nad ludem.
Wojny i sądy[1]) i tajne układy
Częstokroć od jej zależały rady.

Przed nami nie Karyna, lecz rozpieszczona piękna kobieta, po raz pierwszy poważająca się swym dziecinnym rozumem zdecydować ważną sprawą państwową — i popełniająca przytem olbrzymi błąd.

---

[1]) Szukano pierwowzoru tej Karyny u Tassa, u Florian'a i t. d., pominięto zaś wzór prawdziwy: to Arete, wciąż u tego samego Homera, małżonka króla Alkinoosa. Proszę porównać Odysseę, p. VII, w. 67—74.

Że istotnie popełniła ogromny błąd, wkrótce ujrzy to sama. Rozmowę jej z Rymwidem przerywa przybycie giermka: Krzyżacy są w pobliżu, mają napaść na miasto (w. 749):

Mocno Rymwida dziwi ta nowina,
Daleko mocniej dziwi się Grażyna.
„Giermku“, zawoła „kędyż są posłowie?“

Któż to mówi? Wciąż tasama rozpieszczona piękność: posłowie, rozumie się, powinni wrócić, skoro ona tego sobie życzy. Ale posłowie nie wrócą. Od giermka dowiaduje się księżna, że popełniła błąd nienaprawiony, że przez swą dziecięcą lekkomyślność ściągnęła na męża i na ojczyznę straszliwe niebezpieczeństwo napadu krzyżackiego.

Gdzież tu posągowość? Oczywista, charakter Grażyny jest wprost przeciwnością charakteru bohaterki pierwotnej. Miłe, szczęśliwe dziewczę, wychowane wśród pieszczot i rozrywek, nie znające życia, jego twardych warunków, nie zdaje sobie sprawy, że swoim naiwnym postępkiem oddaje męża w moc jego najzaciętszych wrogów... Dziś, w sto lat prawie po napisaniu poematu Mickiewicza, możemy przeprowadzić pewne porównanie: najlepszy komentarz do tej Grażyny — to „Nora“ Ibsena.

Tak; ale tylko w tej chwili, bo co do reszty, to jest cała przepaść między bohaterką polskiego entuzyasty i mizantropa norweskiego, równie wielka, jak przepaść między poświęceniem i egoizmem wogóle. Grażyna także musi się przerobić, przerodzić wewnętrznie: dokonywa tego w krótkiej chwili, która jej pozostała do powzięcia decyzyi.

Ta scena jest pod względem psychologicznym najważniejszem miejscem poematu. I osobliwsza rzecz: do tej sceny, w której całym blaskiem kryształowej czystości jaśnieje charakter nowej bohaterki, dziecięco naiwnej i niedoświadczonej, poeta uznał za możliwe przenieść wiersze, które napisał kiedyś dla nieznającej obaw i wahań amazonki Karyny, potem zaś wykreślił. Mimo to, dzięki zmienionym okolicznościom, wiersze i tu są zupełnie na miejscu (w. 760):

„Tak“, rzecze księżna, twarz odwraca zbladłą,
Lecz pomieszanie, widne w jej osobie,
Do ust wyrazy nieporządne kładło —
„Tak, prawdę mówisz, przypominam sobie...
Jakże to wszystko z głowy mi wypadło

Pójdę — nie, sama już nie wiem, co robię..."[1])
Stanęła, milczy; przymkniona powieka,
Czoło pochyłe, w którem się przebija
Jakaś myśl, jeszcze ciemna i daleka,
W niepewnych rysach okaże się, mija
I znowu wschodzi, całą twarz obleka[2]),
Dojrzewa zamiar, staje się wyrokiem,
Już umyśliła, postąpiła krokiem.

Znamy treść tej walki wewnętrznej; jest to walka ukochania życia z obowiązkiem złożenia życia w ofierze. Nie amazonkę - Karynę mamy przed sobą: Grażyna wie, że na polu walki czeka ją śmierć, ale to wie także, że przez swoją śmierć uniemożliwi nazawsze sojusz między Litaworem i zakonem. I pięknie postąpił poeta, odrzuciwszy w redakcyi kowieńskiej zakończenie przytoczonego przed chwilą ustępu:

Skinęła czołem i źrenicą błyśnie
Ach, od tej myśli państwa los zawiśnie!

Ten błysk oczu jest na miejscu u Karyny, marzącej, jak amazonka, o bitwie i zwycięstwie; byłby zupełnie niewłaściwy u pięknej księżny, gotującej się do odkupienia śmiercią swego błędu.

Piękność tej sceny walki duchowej byłaby już dawno zwróciła uwagę, gdyby nie nieuzasadnione przekonanie o tożsamości Grażyny z opisaną w w. 488—533 amazonką, o której powinniśmy zapomnieć, czytając drugą część poematu.

Jak dalece sam poeta o niej zapomniał, widać z całego wystąpienia bohaterki w mężowskiej zbroicy (w. 805):

Gniewem lub troską zdał się kołatany,
Nierównym stąpał i niepewnym krokiem;
Drżący z rąk giermka wziął łuk i kołczany
Miecz nawet zwiesił ponad prawym bokiem.

por. w. 881:

Bezwładna szabla po pancerzach dzwoni,
Albo się zwija odbita żelazem,
Albo uchybia, albo idzie płazem.

---

[1]) Jest to redakcya szczorsowska (według autografu), lepsza, niż wileńska: „Biegnę — nie, stójmy — albo, wiem, co zrobię". Postanowienie Grażyny dojrzewa dopiero później w w. 771.

[2]) Tu poeta zupełnie trafnie wrócił do pierwotnej, kowieńskiej redakcyi (w wierszach zakreślonych po w. 571), odstąpiwszy od szczorsowskiej: „Raz ją gniew płoni, znowu strach obleka".

Ta niekonsekwencya została zauważona przez krytykę, i prof. Tretiak (Młodość Mickiewicza, II, 111) wiąże z nią zmianę imienia bohaterki w ostatecznej redakcyi. Istotnie przemiana Korybuta na Litawora i Kiejstuta na Witolda wywołane było, jak widzieliśmy, przez wzgląd na historyę, lecz co mogło skłonić poetę do zaniechania wymyślonego imienia Karyny? Sądzę, że prof. Tretiak ma słuszność: Karyna po litewsku znaczy: waleczna; to imię nie nadawało się już dla bohaterki drugiej części poematu, i poeta w redakcyi ostatecznej nazwał ją (w. 491): „Grażyna, czyli piękna księżna“.

VIII.

W poprzednich uwagach starałem się dokładniej, niż uczynili to moi poprzednicy, wyzyskać rękopis szczorsowski dla historyi rozwoju poematu w świadomości poety. To był jeden cel; drugim było ustalenie wpływu Iliady na autora Grażyny i zdobycie w ten sposób — po rozprawie mojej o poezyi filareckiej — nowych przyczynków do rozwiązania niezmiernie doniosłego zagadnienia stosunku Mickiewicza do świata starożytnego.

Określając to zagadnienie, jako niezmiernie doniosłe, wiem — jak wiedziałem, pisząc tamten artykuł — że wystawiam się na zarzuty czytelników, obcych zagadnieniom nauki. Właśnie tylko z tej strony; w nauce historyi literatury doniosłość tego zagadnienia oddawna jest uznana, i im kulturalniejsze jest społeczeństwo, tem więcej uwagi mu poświęca. Na krótko przed wojną wydana została w Niemczech gruba książka Maas'a p. t. *Goethe und die Antike*, a już podczas wojny ukazały się do niej uzupełnienia.

Potrzebna jest podobna książka o Mickiewiczu. Wojna i wygnanie przeszkodą być nie mogą. Jak bohater Wirgiliusza wziął z sobą na tułaczkę bogów swej trojańskiej ojczyzny, tak Polak - wygnaniec winien nosić w sercu, jeśli nie w ręku, dzieła swych wielkich poetów, jako symbol swego narodu i rękojmię odrodzenia starej Ojczyzny. Kto o tem pamięta, nie będzie się skarżył na mnie, żem go zaprowadził na chwilę do pracowni naszego największego geniusza.

A jednak — nie odważyłbym się nazwać naszej „Pieśni o gniewie Litawora“ Iliadą polską nawet zę względu na na ideę poematu. Nie odważyłbym się dlatego, że nie doprowadza ona pomysłu do końca. Litawor mści się śmierci Grażyny — tak; otośmy przy XXII pieśni Iliady. Czci ją wspaniałym pogrzebem — przechodzimy nawet do pieśni XXIII. Pozostaje jedna, XXIV — do niej to śpiewak Grażyny nie doszedł.

Dodać trzeba, że owa pieśń XXIV obca jest pierwotnemu planowi Iliady; jednak ktokolwiek ją dodał, wyniósł tę epopeję na szczyt ludzkości.

W samej rzeczy: jakaż jest idea Iliady bez pieśni XXIV? Jużeśmy to widzieli: w obliczu wspólnego wroga Achilles daje się unieść gniewem na swego wodza Agamemnona i przez to daje przewagę wspólnemu wrogowi. Jego najlepszy druh, Patrokles, występuje do boju i ginie w nierównej walce. I oto Achilles poznaje marność swego gniewu; wyciąga do Agamemnona prawicę na znak zgody, rzuca się na wroga i mści się śmierci zabitego przyjaciela. Płynie stąd jasna nauka; małe gniewy winny ucichnąć wobec walki narodowej, nienawiści osobiste rozpłynąć się powinny w nienawiści do wspólnego wroga.

Tę samą naukę daję i nasz poeta w swojej Grażynie. Ale powtarzam, to Iliada bez pieśni XXIV; z nią dopiero wstępujemy na stopień najwyższy. Achilles nasycił swą zemstę,—trup Hektora na dziedzińcu jego namiotu,— ale spokoju ducha nie odzyskał. I oto w nocy staje przed nim król wrogiego narodu, starzec Pryam, i na kolanach błaga go o wydanie zwłok zabitego: „Przypomnij sobie, bogom równy Achillesie, ojca swego, starca, jak ja... Jam nieszczęśliwszy od niego: zdobyłem się na to, czego żaden ze śmiertelnych nie poważył się uczynić: przycisnąłem do ust rękę zabójcy mego syna“. I Achilles przychyla się do jego prośby.

Płynąca stąd nauka jest również jasną: jak mała nienawiść utonąć powina w wielkiej, tak ta ostatnia utonąć powinna w miłości. Tej miłości w Grażynie jeszczę nie znajdujemy; stulecie, które upłynęło od chwili jej powstania, nie przyniosło nam jej również. Cóż robić! Nie dorośliśmy jeszcze do Homera.

Każdy owoc ma swój czas; barbarzyństwo przezwyciężane zostaje powoli i stopniowo. Niech więc nauka całej Iliady świeci nam jak cudowna, daleka zorza nad

ziemią obiecaną naszych wnuków. Tymczasem cieszyć się będziemy, jeżeli mała nienawiść ucichnie wobec wielkiej, i jeśli w obliczu wspólnego wroga Litawor i Witold podadzą sobie prawice na długie i silne przymierze.

Dr. P. Bańkowski.

KARTKA Z DZIEJÓW POLSKIEGO ŻYCIA UMYSŁOWEGO NAD NEWĄ.

Nie liczny za czasów Rzeczypospolitej element polski w stolicach państw rozbiorowych począł się szybciej rozrastać i wzmacniać po upadku Polski niepodległej. Wielokrotnie później zmiany polityczne w kraju potęgowały z roku na rok tę emigracyę, tworząc wielotysięczne dziś środowiska polskie w Berlinie, Wiedniu i Petrogradzie. Historya wskaże kiedyś, jaką pozycyą dodatnią zapisały się te kolonie w ogólnym bilansie życia narodowego. Dokładne jego zobrazowanie byłoby nietylko nader ciekawe, ale i ze wszechmiar pouczające. Zanim jednak przyszły historyk zbada szczegółowo i oświetli wszechstronnie obfity, od stu lat z górą gromadzący sią materyał, chciałbym zwrócić uwagę na jeden z przeszłości tego życia drobny fragment, nie pozbawiony jednak znaczenia dla historyi naszej umysłowości.

Wybuch powstania w r. 1830 i smutny jego koniec poraz pierwszy zasiliły obficiej odrazu szeregi Polaków, przebywających nad Newą. Po przeniesieniu całego szeregu instytucyi polityczno-administracyjnych z Polski do stolicy Rosyi, jedni przymusowo, drudzy dobrowolnie znaleźli się na bruku petrogradzkim już pod koniec r. 1831-go. Związane pod względem politycznym z Rosyą ściślej niż Królestwo Polskie, prowincye wschodnie byłej Rzeczypospolitej odczuły po powstaniu jeszcze silniej dawny związek. To też liczniej, niż z Kongresówki ciągnęli po r. 1831 mieszkańcy Litwy i Rusi do Petrogradu, gdzie już od czasu rozbiorów stanowili element przeważający, a początkowo prawie wyłączny w kolonii polskiej. Dzięki tej kresowej emigracyi kolonia polska nad Newą oddawna dążyła do wytworzenia własnych ognisk kulturalnych, a nawet politycznych. Nowa fala wychodźcza po r. 1831 znalazła się

też tam odrazu w środowisku posiadającem i dość odległą tradycyę i bardzo silnie pulsujące kulturalne życie polskie.

W r. 1830, na krótko przed wybuchem powstania spotykamy tam poważną grupę, przeważnie młodzieży uniwersyteckiej i urzędniczej, pochodzącej wyłącznie prawie z Litwy i Rusi. Dzięki tej młodzieży wytworzył się w Petrogradzie poważny ruch umysłowy, a w szczególności literacki, występując już to w formie produkcyi poetyckich i powieściowych, już to w formie wydawnictw peryodycznych o pierwszorzędnej wartości. W tym roku ukazało się w Petrogradzie około dwudziestu książek polskich i stale wychodziły dwa czasopisma polskie, co jest liczbą bardzo poważną w porównaniu z kilku zaledwie wydawnictwami polskimi na początku wieku dziewiętnastego. Z pośród literatów i poetów cieszących się w przededniu powstania wziętością nie tylko w Piotrogradzie, ale i w Polsce do najwybitniejszych należeli, — uczeni i literaci: J. Daniłowicz, J. Sękowski, J. Przecławski, Parczewski, J. Lewicki, M. Konarski,—poeci: Al. Chodźko, Jul. Korsak, J. Massalski i pokaźny szereg kryjących się pod inicyałami lub pseudominami, jak np. R. R., R. M., i in.

Jest to zjawisko niezwykle znamienne, że cała owa polska inteligencya nadnewska skupia się pod wspólnym sztandarem romantyzmu, hołdując w mniej lub więcej zdecydowany sposób nowym prądom i hasłom.

Podczas, gdy ówczesna Warszawa dzieliła się na dwa wrogie w dziedzinie literatury obozy, walczące ze sobą wyjątkowo zaciekle w r. 1830-ym, Petrograd przedstawia obraz wyjątkowej jedności na tle licznego i różnorodnego grona inteligencyi polskiej. Jak się ustosunkowywali do tej najodleglejszej placówki romantyzmu polskiego klasycy warszawscy wiemy choćby z tych głosów oburzenia, jakie się podniosły w r. 1829-ym, gdy Mickiewicz puścił świat artykuł „O krytykach i recen entach warszawskich“. Ale i ze strony romantyków warszawskich nie cieszyła się ona zawsze i bezwzględnie uznaniem. Ta sama rozprawa petersburska Mickiewicza zadrasnęła, jak wiadomo, boleśnie miłość własną warszawskiej prasy romantycznej a w szczególności krytyków romantycznych. Tylko dzięki wyjątkowemu stanowisku autora „Wallenroda“, jego gieniuszowi i wspólności celów, najwybitniejszy z krytyków romantycznych—M. Mochnacki hamował się, omawiając w kwietniu 1829 r. tę

rozprawę w najpopularniejszym ówczesnym dzienniku warszawskim — *Gazecie Polskiej*. Mniej krępował się jednak ten sam Mochnacki, gdy wypadło we właściwym świetle przedstawić wartość *Poezyi* Al. Chodźki, nadesłanych w końcu tegoż roku z Petrogradu do Warszawy. Uwieńczony przez czytelników petrogradzkich autor *Derara*, nie posiadał w oczach romantyków warszawskich „ani mocy, ani sworności, ani wdzięku“[1]). Podobnie surowo obchodziła się krytyka warszawska obu kierunków i z innymi mniej utalentowanymi romantykami z nad Newy. Nie szczędzono dotkliwych uwag np. tłomaczowi *Apologów* Dmitriewa, a utorom ód, tryoletów i sonetów,— będących wyraźnym a przeważnie nieudolnym echem poezyi Mickiewicza. Z drugiej jednak strony, każdy szczery objaw talentu, hołdującego nawet najskrajniejszym dążeniom romantycznym spotykał się z życzliwym przyjęciem nad Wisłą.

Ale polska twórczość poetycka w Petrogradzie rzadko kiedy wykraczała ponad poziom mierności. Natomiast świetnie zapisał się w dziejach naszej umysłowości ten ruch umysłowy, jaki się rozwinął w latach 1830—31, naokoło ówczesnych polskich czasopism petrogradzkich. Ówczesna prasa petrogradzka może śmiało stanąć obok najlepszych c asopism warszawskich tego czasu.

W r. 1830 i 1831-ym kolonia polska w Petrogradzie posiadała dwa pisma tygodniowe *Bałamuta* i *Tygodnik Petersburski.* Pod koniec r. 1831 ukazał się prospekt *Dziennika Muzycznego.* Pismo to miało być poświęcone specyalnie „muzyce i najnowszym tańcom na fortepian“. W r. następnym zdobyła się kolonia jeszcze na jedno wydawnictwo peryodyczne: *Egida.* Był to osobliwy dziwoląg w trzech językach (polskim, francuskim i włoskim), redagowany przez osławionego Jana z Ciechanowca Kiszkę Zgierskiego, autora Dramatów: *Brytannik* i *Chodkiewicz. Egidę,* zamkniętą po sześciu zeszytach poprzedził wydawany przez tegoż Kiszkę Zgierskiego, również w trzech językach wychodzący *Kupiec (de Marchand, Der Kaufmann).* Dwa ostatnie czasopisma nie odegrały wybitniejszej roli w życiu umysłowem kolonii, będąc jedynie wyrazem żywotności i ruchliwości ówczesnej inteligencyi naszej w Petrogradzie. Zupełnie odmienna natomiast rola przypadła w udziale dwu pierwszym czasopismom: *Bałamutowi i Tygodnikowi Petersburskiemu.*

---

[1]) Kuryer Polski. 1829 n. 23, du. 24-go. gr.

Bałamut, ukazujący się raz na tydzień, wychodził w ciągu pięciu lat (1830 —35). Pierwszy numer tego pisma ukazał się w połowie maja p. t. „*Bałamut Petersburski*“. Od roku następnego redakcya zmodyfikowała nieco nazwę pierwotną na: „*Bałamut z Satyryk Jowialista. Pismo czasowe zbieranej drużyny*“. Redaktorem był Józ. Sękowski, znany oryentalista i cenzor naówczas druków polskich w Petrogradzie. Obok niego do składu redakcyi należeli: popularny autor rosyjskich powieści, redaktor czasopism *Siewiernaja Pczoła* i *Siewiernyj Archiw*, — Tad. Bułharyn, następnie — Mich. Konarski, filolog, pedagog i literat, i wreszcie — Ad. Rogalski, urzędnik naówczas, później pisarz religijno-moralny w Warszawie i wydawca kilku noworoczników.

Bałamut był pismem satyrycznem, o charakterze moralizatorskim, prowadzonem w tonie słynnych zeszłowiecznych czasopism molizatorskich. jakim był prawzór ich wszystkich — *Spectator* angielski, a u nas *Monitor* w w. XVIII i „*Wiadomości brukowe*“, wychodzące na początku XIX stulecia w Wilnie, będące, jak się zdaje, bezpośrednim wzorem dla „*Bałamuta*“. Ze wileńskie czasopismo—znalazło spadkobiercę nad Newą, wnioskować można nie tylko z tego, że główny jego redaktor Sękowski był za pobytu w Wilnie członkiem „Towarzystwa Szubrawców“, którego organem były „Wiadomości brukowe“, i że dwaj inni członkowie redakcyi Konarski i Rogalski, choć do T-wa, zdaje się, nie należeli, ale jako studenci uniwersytetu Wileńskiego, wyrośli w atmosferze idei szerzonych przez „Szubrawców“. Pokrewieństwo ideowe daje się łatwo zauważyć w treści obu czasopism. Podobnie jak „Wiadomości“, redaktorowie „Bałamuta“ w dowcipnej formie omawiali wszystkie bolączki życia publicznego, zarówno w Petrogradzie, dotykając od czasu do czasu zlekka stosunków rosyjskich, jak również i polskie na Litwie i Rusi. Wystawiano więc tam na śmiech obskurantyzm umysłowy, „juromanię“ (pieniactwo), łapownictwo urzędników, szulerstwo, braki autonomicznej administracyi w prowincyach litewsko - ruskich, przesądy kastowe, próżność rodową, stosunek dworu do chaty, złe wychowanie młodzieży, — wreszcie poddawano zjadliwej krytyce na łup wszystko, co w bieżącej literaturze niedorastało miary przeciętnego talentu. „Bałamut“ nie należał wyraźnie do żadnego kierunku literackiego. O ile jednak można wywnioskować z szeregu krytyk zawartych w nim literackich przeważały tam sympatye romantyczne z zastrzega-

niem się zresztą przeciw wszelkim krańcowym dążeniom, których echo donośne od czasu do czasu dochodziło do Petrogradu z łamów niektórych pism warszawskich.

„Nie należąc do żadnej partyi literackiej, nie będąc opętani romantyzmem, ani osowieli w klasycyźmie, nie mając ani serdecznych przyjaciół do pochwalenia, ani przeciwników do nagany, będziemy się starali, — pisze *Bałamut*, — według własnego przekonania, zdrową tylko krytyką kierowanego, uwiadamiać czytelników o wartości podobnych owoców naszej literatury“[1]). Tacy umiarkowani romantycy jak Chodźko lub Korsak zawsze znajdowali uznanie na szpaltach *Bałamuta*. Krytycy tego czasopisma kierowali się jako główną zasadą „zdrowym rozsądkiem“, nie tym jednak pseudoklasycznym, o którym pisał w owym czasie M. Mochnacki, że „należy do krajowych przesądów, głęboko zakorzenionych“ i w imie którego klasycy warszawscy i wileńscy odżegnywali się od jakichkolwiek ustępstw na rzecz romantyzmu.

„Zdrowa krytyka“ *Bałamuta*, oparta na „zdrowym rozsądku“, uznając z jednej strony wielkość Mickiewicza, stawała jednocześnie w obronie Karpińskiego przeciw docinkom romantyków[2]) — z drugiej strony powoływała się na sądy *Tygodnika Petersburskiego*, pisma nawskroś romantycznego, nicując w tym samym czasie takie „potwory literackie“, jak np. *Sonety* i *Tryolety*, nkrytego za inicyałami J. T. S. nieudolnego poety romantycznego[3]). W ciągu dwu lat (1830—31) *Bałamut* poddał ostrej krytyce szereg nowości litetackich, jak np. wspomniane już *Sonety* i *Tryolety*, następnie *Apologi czterowierszowe*[4]) — utwory Fel. Boznańskiego, *Śpiewy ok ampanii Tureckiej*— Sowińskiego i kilka innych „dojrzalszych owoców świerzbiączki poetyckiej“ i „rozespanej imaginacyi“. Wszystkie te utwory omawiała redakcya w specyalnie dla nich przeznaczonym dziale p. t. „Monstrografia piśmienna“.

*

* *

O wiele szerszy program zakreśliło w sobie drugie czasopismo petrogradzkie, — kilkakrotnie wspomniany już *Tygodnik Petersburski*. Pismo to ukazało się po raz pierwszy 15 stycznia 1830 r. i w ciągu pierwszego roku wy-

---

1) № 2, dn. 24 maja 1830 r.
2) № 38, dn. 12 września 1831 r,
3) № 2, dn. 24 maja 1830 r.
4) № 4, dn. 7 czerwca 1830.

chodziło co tydzień. W roku następnym redakcya podwoiła objętość pisma, i wydawała je już dwa razy tygodniowo, a nawet przyobiecała premium w postaci „jednego z najcelniejszych dzieł nowożytnej, zagranicznej literatury“, w polskim przekładzie. *Tygodnik Petersburski* wychodził w przeciągu lat dwudziestu ośmiu (1830—58) i stał się nietylko bardzo wybitnym wyrazem polskiego ruchu umysłowego nad Newą, ale jednocześnie odegrał doniosłą rolę w historyi życia powstaniowego pokolenia na Litwie i Rusi. Prawie przez cały czas jego istnienia; bo do r. 1856 redaktorem i wydawcą *Tygodnika* był J. Przecławski[1]), bardzo czynny publicysta, urzędnik byłej komisyi do rewizyi i ułożenia praw Królestwa Polskiego, a jednocześnie urzędnik głównego zarządu cenzury. Jak redaktor *Bałamuta*, i on był wychowańcem uniwersytetu wileńskiego, skąd wyniósł gruntowną wiedzę i znajomość literatów zachodnio-europejskich.

Wychodząc z założenia, że przynależność polityczna Litwy i Rusi do państwa rosyjskiego nie tylko wywołuje potrzebę znajomości ustaw i rozporządzeń państwowych rosyjskich wśród mieszkańców prowincyi zebranych, — a zarazem gruntowniejszą, niż dotychczas znajomość Rosyi, redakcya pierwotnie postawiła sobie głównie za cel informowanie czytelników o nowych prawach i rozporządzeniach, wydawanych czy to dla całej Rosyi, czy też specyalnie w odniesieniu do ludności Litwy i Rusi, z drugiej zaś strony umieszczała artykuły, zaznamiające czytelników polskich ze stanem rolnictwa, handlu, przemysłu i ruchu umysłowego w cesarstwie. Pozatem podawał *Tygodnik* stale kronikę wiadomości z innych ziem polskich, i kronikę wiadomości politycznych i literackich za granicą.

W r. 1831, gdy wybuchło powstanie, pierwsze miejsce zajęły w *Tygodniku* wieści z Polski. Podwoiła się objętość pisma, zapełniły się jego „słupy“ wiadomościami z Warszawy. *Tygodnik* dawał stale in extenso raporty dowódców rosyjskich z placu boju. przedrukowywał komunikaty rządowe w sprawach Królestwa, podawał korespodencye“, o autorach których czytelnicy tyle tylko mogli się dowiedzieć, że byli to anonimowi jacyś „obywatele“ Lublina, Wilna, Krzemieńca,—wreszcie—szerzył najfantystyczniejsze plotki z Warszawy, mające na celu

[1]) Założycielem i czynnym współpracownikiem pisma był też, nie znany mi bliżej — Parczewski.

wpojenie w czytelników prawidłowego poglądu na „wypadki warszawskie“. Historyk powstania listopadowego znajdzie tam niejeden szczegół charakterystyczny, któregoby napróżno szukał po ówczesnych czasopismach Kongresówki a nawet emigracyi[1]).

O ile w drugim roku wydawnictwa *Tygodnik* udzielał więcej miejsca wiadomościom politycznym i wojennym, o tyle w ciągu r. 1830 posiadał on charakter bardziej literacki. Ruch umysłowy polski w Petrogradzie i w kraju, stosunki literackie w Rosyi i zagranicą zapełniały poważną część każdego numeru. Obok Przecławskiego i Parczewskiego stałymi współpracownikami literackimi pisma byli: J. Lewicki i kilku literatów, których dziś znamy tylko inicyały, jak np.: F. M., R. R. i inni. Redakcya nawiązała bliższe stosunki z romantyczną prasą warszawską z tym jej kierunkiem, który reprezentował M Mochnacki, M. Grabowski i J. Ostrowski. *Dziennik Powszechny*, *Kuryer Polski* i *Gazeta Polska* — najruchliwsze pisma romantyczne—były głównem źródłem, skąd czerpano wiadomości i sądy o stosunkach warszawskich.

Dla utrzymania kontaktu z ruchem umysłowym zachodniej Europy redakcya korzystała, bezpośrednio z takich poważnych czasopism zagranicznych jak *The Monthly Magazin*, *The Gleaner*, *Ausland*, *Jahrbücher für wissenschaftliche Kritik*, *Revue de Paris*, *Revue Française* i *Globe*. Dzięki tym czasopismom, z których niejedno było zupełnie obce najpoważniejszym dziennikom warszawskim, redakcya posiadała nie tylko obfity zasób wiadomości kronikarskich, ale i bogaty materyał literacki i naukowy. W ciągu dwu lat *Tygodnik* podał w wyjątkach lub w całości kilkanaście utworów z literatury pięknej i rozpraw historycznych, „filozoficznych“ i literackich. Dzięki zaś wyżej wymienionej prasie francuskiej, czytelnicy dowiadywali się nawet o postępach literatury polskiej we Francyi, gdzie wówczas krzątało się grono ruchliwych literatów polskich około rozpowszechnienia najcelniejszych dzieł polskich wśród publiczności francuskiej[2]).

---

[1]) Po upadku powstania *Tygodnik Petersburski* został uznany w r. 1832 przez rząd za urzędowy organ dla Królestwa, w którym ogłaszano postanowienia i akty cesarskie. Do ogłoszania postanowień władz krajowych służył po dawnemu *Dziennik Powszechny*.

[2]) Między innymi do najczynniejszych należeli: Leonard Chodźko i Mich. Podczaszyński, obaj umieszczający artykuły o Polsce w *Revue Encyclopédique*.

Nowy, i chronologicznie pierwszy, organ polski nad Newą zdobył sobie odrazu uznanie w kołach polskich jak również i wśród inteligencyi rosyjskiej. Za obfitość informacyi i za kierunek literacki spotkało go życzliwe przyjęcie w warszawskiej prasie romantycznej. Prasa rosyjska powitała *Tygodnik* również bardzo przychylnie. Z życzliwemi ocenami wystąpiły liczne pisma rosyjskie: *Telegraf, Północna Pszczoła, Goniec Europejski, Literacka Gazeta, Północny Merkury* i *Ruski Inwalid*[1].

Dla historyi polskiego ruchu umysłowego jest rzeczą nie małej wagi, jakie stanowisko zajęła ta odległa placówka polska w walce ówczesnych wyobrażeń literackich, będącej u nas, jak wiadomo, zarazem ścieraniem się dwu prądów umysłowości, a nawet dwu kierunków politycznych. Przynależność do obozu klasycznego lub romantycznego świadczyły u nas w Polsce o sympatyach nie tylko ku tym lub innym poglądom estetycznym, ale też — naukowym społecznym i politycznym.

W pierwszym prospekcie nie mamy wyraźnych wskazówek, odsłaniających istotnie przekonania redakcyi. Kładąc nacisk na informacyjny charakter pisma redaktorzy zaznaczają mimochodem, że będą „iść na równi z wiekiem“ i będą „wiernym jego obrazem“, ponieważ bieg historyi i nas wciąga w wir życia nowoczesnego, wyprowadzając ze stanu ludu rolniczego, którego sielanka jest jedyną pieśnią narodową[2]). Kto zna bliżej atmosferę owych czasów, ten z tych kilku ogólnikowych myśli wywnioskuje łatwo, że „bieg historyi“ zaprowadzi *Tygodnik* do obozu romantycznego. Wyraźnie przeciw klasycyzmowi wypowiedział się *Tygodnik* jednak dopiero w drugim prospekcie, pod koniec r. 1830-go. Pismo, mające na swe usługi tyle czasopism zagranicznych, nie mogło nie widzieć, jak i Mickiewicz w r. 1829-ym, pewnego rodzaju zaściankowości, panującej wciąż jeszcze w warszawskiej wojnie klasyczno-romantycznej. „Podczas, gdy gdzieindziej wygnane są już oddawna szkolarskie podziały na klasyczność i romantyczność, i jedynie słusznym jest nowożytny przedział na złe i dobre, to u nas, — pisze *Tygodnik*, — literatura wciąż jeszcze jest miotana sprzecznemi pierwiastkami źle zrozumianych partyi“. Polski klasycyzm zdaniem petrogradzkiego tygodnika, „gruntuje się na przypuszczeniu, że literatura dawno już dosięgła najwyższego szczytu wy-

---

1) *Tygodnik Petersburski* № 13, 14, 1831 r.
2) Prospekt na r. 1830.

kształcenia, do jakiego geniusz ludzki dojść może. Z tego tak jawnie mylnego mniemania wyciągnięto mnóstwo dowolnych prawideł i ograniczeń, zasadzonych na niewolniczem naśladownictwie, na fałszywym wstydzie literackim, na sztucznie wzbudzonym uczuciu przyzwoitości urojonych, przywiązanych do pewnych krajów i do pewnej epoki, która już tymczasem daleko w tyle została". Prawidła te, jak wszystkie przesądy „ścieśniają nieskończenie szranki literatury, a przez nieuchronne swe skutki zagłuszają w samym zalążku wszelkie poetyckie natchnienie i zmuszając geniusz ludzki nie inaczej objawiać się, tylko w pewnych raz odlanych formach, krążyć wiecznie po jednej orbicie, oglądać się zawsze na jedne i te same wzory, rozstawione, jakby jakie wiechy na bezdrożu myśli, odbierają mu najpiękniejsze jej własności i z twórcy każą mu na wieki pozostać lękliwym naśladowcą"[1]).

W bardziej bizkim „dunhowi czasu" świetle przedwia się *Tygodnikowi* drugi rodzaj. Obejmuje on, zdaniem pisma, nieskończenie rozleglejszą przestrzeń i daleki jest od fanatycznego zamiłowania pewnych tylko autorów i utworów. Ten rodzaj, zwany w Polsce romantycznym „przypuszcza stopniowe kształcenie się sztuk pięknych; nadto skromny i wyrozumiały, aby miał na wszystkie epoki, na wszystkie odcienia geniuszu narzucać prawidła, dozwala literaturze wolnie się rozwijać, ogarniać cały świat stworzony, wszystkie formy i czasy i nie kładący jej innych granic nad te, jakie z wrodzonego, przesądami niezmąconego uczucia piękności wypływają"[2]). Przy takim jasno określonym i słusznym poglądzie na zwalczające się kierunki literackie, „wybór przez Redakcyę jednego tych rodzajów nie mógł być wątpliwym. *Tygodnik* nie jest pismem klasycznem". Nie mniej wyraźnie określił *Tygodnik* swe stanowisko w stosunku do nowych kierunków w nauce, do nowych metod badania i wyników wiedzy nowożytnej. „Jak w literaturze nie przypuszczamy nie przewyższonych wzorów, tak w innych gałęziach umiejętności ludzkich, pragniemy iść wszędzie wślad za stopniowem ich na różnych punktach globu rozwijaniem się, w przekonaniu, że do katedr i dzieł trwałych należy krytyczne ocenienie współczesnego dążenia, wierny zaś wykład jego in statu quo powinien być szczególnym obowiązkiem wydawców pism peryodycznych"[3].

---

1) Prospekt na r. 1831.
2) Tamże.
3) „ „

Ten liberalny, nawskroś romantyczny, stosunek *Tygodnika* do wszystkich objawów ducha i wszystkich dziedzin życia ludzkiego, stawiał to pismo kilkakrotnie w rzędzie najskrajniejszych polskich organów romantycznych, jakimi były kilka już razy cytowane: *Dziennik Powszechny, Kuryer Polski* i *Gazeta Polska.* Prowadząc zaciekłą walkę z klasykami, te trzy „codzienniki“ warszawskie były niezmordowanymi propagatorami szerzonych przez znaną niemiecką „szkołę romantyczną“ na przełomie 18 i 19 st. poglądów na poezyę i twórczość poetycką, — a w nauce i w filozofii torowały drogę „filozofii natury“, stworzonej przez Schellinga i jego uczniów, a przejętej bardzo skwapliwie również przez „szkołę romantyczną“. Za to stanowisko, zwalczane namiętnie nie tylko przez pseudoklasyków, ale i przez poważny odłam romantyków warszawskich, doczekał się *Tygodnik* pochwały na kartach *Kuryera Polskiego*[1]).

Podobnie jak M. Mochnacki i otaczająca go grupa młodych krytyków i poetów, skupiająca się około wyżej wymienionych czasopism, *Tygodnik* występował parę razy jako romantyk-Schellingianista, dla którego świat jest nieprzerwaną „Odysseą ducha“, wiecznie rozwijającego się we wszystkich martwych i żywych kształtach natury poezya zaś,—niczem nie krępowaną twórczością poetycką, „sztuką wyzwoloną“, a poeta — „profirogenitą“. który nie potrzebuje zważać na zarzuty krytyki.

Z sympatyami dla tego prądu w romantyźmie wystąpił *Tygodnik* poraz pierwszy już w num. drugim 1830 roku. Znajdujemy tam charakterystyczny artykuł, tłomaczony z języka angielskiego p. t. „O mechanicznym charakterze naszego wieku.“ Zdaniem autora tego artykułu, wiek XIX jest „wiekiem machin we wszelkiem fizycznem i moralnem znaczeniu“. Nie tylko świat fizyczny, ale i filozofia, umiejętności ścisłe, sztuki i literatura, wszystko to polega na mechaniźmie. Ludzie są mechaniczni nie tylko w działaniu, ale i na umyśle i na sercu. Społeczność straciła wiarę „w induwidualne usiłowania, w moc naturalną, zapędza się nie za wewnętrzną doskonałością, lecz za zewnętrznymi światami, instytutami, konstytucyami, wszystkie usiłowania... noszą mechaniczny charakter“. Niema wcale, — skarży się autor. — nauki o duszy, widać natomiast mniej lub więcej postęp w ogólnej lub szczegółowych naukach o materyi. Nigdzie też,

[1]) Kuryer Polski, 1830, № 76, dn. 18 lut.

z wyjątkiem Niemiec, nie kwitną nauki psychologiczne. To, co nie może być zbadane i pojęte za pomocą doświadczenia i obserwcyi, „mechanicznie“, już wcale pojętem i zbadanem być nie może. Mimo tej powszechnej wiary w mechaniczno-materyalistyczny porządek świata, „nauki i sztuki poczęły się w dynamicznej nie w mechanicznej naturze człowieka“. Wbrew twierdzeniu materyalistów, jest też „nauka traktująca o pierwotnych, nieprzekształconych siłach i władzach człowieka o tajemnych sprężynach miłości, trwogi, dziwu, entuzyazmu, poezyi, religii, które wszystkie noszą charakter życia i nieskończoności“. Warto zwrócić uwagę, że artykuł ten wyprzedził o kilka tygodni podobny artykuł M. Mochnackiego w *Kuryerze Polskim*, p. t. „Wzmianka o filozofii natury w Niemczech“. Wzmianka ta uważana była dotychczas za pierwszy głos w tych czasach, podniesiony w obronie filozofii Schellinga. Zdaje się jednak, że nie Mochnackiemu, lecz *Tygodnikowi* należy przyznać zasługę zapoczątkowania jednej z najciekawszych polemik „filozoficznych“ w prasie warszawskiej, — polemik, w których Mochnacki zresztą i ujęciem przedmiotu i talentem pisarskim górował nad wszystkimi.

Broniąc namiętnie praw „filozofii natury“, romantycy warszawscy, śladem romantyków niemieckich, stawali tem samem w obronie bezwzględnej wolności poezyi i tego specyalnego poglądu na poetów i twórczość, jaką wytworzyli sobie romantycy-filozofowie tego czasu. Zagadnienie psychologii twórczości i organizacyi psychicznej twórcy, jako jedno z centralnych zagadnień estetyki romantycznej, — było też nieodłącznym tematem rozpraw, artykułów i polemik teoretyków romantycznych. Obfituje w nie ówczesna prasa warszawska, nie obce są one również i *Tygodnikowi Petersburskiemu*. Artykuł „o mechanicznym charakterze naszego wieku“ częściowo również omawia tę kwestyę i oświetla ją identycznie z teoretykami *Dziennika Powszechnego*, *Kuryera Polskiego* i *Gazety Polskiej*. Jak tam Mochnacki, Grabowski, Witwicki, lub naśladujący ich Ibus Ostrowski, tak i redakcya *Tygodnika* stoi na tem stanowisku, że „poezya jest dziełem samego geniuszu, po wszystkie czasy uważana za tajemną i niezbadaną, bo pochodzącą z natchnienia“, a poeta — to „dusza wyzuta ze wszelkich więzów, która krąży i śpiewa wśród świata stosownie do czarów, rozmaitych powiewów i tonów, na które jest

nastrojona, bardzo rozliczne może wydawać dźwięki i t. d., — „prawdziwy zaś europejski pisarz będzie filozofem z poetyczną lirą w ręku“[1]).

Objawy solidarowania się ze skrajnym prądem w romantyźmie spotykamy jednak stosunkowo dość rzadko w *Tygodniku*. Są to raczej wynurzenia teoretyczne, niż praktycznie stosowana estestyka „szkoły romantycznej“. W przeważnej swej części literatura i krytyka na łamach *Tygodnika* uprawiane są w duchu romantyzmu umiarkowanego.

Hołdując tym samym hasłom literackim, co i romantyczna prasa warszawska, *Tygodnik*, naogół biorąc bodaj że staranniej od niej spełniał obowiązki pisma literackiego. Przedewszystkiem, było to jedyne pismo polskie, nie prowadzące polemik. Jest to tem większa jego zasługa, że prasa warszawska wtedy właśnie najzawziętsze prowadziła ze sobą spory. Korzystając z typowego w owe czasy w całej prasie materyału, jak np.: pamiętników Byrona, W. Scotta, Napoleona, korespodencyi Schillera, Goetego, J. P. Richtera, — wprowadziła obok tego redakcya kilka innowacyi, nieznanych zupełnie nad Wisłą. W *Tygodniku* pojawiały się np. najdłuższe wzmianki o literaturze rosyjskiej, jak również i stała tej literatury bibliografia. Tylko jeden *Tygodnik* dał w ciągu dwu lat przegląd literatur europejskich w szeregu treściwych artykułów, tłomaczonych z czasopism zagranicznych. On też prowadził od r. 1831 „Pamiętniki rozumowane“, — pisane przez J. Przecławskiego. Był to felieton, poświęcony krótkim rozmyślaniom na tematy filozoficzne, moralne, społeczne, literackie, estetyczne i t. p. Nie małą zasługą *Tygodnika* jest też obszerny dział literatur zachodnio-europejskich. Znajdujemy tam nietylko ciekawe oryginalne wzmianki i przedruki najwybitniejszych artykułów o Cooperze, W. Skocie, W. Hugo, J. P. Rychterze, Stendhalu, — nie mówiąc już o pisarzach ówczas drugorzędnych, — ale i utwory powieściowe W. Hugo, Merimé'ego i Stendhal'a. Pisarze ci bodaj że najpierw przez *Tygodnik Petersburski* dostali się na szpalty prasy polskiej.

Zająwszy tak poważne stanowisko w dziennikarstwie polskiem, *Tygodnik* nie zniżył lotu w latach późniejszych. Przeciwnie, — w pierwszych latach po upadku

---

[1]) № 12, 1830 r.

powstania, był on najpoważniejszem czasopismem polskiem, mając w gronie swych współpracowników między innymi takie jednostki, jak powieściopisarz J. Ign Kraszewski i krytyk Mich. Grabowski.

* * *

Wybuch powstania usunął w cień zagadnienia literackie. „Co innego zapewne mamy teraz w głowie i w sercu“...—pisał M. Mochnacki w pierwszych dniach rewolucyi, „zgiełk oręża i huk dział, ten będzie odtąd nasy rytm i ta melodya“... Umilkły spory i kłótnie o literaturę, opustoszały redakcye, bojownicy romantyczni poszli do nowej walki o wolność polityczną narodu. W życiu *Tygodnika Petersburskiego* odwróciła się też arta. Pismo znalazło się w niezwykle trudnej sytuacyi. Dotychczasowe stanowisko literackie i stosunki z krajem aż nadto wyraźnie określały pogląd redakcyi na stan polityczny w Polsce. Petrograd nie tylko nie był teraz miejscem odpowiedniem do dania ujścia tym poglądom i powszechnym w Polsce pragnieniom, — ale przeciwnie narzucał pismu obowiązek oświetlania „wypadków warszawskich“ w duchu przeciwnym wszelkim objawom niezadowolenia z istniejącego systemu politycznego. Nie chcąc, czy nie mogąc, zwinąć swej placówki, redakcya staje całkowicie na usługi czynników rządowych. Począwszy od dnia 3 grudnia, w którym poraz pierwszy mieszkańcy Petrogradu dowiedzieli się z prasy o wybuchu powstania, *Tygodnik* stale umieszcza wszystkie rozporządzenia, komunikaty wodza naczolnego, wiadomości z pola walki i wieści z kraju, malujące rozprzężenie i anarchię, jakie miały tam zapanować. Publiczność dowiadywała się, że odezwy gen Dybicza (do Polaków i do wojowników polskich) rozeszły się po całym kraju; „Wiemy już o skutku, jaki sprawiły w powiatach naszym granicom sąsiednich“ — pisał 30 stycznia 1831 r. *Tygodnik*, „czytane były publicznie i przyczyniły się do uspokojenia i zabezpieczenia mieszkańców“. O stanie umysłów w Warszawie informowały takie smutne nowiny, że „Związek Patryotyczny“, na czele z Lelewelem, postawił wniosek, ażeby wyciąć w pień wszystkich Polaków, mających więcej nad lat 40, „dlatego, iż ci ludzie nie zdolni są wznieść się do szczytu pojęć teraźniejszego wieku“[1]). Wiarę w anarchiczny charakter

[1]) 1831 r. № 22, dn. 24 marca.

rewolucyi gruntowały również częste „listy“ do redakcyi, podpisywane czasem imieniem, nigdy nazwiskiem, „obywateli“ z rozmaitych miejscowości Litwy i Rusi, a nawet i z Królestwa. Listy takie często najpierw trafiały do redakcyi pism rosyjskich, potem drukował je *Tygodnik*.

Tę stałą, mniej lub więcej obfitą w każdym numerze kronikę, uzupełniały od czasu do czasu artykuły lub streszczenia broszur, oświetlających powstanie wobec opinii rosyjskiej a nawet europejskiej, — z punktu widzenia przeciwników rewolucyi. I one również po przez prasę rosyjską przedostawały się do *Tygodnika*. Niektóre z nich są bardzo charakterystyczne ze względu na feniksową nieśmiertelność zawartych w nich argumentacyi. Jeden z tych artykułów, najwcześniejszy, ukazał się w czasopiśmie „Siewiernaja Pczeła“ p. t. List Polaka mieszkającego w Petersburgu do brata w Lublinie. 10 grudnia list ten znajdujemy i na szpaltach *Tygodnika*. „Nie mogę wyrazić tego, co czułem w chwili, gdy odebrałem wiadomość o buncie, wybuchłym w Warszawie. Kocham rodzinną krainę, szczerze wyznaję, że mniejby daleko bolesną była dla mnia wiadomość, że Warszawa zgorzała, lub zapadła się w ziemię. Wtedy przynajmniej bez zarumienia możnaby było opłakać los tego miasta, a dzisiaj oburzenie tylko napełnia mą duszę“. Pragnąc udowodnić, jak wielką krzywdę wyrządzili krajowi „złoczyńcy“, autor szczegółowo tłomaczy, że Polska nigdy nie była tak szczęśliwą, jak po r. 1815. Analogia, przeprowadzona między stanem Królestwa i Księstwa Warszawskiego, wykazuje, jaki bezmiar zła i nieszczęść spadł na Polskę za rządów Napoleona, gdy Księstwo było tylko „depôt wojskowem“ dla armii francuskiej. Uzupełnieniem tego artykułu jest inny z dnia 15 i 19 maja, zatytułowany: Co jest, co być powinno i co będzie? (List do przyjaciela zagranicą). Autor jego ukrył się pod literą *Z*. Do wywodów poprzednika p. *Z* dorzucił szereg „nieulegających wątpieniu“ pewników, udowadniając, że „tylko w związku z Rosyą byt Polski może się utrwalić“. Jako państwo samodzielne, Polska zginęłaby w pierwszem politycznem wstrząśnieniu, nie posiada bowiem w dostatecznej ilości ani skarbu, ani wojska. Jest to nietylko lekkomyślnie ale i zbrodniczo ze strony buntowników wystawiać kraj rodzinny na los opłakanej przyszłości. Zerwanie polityczne z Rosyą, lub nawet zamknięcie granicy dla wolnego handlu byłoby dla Polski nie dobrodziejstwem, ale „karą“

Objętością wszystkie artykuły przewyższa broszura, wydana po francusku i po niemiecku w Berlinie, a potem — po polsku i po francusku w Petrogadzie, p. t. Kilka uwag o teraźniejszej Rewolucyi Polskiej przez obywatela Królestwa Polskiego[1]). „Obywatel Królestwa Polskiego" zaczyna również od opisu opłakanego stanu Polski za panowania Napoleona, podnosi wartość jej politycznego odrodzenia po kongresie Wiedeńskim, wylicza wszystkie dobrodziejstwa, spadłe na nowe Królestwo i polemizuje z ówczesną polską literaturą powstaniową. Nie słuszne są, zdaniem jego np., skargi na zwlekanie z przedłożeniem Izbom sejmowym budżetu, bowiem już projest budżetu jest przygotowany i byłby wkrótce niechybnie wniesiony na rozwagę. Nie wniesiono go dotychczas dlatego, aby nie dać powodu do gorszących scen w sejmie. Nie słuszne też są skargi, że skasowano jawność obrad: tą drogą nie tamowano ich swobody, a tylko słusznie pozbawiono tłum „jednego z bezpłatnych widowisk" i t. d.

Treść tej broszury podał również *Tygodnik*, zaopatrzywszy ją w długi komentarz, usiłujący odwieść mieszkańców Litwy i Rusi od przyłączenia się do powstania i dowodzący, że unia Litwy z Polską przyniosła Litwie tylko nieobliczalne straty. Zdaniem obywatela-historyka, Europa w w. XIV-ym kończyła się na Bugu i Niemnie. Te dwie rzeki stanowiły granicę między dwoma wielkiemi systemami politycznemi, światem europejskim i światem słowiańsko-ruskim Litwa całkiem prawie miała być złożona ze stanów słowiańsko-ruskich i w ścisłych zostawała stosunkach z dalszemi księstwami ruskiemi, hołdującemi Mongołom. Wraz z temi księstwami stanowiła ona jeden gmach społeczny i polityczny i rządziła się podług tychże zasad samowładztwa. Dążność ku wschodowi była dla niej właściwą i naturalną. Na skutek unii „Litwa, wraz z Polską gwałtem przez nią wciągnioną została do systematu politycznego Europy Zachodniej". Od tej chwili zaczął się dla niej długi szereg klęsk. „Uczyniliśmy dla Polski największą i najszlachetniejszą ofiarę, jako jeden niepodległy naród może zrobić dla drugiego, poświęciliśmy jej bowiem naszą udzielność, wyrzekliśmy się naszej narodowości i zasad przodków naszych" — woła pokrzywdzony patryota litewski, — „rozbiór był może jedynem szczęśliwem wydarze-

[1]) Petersburg, 1831, str. 32.

niem, jakiegośmy doznali od czasu połączenia się z Polską. Dzięki jemu zwróceni zostaliśmy na drogę prawdziwego naszego przeznaczenia, t. j. zlania się w jedno trwałe nierozdzielne politycznie ciało z Rosyą". Rozumowania te, nie będące dla nas dzisiaj niczem nowem, zasługują jednak na bliższą uwagę, choćby z tego względu, że jest to jeśli nie pierwsze, to jedno z pierwszych, pozbawionych zresztą wszelkiej wartości historycznej i naukowej a podyktowanych złą wolą uderzeń w piękne dzieło unii polsko-litewskiej.

Wypadki roku 1831-go wetknęły pióro do ręki nie tylko publicystom i historykom nadnewiańskim. Na usługach polityki znalazła się i literatura. Zachowało się z tego czasu kilka wierszy po polsku i po rosyjsku. Dość tu wymienić rosyjski utwór: *Dwernickij s swoimi gierojami. Sztuka komiczna przez N. D.* (Moskwa 1831) i drukowany w *Tygodniku* — *Wiersz z okazyi zajęcia Warszawy 20 sierpnia.*

Może jednak lepiej jest niepamięci przekazać tę poezyę...

Dr. Bohdan Winiarski.

Z ROZWAŻAŃ NAD SĄDOWNICTWEM ADMINISTRACYJNEM.

Wśród zagadnień organizacyjno-państwowych, które w przyszłej Polsce będą musiały stanąć na porządku dziennym, jedno z naczelnych miejsc zajmuje sprawa zorganizowania administracyi, opartej na zasadzie legalności, sprowadzenia do właściwych granic zasady swobodnego uznania, stosunku administracyi do sądownictwa, słowem, stworzenia szeregu rękojmi, gwarantujących poszanowanie zarówno objektywnego porządku prawnego, jak podmiotowych praw obywateli ze strony administracyi. Wśród tych zagadnień szczegółowych znowu wysuwa się problemat sądownictwa administracyjnego, które polega na tem, że organy, złożone wyłącznie lub częściowo z urzędników administracyjnych, rozstrzygają z zachowaniem form procesowych spory, wynikające z zaczepienia aktu administracyjnego przez obywatela, którego prawa— albo choćby tylko uprawnione interesy—przez ten akt naruszone zostały.

W Królestwie Polskiem rozwijały się przez długi czas instytucye sądowo-administracyjne francuskie, zaszczepione na gruncie naszym za Ks. Warszawskiego; później jednak prawie zupełnie wyparte zostały przez odpowiednie urządzenia rosyjskie, które stoją od francuskich znacznie niżej. W dwu innych zaborach funkcyonują sądy administracyjne pruskie i austryackie, różniące się znacznie między sobą. Zanim przedstawimy stan sądownictwa administracyjnego na ziemiach polskich i wnioski praktyczne na przyszłość, dajemy fragment, mający za przedmiot zbadanie, czy instytucya sądownictwa administracyjnego nie znajduje się w sprzeczności z zasadami prawa konstytucyjnego.

Zasada podziału władz uznana została za jedną z naczelnych zasad, na których wspiera się dzisiejsze państwo konstytucyjne; tylko przeprowadzenie tej zasady umożliwia związanie dzisiejszego państwa przez prawo, skonstruowanie hierarchii norm prawnych, tylko ono zabezpiecza jednostce w sposób skuteczny ochronę jej uprawnień w stosunku do państwa. Każdy gwałt, zadany tej zasadzie, oddala państwo od typu państwa prawnego.

„Takiem zaprzeczeniem zasady podziału władzy jest właśnie sądownictwo administracyjne... Władza sądowa powinna rozstrzygać wszystkie spory bez względu na to, pomiędzy kim i z jakiego powodu one powstają. Wyłączenie jakichkolwiek spraw spornych ze sfery kompetencyi sądów ogólnych jest właśnie wkroczeniem w dziedzinę praw władzy sądowej, a zatem sprzeciwia się zasadzie troistego podziału władzy“. [1]) Pytanie więc, na które należy odpowiedzieć, jest następujące: czy instytucya sądownictwa administracyjnego godzi się z zasadą podziału władz, czy też ją narusza? Czy więc znajduje się w sprzeczności wewnętrznej z podstawami państwa prawnego lub nie? Zagadnienie tak dalece sporne, że zwolennicy sądownictwa administracyjnego — a przedewszystkiem twórcy jego we Francyi—uzasadniają konieczność tej instytucyi konsekwencyami, płynącemi z podziału władz, gdy przeciwnicy zwalczają ją również w imię tej samej zasady. Oczywiście, różnice tak jaskrawe zależą przedewszystkiem od różnego pojmowania podziału władz, należy nam więc naprzód—choćby w bardzo silnym skrócie—określić właściwe znaczenie tej zasady, zwłaszcza, że w ostatnich latach zjawiło się kilka prób nowego jej oświetlenia. [2])

Teorya podziału władz polega na zanalizowaniu zwierzchniczej władzy państwa, na wyodrębnieniu zasadniczych funkcyi, w jakich się ta władza przejawia, wreszcie na stwierdzeniu, że dla ochrony zarówno przedmiotowego porządku prawnego, jak praw jednostki, niezbędnem

---

[1]) *Al. Mogilnicki: Sądy administracyjne.* Warszawa 1900, str. 183—4. Podobnie *A. Okolski: O sporach administracyjnych.* Warszawa, 1867, str. 5.

[2]) Obszerne opracowania specyalne napisali: *Saint-Girons: Essai sur la separation des pouvoirs dans l'ordre politique, administratif et judiciaire,* Paris 1881, oraz *Fusier-Herman: La séparation des pouvoirs d'après l'histoire et le droit constitutionnel comparé,* Paris 1880. Ob. także *Janet: Histoire de la science politique dans ses rapports avec la morale.* Paris, 1887, 2 tomy.

jest powierzyć wykonywanie tych odrębnych funkcyi różnym organom, w miarę konieczności wzajem od siebie niezależnym. [1])

W tej wykończonej postaci jest ona dziełem Monteskiusza, którego zasługi nie zmniejsza to, że już w starożytności rozróżniano kilka kierunków w których się przejawia władza państwowa (np. Arystoteles), że w w. XVI i XVII pisano o różnych *partes potentiales summi imperii,* że w r. 1690 ze swoją koncepcyą podziału władz w Anglii występuje Locke. Z przygotowanego w ten sposób materyału stworzył Monteskiusz teoryę, [2]) nie troszcząc się zresztą o zbytnie jej sprecyzowanie; dzięki tej ostatniej okoliczności istnieją dziś różne wykładnie, nieraz bardzo rozbieżne, słynnych rozdziałów V i VI księgi XI „Ducha praw". Przez Anglię i Stany Zjednoczone teorya Monteskiusza wróciła do Francyi: art. 16 Deklaracyi praw z r. 1898 uświęcił ją w uroczystej formie i dziś zasada jest uznana powszechnie i urzeczywistniona w większym lub mniejszym stopniu we wszystkich państwach konstytucyjnych.

* * *

Przedewszystkiem stwierdzić należy, że niema tu mowy o dzieleniu, rozdrabnianiu władzy zwierzchniczej państwa; nie kwestyonuje się bynajmniej jedności tej władzy. Ale władza ta nazewnątrz musi się przejawiać w sposób konkretny, a przejawiać się może różnymi sposobami, w całym szeregu czynności, spełnianych przez organy państwowe. Różne te postaci, w jakich się przejawia działalność władzy państwowej, systematyzujący umysł prawnika sprowadza do kilku zasadniczych funkcyi władzy państwowej. Jeżeli te funkcye są powierzone różnym organom, nie znaczy to, że została podzielona władza państwowa, lecz tylko to, że organom tym powierzone zostało wykonywanie różnych atrybucyi tej samej władzy; za wszystkimi organami razem i za każdym

[1]) Tylko udział społeczeństwa w ustawodawstwie umożliwia oparcie podziału władz na zupełnie jasnych kryteryach prawnych, ale nie godzimy się z *Esmeinem* jakoby podział władz kazał przypuszczać z konieczności rządy *reprezentacyjne* tylko *(Eléments de droit constitutionnel.* Paris 1903, str. 300, 334 i oraz tegoż autora: *Deux formes de gouvernement,* w Revue du droit public, 1904, I, str. 25.

[2]) *Janet* obniża dzieło Monteskiusza, gdy twierdzi: «*M. n'a donc pas créé cette théorie; mais ce qui lui appartient, c'est d'avoir montré dans la séparation des pouvoirs la première garantie, et dans leur distribution la vraie mesure de la liberté (op. cit.* t. II, str. 367).

d

z osobna stoi cała, jedna i niepodzielna, władza państwa. Cała i niepodzielna władza państwa przejawia się zarówno w ustawie, jak w wyroku sędziego, jak w najmniejszej wagi akcie administracyjnym. [1]

Cóż jednak ma służyć za kryteryum przy tej klasyfikacyi zasadniczych funkcyi państwa?

Niejednokrotnie dzielono funkcye państwa według przedmiotów, na które jego działalność była skierowana. Rozróżniano więc władzę wojenną, skarbową, policyjną, karzącą, zawierania traktatów i t. p., słowem, wyliczano różne *iura maiestatis,* co jednak do żadnego rezultatu doprowadzić nie mogło, już choćby dlatego, że nie można było znaleźć racyonalnej granicy tych podziałów i najdalej posunięte wyliczenia nie wyczerpałyby treści władzy państwowej; z drugiej strony rozróżnianie podobne nie miałoby żadnego znaczenia praktycznego gdyż nie szło za niem różnicowanie form prawnych działalności państwa a klasyfikacya funkcyi państwowych przez to właśnie i o tyle tylko ma sens, że różne funkcye wyrażają się w różnych formach prawnych: jedno i to samo zjawisko społeczne może być przedmiotem ustawy, aktu administracyjnego i wyroku sądowego.

Jeżeli idzie o względy praktyczne (np. obronę przeciwko czynnościom organu państwa), najprostsza klasyfikować funkcye według organów: wszystkie czynności, które pełni—z zachowaniem przepisanych form—ustawodawca, stanowią funkcyę ustawodawczą; wszystkie czynności, należące do kompetencyi sądów zwyczajnych, stanowią funkcyę sądową; powstałe czynności, powierzone administracyjnym organom państwa, tworzą funkcyę administracyjną.

---

[1]) Pisarze francuscy i belgijscy używają często wyrażenia: *l'Etat—législateur, l'Etat—gouvernement, l'Etat—juge.* W Niemczech jeszcze do ostatnich czasów występują przeciwnicy zasady podziału władz, uważający ją za sprzeczną z jednością władzy zwierzchniczej, ze stanowiskiem centralnem monarchy (np. *Laband*), podobnie jak w imię pełni władzy zwierzchniczej narodu występował przeciwko teoryi Monteskiusza Rousseau. Przeciwko «kawałkowaniu» władzy i odpowiedzialności wystąpił *Woodrow Wilson (Le gouvernement congressionnel;* 333) jego krytyka zwraca się jednak raczej przeciwko systemowi amerykańskiemu podziału władz. Wreszcie dość niespodzianie *Orlando (Principii di diritto costituzionale,* 5 ed Firenze 1909 str. 3 — 4 twierdzi, że teorya M. jest sprzeczna z zasadniczym poglądem, który widzi w państwie organizm sui generis, że podział i równowaga władz doprowadziłyby do unieruchomienia, zastoju i śmierci organizmu państwowego. Wszystkie te i pokrewne zarzuty, upatrujące w podziale władz sprzeczność z jednością władzy państwowej, zostały już dostatecznie ocenione; nie możemy tu się nimi zajmować.

To rozróżnienie jednak, czysto formalne, nie może być punktem wyjścia; musimy mieć z góry jakieś kryteryum, któreby nam pozwoliło określić, jakie mianowicie organy mają tu być brane w rachubę. Pisarze, którzy wykazywali tendencyę do pomnażania liczby władz, właśnie tą drogą dochodzili do owych koncepcyi; tak powstały teorye, uznające—zazwyczaj obok trzech, zwykle przyjmowanych—władzą wyborczą, ministeryalną, królewską, władzę miarkującą *(pouvoir modérateur),* municypalną itd. B. Constant pisze o *pouvoir représantatif de la durée* i *pouvoir représentatif de l'opinion,* widząc w ten sposób w każdej izbie parlamentu odrębną „władzę", wykonywującą osobną funkcyę [1]). Orlando [2]) robi słuszną uwagę, że w takim razie, mierząc liczbę funkcyi liczbą organów, możnaby mówić o władzy prefektą, podprefekta, aż do skromnego stróża polnego. Pozatem w podziale władz jest coś więcej nad fakt, że każdy organ pełni swoją funkcyę: to bowiem zjawisko, jako objaw i rezultat społecznego podziału pracy, możemy obserwować w każdym, a więc i bardzo pierwotnym ustroju państwowym.

Jest jedno tylko wyjście z trudności, które przytem pozwala uniknąć zarzutu wpadania w *petitio principii:* jest niem oparcie podziału władz na rozróżnieniu *materyalnem* funkcyi państwowych, więc nie na różnicy celów, przedmiotów, organów, lecz na różnicy ich istoty wewnętrznej, ujętej, naturalnie, z tego punktu widzenia, który posiada istotną doniosłość dla prawa. Tylko ten sprawdzian umożliwi racyonalne ujęcie mnóstwa organów w parę grup zasadniczych. Na takiem właśnie materyalnem rozróżnieniu funkcyi oparł swą teoryę Monteskiusz. Te różnice muszą istnieć wyraźnie w każdym bardziej rozwiniętym ustroju państwowym i one to umożliwiają coraz doskonalszy podział funkcyi między różne organy.

Z tego punktu widzenia funkcya *ustawodawcza*—państwa (nie bierzemy tu pod uwagę prawa zwyczajowego) polega na tem, że państwo tworzy, dokładniej: *formułuje* ogólne normy prawne, t. j. nakazy lub zakazy w formie ogólnej. Przyjmując bez zastrzeżeń rozróżnienie (Schmitthennera, spopularyzowane przez Labanda) ustawy

---

[1]) Ob. jego *Cours de politique constitutionnelle i Principes de politique.*

[2]) *Principii di diritto cost,* str. 76. *Cherbuliez (Theorie des garanties constitutionnelles,* Paris 1838, 26) do godności odrębnych władz podnosi ministerya, tą drogą można dojść łatwo do ośmiu władz *(Romagnosi)* i więcej.

w znaczeniu materyalnem i formalnem, cechę ustawy w zn. materyalnem widzimy w jej formie ogólnej, a więc oderwanej [1]). Oczywiście, z tego określenia ustawy wynika, że np. rozporządzenie administracyjne wyrażone w formie ogólnej, musimy uważać za ustawę w znaczeniu materyalnem [2]), z drugiej zaś strony licznym aktom ustawodawcy, odzianym w formę ustawy, będziemy musieli odmówić charakteru ustawy w zn. materyalnem.

Funkcya wymiaru sprawiedliwości polega na tem, że w wypadku naruszenia lub zakwestyonowania prawa (podmiotowego lub przedmiotowego) państwo stwierdza w sposób obowiązujący jego istnienie i zarządza, co należy dla zapewnienia jego poszanowania. Dla materyalnego pojęcia funkcyi wymiaru sprawiedliwości nie ma więc znaczenia kwestya—skądinąd niesłychanie ważna—form procesowych; te formy postępowania rozwijały się, zmieniały, doskonaliły—istota wymiaru sprawiedliwości jest niezmienną. Bez znaczenia jest także kwestya organu: wymierzać sprawiedliwość może organ ustawodawczy lub administracyjny; z drugiej strony sądy załatwiają cały szereg czynności, które nie mają nic wspólnego z wymia-

---

[1]) Z obfitej literatury wymieniamy: *Rousseau:* Contrat social II, 6; III, 1; IV, 3 i t. d. *Gerber: Grundzüge des deutscheu Staatsrechts* 2 Aufl. Leipzig, 1869, str. 140. *Mohl: Staatrecht,* I, 193. *G. Meyer—Dochow: Lehrbuch des d. Verwaltungsrechtes,* 3 Aufl. Leipzig 1910, str. 2. *G. Meyer: Lehrbuch des d. Staatsrechtes,* 2, Aufl. Leipzig 1885 str. 452. *Esmein: Eléments,* str. 14 i 15. *Hauriou: Précis de droit adm. et de droit public,* 7 éd. Paris, 1911, str. 37. *Tenże: Principes de droit public,* Paris, 1810, str. 615. *Artur: Séparation des pouvoirs et separation des fonctions* w Revue de droit public 1900, XIII, 219. *Jèze: Cours de droit public,* Paris 1913, str. 22. *Tenże: Das Verwaltungs recht der Französischen Republik,* Tübingen 1913, str. 17. *Duguit: Traité de droit const.* Paris 1811, I, 41, 129 in. *Orban: Le droit const. de la Belgique,* I, 215; II, 391. *Errera: Traité de droit public belge,* Paris 1909, str. 120. *Jellinek: w Allg. Staatslehr* mówi o normach abstrakcyjnych, ale inaczej w *Gesetz u. Verordnug,* Freiburg 1887, str. 232. Podobież *Laband: Deutsches Reichsstaatsncht,* 5 Aufl. Tübingent 1909, str. 109 widzi w ogólnej formie ustawy *reur ein Naturale nich ein Essentiale des Gesetzbegriffes.* Większość publicystów niemieckich w ustawie w zn. mat. widzi tylko *Rechtssatz,* co słusznie *O. Mayer* określa, jako zwykłą metonimię.

[2]) *Artur,* by uniknąć tego wniosku, dodaje drugą cechę ustawy w zn. materyalnem: jest to akt pierwotny, samodzielny, *qui ne se rattache à aucune prescription antérieure comme mesure d'exécution.* Dodatek ten budzi pewne zastrzeżenie co do ścisłości, a jest zupełnie zbyteczny.

rem sprawiedliwości. (Stąd różnica terminów: *Justizakt* i *Rechtsspruch, acte judiciaire i acte jurdictionnel*). [1])

Najtrudniejszą do określenia pod względem materyalnym jest funkcya administracyjna. Tu najczęściej popełnia się ten błąd, że do definicyi wprowadza się moment celu; aliści te same cele (zazwyczaj ogólnikowo formułowane) przyświecają działalności państwa ustawodawczej i wymiarowi sprawiedliwości: idzie o różnice prawne, a więc o różny stosunek, w jakim pozostają do prawa różne rodzaje działalności, zmierzającej do osiągnięcia celów państwa. [2])

Ostatnimi czasy przyjmuje się coraz więcej—zwłaszcza w podręcznikach i kursach uniwersyteckich—negatywne określenie administracyi: administracyjną jest ta działalność państwa, która nie jest ani działalnością ustawodawczą, ani sądową. Potem dopiero tak sformułowane określenie uzupełnia się niezbędnemi zastrzeżeniami i po-

---

[1]) W wydanej w r. 1901 książce: *L'Etat, le droit objectif et la loi positive,* str. 416 i n. *Duguit* rozróżnia w orzeczeniu sędziego dwie rzeczy: stwierdzenie prawa i odpowiednie zarządzenie, tylko pierwsze uważając za akt wymiaru sprawiedliwości w zn. materyalnem; w *Traité* (1911, I, 260, i n.) uznał, że te dwa elementy związane są ze sobą zbyt ściśle, żeby je można było rozdzielać, że więc *razem* tworzą one akt wymiaru sprawiedliwości, które to stanowisko wydaje nam się słuszniejszem. Rozróżnienie to podjął natomiast *Jèze* i broni go w ostatniej swej pracy: *Cours de droit public,* str. 32 i n. Ob. w tej materyi słuszne uwagi *O. Meyera, op. cit.* I, str. 7 n. 10 oraz przytoczoną tam literaturę niemiecką.

[2]) Moment celu do określenia funkcyi administracyjnej wprowadzają m. in. *Hauriou: Précis de droit adm.,* 9; *Aucoc: Conférences sur l'administration et le droit adm.,* Paris 1896, I, 67; M. F. *Laferrière* (którego nie należy utożsamiać z Edwardem): *Cours de droit public et adm.,* Paris 1860, I, 333; *G. Meyer - Dochow: Lehrbuch,* str. 1; *O. Meyer, op. cit.* I, 13. *Spiegel: Das Verwaltungsrechtswissenschaft; Orlando: Priucipii,* 76; *tenże: Principii di diritto amministrativo,* str. 23 i n. Skrajnym wyrazicielem tej tendencyi jest *A. Posada: Tratado de derecho administrativo según las teorias filosoficas y la legistation positiva,* Madrid, 1897, I, str. 35--65 (ustępy te z nieznacznemi zmianami zostały przedrukowane w Revue de droit public, 1896, V, 289 i n. p. t. *La foncton administrativę de l'Etat*). *Posada* rozróżnia trzy zasadnicze kierunki działalności państwowej: realizacya prawa która wyraża się w funkcyach ustawodawczej, wykonawczej, sądowej; osobną funkcyę stanowi działalność, skierowana na utrzymanie stosunków międzynarodowych; wreszcie osobną funkcyę stanowią czynności, zmierzające ku utrzymaniu i udoskonaleniu środków działalności państwowej, t. j. instytucyi, przy których pomocy państwo osiąga swe cele: Określenie *Posady* brzmi: *La Administración como función del Estado es la actividad de éste, encaminada á procurar, conservar y perfeccionar el organismo (las diferentes instituciones), mediante el cual dicho Estado realiza sus fines* (t. I, 57; analogiczne określenie na str. 64).

prawkami [1]). Określenie to jest proste, jasne, wygodne i do celów praktycznych nauczania zupełnie wystarczające. Ale należy je rozwinąć, by uniknąć zarzutu autora niemieckiego, znajdującego, że *der herrschende Verwaltungsbegriff ist kein Rechtsbegriff* [2]) Istnieje mianowicie cały szereg czynności czysto technicznych, związanych ściśle z działalnością administracyjną państwa, które należy wyłączyć z pojęcia funkcyi administracyjnej. Gdy inżynier robi pomiary i plany, robotnik buduje tor kolejowy, maszynista prowadzi pociąg, nauczyciel uczy łaciny,—są to czynności, które, choć wykonywane w ścisłym związku z administracyą, przecie do administracyi w znaczeniu prawnem nie należą; mogą być wykonywane dobrze lub źle, zgodnie z prawem lub nie—mogą wtedy dać podstawę do uznania i nagrody lub odpowiedzialności dyscyplinarnej, nawet cywilnej i karnej. *„Für eine juristische Betrachtung bietet die Verwaltung nur insofern Raum, als sich der Staat zur Durchführung seiner Aufgaben rechtlicher Mittel bedient* [3]). Podobne czynności techniczne, acz nie w tak wielkiej liczbie i nie tak ważne, mieszczą się w działalności organów ustawodawczych i sądowych, a jednak są one zgoła bez znaczenia dla charakterystyki ustawodawstwa i wymiaru sprawiedliwości. Otóż skoro ograniczymy się ściśle do dziedziny prawnej, gdy formułowanie norm ogólnych stanowi funkcyę ustawodawczą, zaś konstatowanie stanu prawnego w wypadku zakwestyonowania lub naruszenia prawo-funkcyę wymiaru sprawiedliwości, pozostaje jeszcze jeden możliwy rodzaj działalności prawnej: tworzenie konkretnych stanów prawnych przez czynności prawne. W konkretnych czynnościach prawnych wyraża się funkcya administracyjna państwa. Nie to więc, że państwo dąży do osiągnięcia swych celów, że zaspakaja potrzeby społeczne, jest charakterystyką funkcyi administracyjnej w znaczeniu materyal-

---

[1]) Tak np. *O. Mayer i F. Fleiner: Institutionen des d. Verwaltungsrechtes.*

[2]) *Kelsen: Hauptprobleme der Staatslehre,* str. 493.

[3]) *F. Fleiner: op. cit.* str. 5. Zbliżony pogląd u *O. Mayera (op cit.* I; 10): administracya nie obejmuje tych wszystkich rodzajów działalności państwa, przez które, dążąc do osiągnięcia swych celów, państwo wychodzi ze sfery swego porządku prawnego. Autor wyklucza więc m. i. wojnę, czynności dyplomatyczne, komendę wojskową, akty polityczne rządu *(actes de gouvernement).*

nem, ale że czyni to za pomocą środków innych, niż wymiar sprawiedliwości i ustawodawstwo, mianowicie za pomocą konkretnych czynności prawnych[1]).

To ujęcie daje szereg korzyści. Naprzód pojęcie administracyi staje się pojęciem ściśle prawnem, wyraźnie odgraniczonem od dwu innych funkcyi państwa. Powtóre, nie zapoznając różnicy, zachodzącej między objawami woli organu publicznego, a objawem woli jednostki, zbliżamy na tle pojęcia czynności prawnej państwo i jednostkę ze względu na ich związanie przez prawo. Czynność prawna — objaw woli, zmierzający do powstania, zmiany lub rozwiązania stosunku prawnego—musi zdążać do tego celu w zgodzie z prawem przedmiotowem. Zasada legalności administracyi (*Gesetzmässigkeit der Verwaltung*) znajduje w takiem ujęciu rzeczy jawną a pewną podstawę, a nawet samo znaczenie tego terminu, powszechnie używanego, ale niejednakowo rozumianego, może zyskać na bardziej jednolitej intrepretacyi.

Gdyśmy ustalili w ten sposób pojęcie trzech zasadniczych funkcyi państwowych w znaczeniu materyalnem, musi powstać pytanie, w jakim stosunku rozróżnienie tak rozumianych funkcyi pozostaje do podziału władz. Pytanie to nie mogłoby wcale powstać, gdybyśmy mówili o funkcych w znaczeniu formalnem, to pojmowanie bowiem nie daje żadnego kryteryum do ocenienia sposobu, w jaki różne funkcye zostały rozdzielone między różne organy: jakiekolwiek czynności zostały powierzone ustawodawcy, stają się one przejawem funkcyi ustawodawczej i t. d. Podział funkcyi w znaczeniu formalnem jest właściwie podziałem kompentecyi. Inaczej z funkcyami w znaczeniu materyalnem.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że dwie te kwestye nie mają ze sobą nic wspólnego. Granice trzech funkcyi w znaczeniu materyalnem nie pokrywają się z kompetencyą trzech władz: ustawodawczej, wykonawczej i sądowej. Ustawodawca sądzi i wydaje zarządzenia konkretne; władza wykonawcza wydaje rozporządzenia

---

[1]) Pierwsze wyraźne sformułowanie tego poglądu znajdujemy u Duguit'a (*L'Etat*, I. str. 138, 196 i *pass.*). Poszedł za nim, w szczegółach różnią go się nieraz, Jeze (*Les principes generaux du droit administratif*, Paris 1904 i późniejsze prace). Ostatecznie Duguit taką daje definicyę w ostatniem swojem dziele: *Fonction administrative est la fonction par laquetle L'Etat fait des actes juridiques, l'dst-à-dire exprim nue volonte à l'effet de faire naître nue situation de droit subjectif* (*Traite*, I, 195).

ogólne, będące prawdziwemi ustawami w zn. materyalnem, i wymierza sprawiedliwość; wreszcie sądy również nie są bynajmniej ograniczone do wymiaru sprawiedliwości. Jednak rozróżnienie funkcyi w zn. materyalnem nie jest bez wartości. Przeciwnie, posiada ono to wielkie znaczenie, że charakter materyalny funkcyi wpływa na podział kompetencyi między organy, na sposób i charakter wykonywania tych funkcyi, na formy, w jakich są one wykonywane.

Tak w kompetencyi ustawodawcy funkcya ustawodawcza w znaczeniu materyalnem tworzy jądro, ośrodek, rzecz zasadniczą, która logicznie nie mogłaby być powierzoną innemu organowi. Kompetencya do tworzenia przepisów ogólnych tu jest rzeczą naturalną, gdzieindziej jest tylko wyjątkiem, który uzasadniać lub tylko tłumaczyć trzeba, podobnie jak wyjątkiem, wymagającym uzasadnienia lub tylko usprawiedliwienia, jest kompetencya ustawodawcy do wydawania zarządzeń indywidualnych lub wymiaru sprawiedliwości. Rozwój form, których zachowanie wymagane jest do wykonywania różnych funkcyi, przesunięcia w kompetencyi trzech grup organów, wszystko to odbywa się pod działaniem—w granicach możliwości politycznej — materyalnego pojęcia funkcyi państwowych.

Także instytucya sądownictwa administracyjnego odbywa stałą ewolucyę od instytucyi administracyjnej do sądowej, a rozwój w tym kierunku odbywa się pod naciskiem wewnętrznym tej właśnie okoliczności, że sądownictwo administracyjne jest wyrazem funkcyi wymiaru sprawiedliwości w znaczeniu materyalnem. Ta okoliczność sprawia, że sądy administracyjne, tracąc swój charakter organu czynnej administracyi, stają się coraz więcej sądami i dają jednostce w coraz większej mierze te rękojmie, jakie jej daje organizacya władzy sądowej. Tylko, że dzieje się to w sposób zupełnie oryginalny, bynajmniej nie drogą zwykłego naśladownictwa, upodobnienia sądownictwa administracyjnego do zwyczajnego.

Pisaliśmy, że dla ochrony zarówno przedmiotowego, porządku prawnego, jak praw jednostki, niezbędnem jest powierzyć wykonywanie odrębnych funkcyi różnym organom, w miarę konieczności wzajem od siebie niezależnym. Podział władz nie jest, jak rozróżnienie funkcyi państwowych w znaczeniu materyalnem, postulatem logiki prawniczej przedewszystkiem; jest on postulatem *par excellence* praktycznym, politycznym. „Władze“ nie są tylko stałe

związanemi grupami atrybucyi, są one również siłami politycznemi. Każdy organ (grupa organów) w swoim zakresie wykonywa atrybucyę władzy najwyższej; ale każdy formułuje wolę państwa tylko w zakresie swojej kompetencyi—i tylko o tyle inne organy są przez ten objaw woli związane; kompetencya każdego organu jest mu powierzona wyłącznie i niepodzielnie: jest to warunek pewności stosunków prawnych.

Organy te są od siebie nawzajem niezależne; ale w czemkolwiek upatrywać będziemy warunek niezależności, nie może ona iść zbyt daleko: organy muszą mieć możność koordynowania swych czynności, *aller de concert* jak pisał Monteskiusz. Jednym z zasadniczych warunków niezależności wzajemnej organów jest, by każdy z nich łączył do pewnego stopnia różnorodne funkcye; w przeciwnym bowiem razie byłby tak dalece od innych zależny, że aż niezdolny do życia, co da się powiedzieć z równą słusznością o wszystkich, ale w największej mierze o organach administracyi [1]).

Wniosek, jaki się z wywodów powyższych nasuwa, jest ten, że sądownictwa administracyjnego nie można uzasadniać lub potępiać ze stanowiska zasady podziału władz. Jeżeli spojrzymy na rzecz z punktu widzenia funkcyi w znaczeniu materyalnem, toć musielibyśmy wszędzie, na każdym kroku upatrywać pogwałcenie tej zasady; jeśli zaś ten punkt widzenia odrzucimy, to musimy uznać, że sądownictwo administracyjne należy do dziedziny administracyjnej, że sądy administracyjne są organami administracyi, a ich orzeczenia — aktami administracyjnymi. Tylko pewne formy, których zachowania wymagają czynności sądowo-administracyjne, wyróżniają je od pozostałych czynności czysto administracyjnych; ale te właśnie formy czynią z sądownictwa administracyjnego rękojmię praw podmiotowych i prawa w znaczeniu przedmiotowem.

Przebrzmiały w prasie politycznem spór o to, czy istnieją dwie lub też trzy władze, poruszany bywa niekiedy w prawie administracyjnem właśnie przy sposobności omawiania sądownictwa administracyjnego, i podczas gdy pisarze prawa konstytucyjnego niemal bez wyjątków uznają istnienie trzech władz, pisarze prawa admi-

---

[1]) Nie możemy na tem miejscu rozważać różnych szczegółów, które dla zasady podziału władz istotne nie są, ani związanych z nią poglądów, które okazały się błędnymi; ograniczamy się do tych jedynie kwestyi, które się wiążą bezpośrednio z zagadnieniem sądownictwa administracyjnego.

nistracyjnego, przeciwnie, przyjmują — również prawie powszechnie—istnienie dwu władz: ustawodawczej i wykonawczej, która rozpada się z kolei na dwie gałęzie — administracyjną i sądową. Umysł ludzki—powiadają za Ducrocq'em—dostrzega tylko dwie władze: jedną, która wydaje ustawy, i drugą, która je wykonywa; niepodobna zrozumieć, gdzieby mogło znaleźć się miejsce na trzecią. Nie ulega wątpliwości, iż poza tem napozór ścisłem rozumowaniem, kryją się nieuświadomione najczęściej względy praktyczne, a i samo rozumowanie trzyma się jedynie dzięki wadliwej terminologii. Przyczyną nieporozumienia jest mianowicie termin: władza wykonawcza. To, co z funkcyi państwowych pozostaje po odciągnięciu ustawodawstwa, nie jest bynajmniej tylko wykonywaniem ustaw. Nawet sędziowie mają sobie pozostawiony pewien zakres swobodnego uznania tam zwłaszcza, gdzie mają do czynienia z lukami w prasie; nawet sędziego działalność, acz polegająca tylko na konstantowaniu stanu prawnego i skierowana ku utrzymaniu prawa w mocy, zawiera coś więcej, niż zwykłe wykonywanie ustawy. Cóż dopiero powiedzieć o administracyi, która ma zgoła inne cele, niż wykonywanie ustaw, która jest zupełnie inaczej związana z prawem, niż sądy, która w ramach ustaw rozwija swobodną, względami politykę jedynie dyktowaną twórczość? [1]) Tymczasem termin: władza wykonawcza pozwala z pozorną słusznością łączyć pod jednem mianem funkcye zgoła różne i zupełnie odrębne grupy organów, korzyść zaś stąd —równie pozorna—jest ta, że unika się trudności przy określaniu miejsca, jakie zajmuje sądownictwo administracyjne w systemie instytucyi prawa publicznego.

Twierdzi się bowiem, że jeżeli sądy są organami tej samej władzy wykonawczej, co i organy administracyi, tedy mniejsza, jak tam w obrębie tej samej grupy organów została podzielona kompetencya. Rzecz nie posiada znaczenia zasadniczego, istnienie sądownictwa administracyjnego nie budzi żadnych wątpliwości ze stanowiska surowej logiki prawniczej. A jest to pewien plus dla instytucyi, nawet dla jej żywotności, jeśli nie ujawnia sprzeczności wewnętrznej. Aliści korzyść, jak się rzekło,

[1]) Przyjmując istnienie trzech władz, należałoby zamiast terminu: władza wykonawcza, używać innego, który lepiej rzecz oddaje: władza rządowa i administracyjna, albo przynajmniej, jak się to już w naszem słownictwie prawniczem od XVII w. utarło: władza rządowa i wykonawcza.

jest istotnie tylko pozorna. Trudność zostaje przesunięta nieco dalej, ale nie usunięta, te same bowiem względy polityki prawnej, które przemawiają za oddzieleniem władzy sądowej od wykonawczej, przemawiają również za oddzieleniem gałęzi sądowej władzy wykonawczej od jej gałęzi administracyjnej. [1]) Ze stanowiska materyalnego—a na tem stanowisku stoją ci pisarze, którzy przez przyjęcie dwu władz pragną odeprzeć zarzuty, godzące w samo istnienie sądownictwa administracyjnego—funkcye: sądowa i administracyjna, choć zbliżone wzajemnie przeciwstawieniem do funkcyi ustawodawczej, są jednak dotyla różne, że ich odrębność pociąga za sobą odrębność organów, ich celów i zadań, ustroju, charakteru, postępowania. [2]) Zgoła różna też jest w obu wypadkach wartość rękojmi poszanowania praw i interesów jednostki, całego ustroju prawnego. Trudność usunięta powraca na innem miejscu.

---

[1]) *Berthélemy,* zwolennik dwu władz, twierdzi również, że kwestya nie posiada znaczenia praktycznego, nie wpływa na stopień niezależności sądów, które nic nie mogą zyskać na podniesienia do godności trzeciej władzy. *(Traité élémentaire de droit adm.* 4 ed. Paris, 1906, str. 10). Jeżeli tak, tedy odrębność sądownictwa od administracyi nie może nic stracić na tem, że się przyjmuje istnienie dwu władz zamiast trzech.

[2]) Znamienna, że w terminologii francuskiej dwie gałęzie władzy *(pouvoir)* wykonawczej oznacza się jako *autorités,* a więc również władze.

M. Zdziechowski.
Prof. Uniw. Jagiell.

GLORYFIKACYA TWÓRCZOŚCI.

(*M. Berdiajew.* Smysł Tworczestwa. Opyt Oprawdania człowieka. Moskwa, 1916, stron 350 in 4).

I.

Szukanie Miasta Bożego, tęskliwe wyczekiwanie zejścia niebieskiego Jeruzalem na ziemię, żądza powszechnego zbawienia i powszechnej szczęśliwości, słowem, nastrój apokaliptyczny stanowi, zdaniem Mikołaja Berdiajewa, cechę charakterystyczną mistyki rosyjskiej i słowiańskiej. Objawy nastroju tego — zwłaszcza od czasu wstrząśnień w życiu wewnętrznem Rosyi, spowodowanych przez wojnę Japońską—wybuchały w pracach wybitnych pisarzy i myślicieli (Mereżkowski, Bułgakow, Berdiajew, Ern) często i nieraz gwałtownie. I sama przez się nasuwała się nam analogia z następstwami nierównie straszliwszej w rozmiarach swoich klęski 1831 roku, która, zabrawszy narodowi naszemu resztki samodzielności państwowej, też wywołała była wybuch mesyańskich marzeń. Ale mniej apokaliptyczny, mesyanizm nasz nie zrywał z rzeczywistością, chciał trzymać się ziemi, był w istocie swojej przesunięciem nadziei naszych z przyszłości blizkiej w niedającą się określić dal. Nawet Towiański, który osobie swojej i działalności nadawał charakter proroczy, zwiastując nową, wyższą, pełniejszem „światłem chrześciańskiem“ oświetloną epokę—nawet on od epoki tej wyczekiwał nie cudu, lecz tylko ściślejszego wykonywania prawa chrześciańskiego, które w dziedzinie stosunków politycznych przynieść miało oczyszczonej z bólu i przez ból, i moralnie odrodzonej Polsce szczęście upragnionej wolności.

Pozornie dalej szedł Cieszkowski, określając ową przyszłą wyższą epokę, jako trzecią, czyli ostatnią, syntetyczną epokę Ducha Świętego, która będzie końcem historyi. Ale nie dalekie, jak mniemał, zakończenie wiekowych wędrówek rodu ludzkiego wyprowadzał on ewolucyjnie z teraźniejszości i tem samem wpadał w sprzeczność z samym sobą: skoro bowiem Dzień Ducha Św. wyniknąć ma z ewolucyi tego, co dziś jest, i ma nastąpić w przyszłości, choć nieokreślonej, jednak nie odległej, więc będzie on tylko niejakiem polepszeniem obecnych warunków bytu, nie zaś rajem na ziemi, będzie krokiem naprzód, lecz jeszcze nie końcem i syntezą. Cieszkowskiego chcąc poprawić, Krasiński wkraczał w sferę eschatologii i tam przedświtu przyszłej Polski szukał. Słowem, w marzeniach naszych i nadziejach albo staraliśmy się stać na twardym gruncie (Towiański, Mickiewicz, Cieszkowski), albo przenosiliśmy je w nadświat, ażeby nam ztamtąd świecąc, pobudką się stawały do zdwojonych wysiłków w dążeniu do wspólnego wszystkim celu (Krasiński, Słowacki) *)

W zestawieniu z mesyanizmem naszym, mesyaniści rosyjscy mniej są realni i zarazem logiczniejsi. Bardziej dają się unosić marzeniu, nie do naprawy rzeczywistości wzdychając, lecz do jej przetworzenia, ale nie wpadają w błąd Cieszkowskiego, rozumiejąc niemożliwość powiązania ze sobą dwóch tak odmiennych rzeczy, jak ewolucya dzisiejszego świata, a przetworzenie ziemi w Niebieskie Jeruzalem; epoka trzecia nawet pomyśleć się nie daje w warunkach doczesności, wymaga ona kosmicznego przeobrażenia ziemi i człowieka, przyjść może tylko jako cud. Ze stanowiska tego mesyanizm nasz nudnym jest dla Rosyan, gdy po ziemi stąpa, beztreściwym zaś, gdy ponad ziemię wzlatuje; nie znalazł u nich ani sympatyi, ani nawet odgłosu; oni na ziemi chcą stać i jednocześnie tę ziemię do gruntu przeistaczać.

Czyli cud, jakim będzie Dzień Ducha Świętego, chcieliby sami stworzyć. I nie wydaje się to im niepodobieństwem; człowiek, którego w Rosyi uważają nie za dziwaka, lecz za niepospolitego myśliciela, N. F. Fiodorow, poświęcił był, oparty o dogmat zmartwychwstania

*) Por. M. Zdziechowski „Wizya Krasińskiego", Kraków, 1913.

ciał, pracę całego życia rozmyślaniu nad tem, jak zwyciężyć śmierć, i umarłych przodków wskrzesić... *)

Ale chcąc świat przetworzyć i w nim stworzyć cud nowego, wyższego życia, należy i sobie i innym wyjaśnić, czem jest twórczość. Zadania tego podjął się Berdiajew w ostatniej swojej pracy.

Uderza nas w niej i pociąga niezmierna żywość wiary w twórczą moc metafizycznego boskiego pierwiastka w osobie człowieka. Człowiek to punkt, w którym zderzają się ze sobą dwa światy. Jest to dla Berdiajewa bezpośrednią z głębi doświadczenia wewnętrznego płynącą oczywistością. Nasza „wyższa świadomość“ przerywa i rozrywa normalny bieg przyrody; tajemnicą jest, której nie rozjaśni żadne od wiedzy przyrodniczej pochodzące światło. Chrystus czuł się Bogiem, wiedział, że Nim jest i przed niemożliwością wytłumaczenia tej w Nim świadomości ze zdumieniem zatrzymać się muszą uczeni racyonaliści. Podobież powinnyby się zatrzymać przed świadomością naszą, która transcendentalną jest w stosunku do przyrody i też nie dającą się wytłumaczyć. Jest głęboka i pełna znaczenia analogia między świadomością Chrystusa, a świadomością człowieka—i „tylko Objawienie Chrystusowe daje klucz do odkrycia tajemnicy, czem my jesteśmy, do uświadomienia w sobie boskości naszej i jej twórczej mocy“.

Narzędziem zaś tego wyższego z natury w nadnaturę porywającego nas pierwiastka, narzędziem do poznawania i zdobywania świata jest intuicya. Wyrazy jej rozmaitych postaci mamy w dziejach filozofii, tylko, niestety, usiłowano nieraz i niejeden dziś jeszcze usiłuje zrobić z filozofii naukę. Ale filozofia pod żadnym względem nauką nie jest i nią być nie powinna. Wymownej jej obronie przeciw pokusie naukowości poświęcone są pierwsze rozdziały książki. Filozofia—woła autor—jest zasadniczo innego rodzaju, niż nauka, reakcyą na świat; inne są źródła, z których wypływa i ku którym pędzi. Ona szuka nie prawd, lecz prawdy; jest, jak wskazuje to jej nazwa, miłością mądrości, czyli miłością boskiej Sofii, o której powiedziano w Piśmie Św., że doradczynią jest Boga, pierwowzorem rzeczy wszystkich. I na wyżynach filozoficznej świadomości Sofia wstępuje w człowieka. Filozofia

*) Dzieło jego „Fiłosofja obszczago dieła“ wydane zostało, jako rękopis, przez czciciela jego Kożewnikowa. W handlu księgarskim nie istnieje.

starszą jest od nauki, ona już była, gdy nauki jeszcze nie było; ona ją z siebie wyłoniła... I cóż? oto słyszymy dziś, że dopiero nauka ma ją wyłonić i utworzyć!.. Nie, nigdy. Nie nauką jest filozofia, ale sztuką, sztuką swobodnego poznawania w natchnieniu, stwarzającem idee, które powstając przeciw temu, co światem jest i koniecznością, w walce i przez walkę z determinizmem świata, ze zmiennością i znikomością przenikają do ponadświatowej istoty bytu. Filozofia formułuje dostrzeżoną w intuicyi prawdę i formuły swoje układa w syntezę; na tem jej zadanie polega. Przekonywa nas w filozofii i porywa doskonałość tych formuł, ich jasność i przenikliwość, światło, które z nich płynie, nie zaś dowody i wywody. Te są rzeczą nauki. W przeciwieństwie do filozofii, której celem—„transcensus“, przekroczenie granic, w których nas zmysły zamykają, nauka płynie z samozachowawczego instynktu człowieka, zabłąkanego w ciemnym lesie życia; potrzeba oryentacyi w tym lesie, świadomość zależności od świata są jej początkiem. Dla własnego pożytku i dobra człowiek powinien umieć dostosować się do tej narzuconej jemu konieczności, jaką jest świat—i nauka staje się dlań wydoskonalonem do tego narzędziem. Więc nauka nie wyzwala ducha ludzkiego; przeciwnie, ona jest „wyrazem niewoli człowieka w więzach konieczności“, czyli powszechnego determinizmu... „posłuszeństwem jest nie zaś twórczością; żywiołem jej nie jest wolność, lecz konieczność“. Najbardziej zaś niebezpieczną próbę naukowego ujarzmienia filozofii upatrzył Berdiajew w dzisiejszych kierunkach teoryi poznania—i w tę stronę najgwałtowniejsze pociski wymierzył. „Poznanie w swojej najgłębszej istocie nie może być—dowodzi on—tylko niewolniczem odbiciem rzeczywistości, przystosowaniem się do tego, co jest,—nie, ono jest także czynnem przeobrażaniem bytu, światłem słonecznem, zwiastującem tryumf Słowa Bożego“.

Czyli, nie wolno twierdzić, że kryteryum prawdy jest rozumowe i że my ją rozumem b i e r n i e przyjmujemy. Taka prawda po prostu nie istnieje, rozum bowiem sam sobie pozostawiony ujmuje świat, jako splot zjawisk, żelaznym łańcuchem przyczynowości powiązanych, jako ślepą konieczność; konieczność zaś—to panowanie mroku, a w mroku niema miejsca dla prawdy, ani widać drogi do twórczego czynu, który ją zdobywa. Więc jedno z dwojga: albo prawdy zupełnie niema i porzucić należy, jako niepotrzebne, wielkie filozoficzne o niej rozważania—albo

prawda jest twórczem światłem wyzwalającem byt, a w takim razie powinniśmy umieć ją znaleźć i ją ukochać. Wątpienie jest grzechem, ciężkim grzechem, rozlazłością jest ducha, przygnębieniem, brakiem woli; z wątpienia wyprowadzi nas twórcze natchnienie, skupiające wszystkie władze duchowe w żądzy posiadania prawdy.

Nie są to rzeczy nowe. Już Św. Augustyn wiedział, że rozum sam nie dochodzi prawdy. Że zaś drogą do niej jest życie, oczywiście życie wyzwolone, lub wyzwalające się z pod jarzma grzechu—głosił to za dni naszych Lew Tołstoj z porywającą namiętnością wieszcza i proroka. Z tegoż samego przeświadczenia wyszły nowoczesne kierunki myśli katolickiej, ich protoplasta, kardynał Newman, przekształcał w rozmyślaniach swoich o źródłach i podstawach wiary teoryę poznania, wprowadzając do niej, jako najwyższą, rozstrzygającą o pewności instancyę, nowy czynnik w postaci zmysłu wnioskowania (illativ sense), czyli indywidualnego pierwiastka w myśleniu. Ale zmysł ten, rzucający most nad przepaścią między dowodami, które wiarę uprawdopodobniają, lecz nie są w stanie jej dać, a wiarą ślepą—zmysł ten w najściślejszym jest związku z moralną istotą człowieka, jest jej obliczem. Nie mając bowiem innego oparcia, jak prawdopodobieństwa, a chcąc ich sferę przekroczyć i absolutną pewność zdobyć, potrzebuje on pomocy siły wyższej, tę zaś odnajduje tylko w sumieniu, sumieniu czystem, zdlonem do przyjęcia łaski. Sumienie wyrabia zmysł wnioskowania, sumienie nim kieruje. *)

Ale zależność poznania prawdy od moralnej wartości poznającego, błogosławieństwo ewangelicznej czystości serca, jako warunku oglądania Boga, względnie mało obchodzi Berdiajewa. W zdobywaniu prawdy widzi on przedewszystkiem akt genialnej intuicyi, suponującej zuchwałą śmiałość myśli. Słowa zaś jego o Prawdzie, przeobrażającej byt, rozumieć należy literalnie, czyli prawdę bierze on nie jako podstawę życia i prawo, według którego każda zosobna jednostka żyć powinna, lecz jako siłę, która przeobrażać może cały ustrój i układ świata. Myśl jego ma apokaliptyczne zabarwienie, płynie ona z niecierpliwości ujrzenia Królestwa Bożego, tu na ziemi, własnemi oczami. Daleko od siebie odrzuca Berdiajew to

*) Por. *M. Zdziechowski:* «Pessymizm, romantyzm, a podstawy chrześciaństwa» (Kraków, 1914) t. II s. 176—182.

tak starannie przez Kościół wpajane przeświadczenie, że ziemia jest padołem płaczu, przejściem do wyższego bytu. Nie, ów wyższy i lepszy byt musi tu, na ziemi się urzeczywistnić. Berdiajew jest geocentrykiem w duchowem znaczeniu tego wyrazu.

Kopernik zepchnął był ziemię z jej centralnego miejsca we wszechświecie, Berdiajew inną drogą wprowadzą ją znów na dawne stanowisko. Dokonany przez Kopernika przewrót w nauce nie mógł nie wpłynąć na osłabienie żywości wiary w żywość stosunku między Bogiem a człowiekiem. Skoro bowiem ziemia nie jest tem, za co ją miano, lecz wśród nieskończonej ilości ciał, pędzących po nieskończonościach astronomicznej przestrzeni, jednem z najmniejszych—skoro nie dla ziemi i nie dla jej mieszkańca stworzył Bóg słońce, księżyc i gwiazdy, więc czemuż nie przypuścić, że owe gwiazdy, wobec których nasza ziemia jest pyłkiem, są zaludnione przez istoty szlachetniejsze i doskonalsze od nas?—Upadek geocentryzmu pociągał za sobą opadnięcie wszelkich antropocentrycznych rojeń w filozofii -i tem się tłumaczy w znacznej, może najznaczniejszej mierze ten pęd w stronę panteizmu i panteistycznego roztapiania człowieka w naturze i Bogu, który się tak wyraźnie zaznaczył w uczuciu religijnem narodów europejskich. Kościół nie ustępował i uparcie walczył z panteizmem i wszystkiem, co podobieństwo jego miało, ale po utracie najmocniejszego obronnego punktu, jakim był geocentryzm, obrona stawała się coraz trudniejszą. Aż oto dziś, teraz z niespodzianą i, jak zobaczymy, niepożądaną pomocą przychodzi myśl rosyjska. Jeśli nie fizycznie, to metafizycznie ziemia w jej oświetleniu jest centralnym punktem wszechświata. Przekonywamy się o tem, zastanawiając się nad naszą własną naturą. Jest w niej pierwiastek boski, nadnaturalny; człowiek nie mieści się w świecie, ciasno mu w nim; czujemy to i uświadamiamy—i w imię świadomości tej „nieskończony duch ludzki rości prawo do absolutnego, nadnaturalnego antropocentryzmu“; nie dość na tem, człowiek chce być „absolutnem centrum nietylko zamkniętego systemu planetarnego, do którego ziemia należy, lecz całego bytu, wszystkich planów bytu, wszystkich światów“—chce być i wie, że tem jest.

Tak śmiałego wniosku i w tak śmiałych wyrazach nie wygłaszał dotychczas żaden myśliciel chrześciański—i właśnie ta śmiałość czyni Berdiajewa niepożądanym dla Kościoła sprzymierzeńcem. Jego rozpęd staje w poprzek

nauce kościelnej, opartej na dogmatach upadku i odkupienia. Dogmatów tych Berdiajew nie odrzuca, ale one jemu nie wystarczają; nie zawarła się w nich, zdaniem jego, pełnia prawdy religijnej. Nie dość jest, twierdzi on, odkupić winę swoją, uciec od grzechu, odpędzić od siebie wszelkie pokusy do nowych upadków; cele człowieka leżą znacznie dalej; ma on pozytywne twórcze przed sobą zadania. Tymczasem w Ewangelii nie powiedziano nic o twórczości i żadne sofizmaty żadnych z niej wskazań w tym kierunku nie wyciągną. Ale milczenie to jest opatrznościowe. Gdyby bowiem—streszczamy myśl Berdiajewa—Ewangelia nauczała nas, co i jak mamy tworzyć, to twórczość streszczałaby się w posłuszeństwie i nie byłaby twórczością w rzeczywistem znaczeniu tego wyrazu. Twórczość zaś—to wyjście z pieluch posłuszeństwa: wymaga ona inicyatywy odważnej, zuchwałej. Dziś dopiero zaczynamy to rozumieć; jasnem się staje dla nas, że świadkami i aktorami jesteśmy wielkiego przełomu, a wszystko, co dotąd ludzkość w zakresie kultury zdziałała, tak mało nas zadawalnia, że wydaje się jednem wielkiem fiasco. Kościół historyczny na opoce Piotra zbudowany, ten zasadniczy czynnik duchowego życia i rozwoju kulturalnego, nie umie pojąć tragedyi religijnej, której widownią — dusza współczesna, i odpowiada nie na te pytania, z jakiemi ona do niego się zwraca. Wszystko to świadczy, że wyszliśmy, a raczej wychodzimy już z epok Ojca i Syna i że zbliża się czas Ducha; cnotę posłuszeństwa zastąpi heroizm twórczości: „Trzecie twórcze Objawienie w Duchu nie będzie miało Pisma Świętego, nie będzie głosem z wyżej; ono się dokona w człowieku i ludzkości; będzie Objawieniem antropologicznem". Objawienia tego Bóg wyczekuje od człowieka, wyczekuje, bo swoje Słowo, swoje Objawienie już mu dał w osobie Chrystusa.

Coś pokrewnego pod względem natężenia i siły w poczuciu swego Ja, swego indywidualnego znaczenia wobec Boga i dla Boga spotykamy u Kardynała Newmana: „Stworzony jestem—czytamy w jego Rozmyślaniach—ażeby być i dokonać tego, do czego nikt inny stworzony nie został"... „Mam w planach Boga miejsce, które tylko ja jeden zajmuję"... „Mam swoje własne posłannictwo"... „jestem potrzebny Bogu dla dokonania Jego planu, równie potrzebny na mojem miejscu, jak archanioł na swojem". *)

*) Por. *M. Zdziechowski:* «Pessymizm, romantyzm, i podstawy chrześciaństwa» str. 153.

Tylko oczywiście Newman, jako kapłan katolicki, nie marzył ani o Kościele Miłości, ani o epoce Ducha. Ale Berdiajew zapędza się dalej jeszcze i nie waha się wygłosić, że „w Bogu jest namiętna tęsknota za człowiekiem“ (s. 124), że pochodzi ona z „tragicznego braku w osobie Boga“ *(ib)*, braku, który tylko człowiek zapełnić może. Dopiero przez niego, przez Objawienie, które przyniesie, którem będzie człowiek doskonały, Bóg dojdzie do pełni swej boskości... „Słyszymy w tem odgłosy panteizmu niemieckiego, Fichtego, Schellinga, Hegla.

I Berdiajew nie przeczy temu. „Mogą mi zarzucić— pisze on w Przedmowie—zasadniczą sprzeczność w mojem odczuwaniu i rozumieniu świata“. I słusznie: „Wyznaję prawie panteistyczny monizm i wyznaję prawie manichejski dualizm“. Czyli dwa sprzeczne ze sobą twierdzenia, jedno, że świat jest wewnętrznym procesem w Bogu, a człowiek uzupełnia Boga—drugie, że Bóg jest konkretną Osobą, stwórcą świata nieskończenie dalekim od zła, w które świat ten wpadł—obydwa te twierdzenia jednakiej są wartości i słuszności. A sprzeczność ta, gdy o Bogu myślimy, nie daje się w żaden sposób uniknąć. Z równem prawem możemy uzasadniać, że Bóg jest transcendentalny i że jest immanentny w stosunku do świata. I to właśnie dowodzi, że Boga należy szukać ponad obu antynomiami. Pomoc do wyjścia z nich znajdujemy w chrześciańskiej nauce o Trójcy Bożej. W troistości, tym „wewnętrznym dramacie Boga“, zlewają się przeciwieństwa teizmu i panteizmu.

Bóg St. Testamentu, Stwórca i Pan świata, ten zewnętrzny i daleki Bóg budzi strach w człowieku i nie może być mowy o żywej i serdecznej łączności z Nim; ale Bóg Ojciec, który się objawił w osobie Syna Bożego, Chrystusa, przestaje być „samodżierżawnym“ gospodarzem świata i powołuje człowieka do uczestniczenia w życiu Bożem, do epoki Boga Ducha, kiedy On całkowicie w nas, a my w Nim będziemy...

I epoka ta się zbliża. Więc gdzież zło zniknęło? Gdzie „manichejski dualizm“? Czyżby zło było, jak uczą w kościele, tylko pozornym rozdźwiękiem, służącym do podniesienia piękna całości? Nie: „Duch ludzki jest w niewoli“—od tych słów zaczął Berdiajew dzieło swoje. „Niewolę tę — ciągnie on dalej — nazywam światem, koniecznością“. Świat zaś, czy konieczność — pojęcia te są jednoznaczne—jest „chorobą bytu“, pochodzi z grzechu,

słowem, jest złem. I zło tak szeroko i głęboko objęło świat, tak jest potężne, że chcąc istotę jego wyjaśnić, trzebaby wraz z Jakóbem Böhme, którego Berdiajew uznał za największego z mistyków, dopuścić możliwość teogonicznego procesu, czyli rozwoju w Bogu, wyobrazić jakąś otchłanną w Nim głąb, Ungrund jakiś, w którym rodzi się światło Boże i rodzi się mrok, czyli zło, jako cień tego światła — i przedstawić życie Boga, jako znicestwianie i przetwarzanie ciemności w światło.— Człowiek byłby powołanym przez Boga współpracownikiem w tem Jego odwiecznem dziele.

I pochłonięty poematem twórczości, przetwarzającej byt, Berdiajew, im dalej, tem bardziej w ciągu pracy swojej zapomina o Böhme'm, o Schellingu, który Böhme'go wskrzesił, wreszcie o Włodzimierzu Sołowjewie, który Schellinga poprawił i uzupełnił w swojej nauce o Duszy świata, która pryncypem jest bytu i źródłem dusz wszystkich, a odpadła od pierwowzoru swego, od *Sofii,* czyli boskiej mądrości, i mozolnie ze swego upadku się wydobywa,—świat zaś i człowiek, dzieje przyrody i dzieje człowieka są tych jej usiłowań objawem i wyrazem.

Zapomniał Berdiajew o tej nauce Sołowjewa pomimo, że utkwiła ona w myśli rosyjskiej tak głęboko, że idea duszy świata, obca Zachodowi, jest dziś dla myślącego filozoficznie Rosyanina czemś, co się samo przez się rozumie. Doskonale jednak godząc przeciwieństwa optymistycznej afirmacyi Boga, który jest Dobrem najwyższem, i pessymistycznej świadomości, że „świat w złem leży“, koncepcya wspólnego źródła dusz, jako Istoty żywej, w której wszyscy stanowimy jedno, oznacza przechylenie się w stronę panteizmu. Panteizm zaś, roztapiając człowieka w Bogu, zaciera odrębność i samoistność jaźni, pomniejsza jej znaczenie, kłóci się z ideą twórczości, która dla Berdiajewa rozwiązuje zagadkę bytu. Więc choć stwierdził w sobie Berdiajew nie dającą się, zdaniem jego, uniknąć antynomję „prawie“ panteistycznego monizmu i „prawie“ manichejskiego dualizmu, czyli, krócej mówiąc, wyznał, że współżyją w nim panteizm i teizm— jednak grawituje on raczej ku teizmowi, tylko odpycha go postać, którą teizm przybrał w St. Testamencie: wobec groźnego Jehowy człowiek jest czemś niezmiernie małem, prawie nicością, i stosunek człowieka do Boga staje się stosunkiem niewolnika do pana. Podnieść przeto chcąc znaczenie jednostki ludzkiej i jej twórcze posłan-

nictwo, ogłasza Berdiajew ustrój świata, jako *monopluralistyczny,* jako „hierarchię substancyi“ wolnych i samoistnych, jako rzeczpospolitą duchów, w której Duchem najwyższym jest konkretny, żywy Bóg, Stwórca wszystkiego, co istnieje. Idea twórczości wymaga takiego właśnie ujęcia świata; inaczej „staje się niemożliwą“ (str. 129).

Monopluralizm tak dalekim jest od dróg, któremi zwykliśmy chodzić, że na pierwszy rzut oka wydaje się dziwactwem. Pomysł ten jednak urodził się nie w głowie myśliciela rosyjskiego; Berdiajew ma poprzedników w osobach Renouvier'a, James'a, Lutosławskiego. Blizkim pluralizmu był, nie wiedząc o tem, Słowacki. *) Różni się Berdiajew od nich, zwłaszcza od James'a, tem, że silniej podkreślić usiłując wszechmocną boskość Boga, w przeciwieństwie do pluralizmu James'a, przedstawił swój pogląd, jako *monopluralizm.* Rzecz jasna, że ze stanowiska pluralistycznego łatwiej wytłumaczyć zło, jako szereg pojedyńczych upadków, niż jako katastrofę powszechną, obejmującą wszechświat. W ten sposób pluralizm łagodzi grozę zła; zło przestaje być pryncypem świata, w którym żyjemy. Pomimo to Reonuvier w sądach o świecie i człowieku pessymistą był bardzo stanowczym i bardzo ponurym. Podobnież i Berdiajew nie wyrzekł się twierdzenia swego, że świat chorobą jest bytu, bezładem, gdy jednak o bezładzie jego mówi, to nie po to, aby wyjaśnić, zkąd to pochodzi, ale aby zaznaczyć, że my „nie z tego świata“ jesteśmy i że w imię naszego wyższego, boskiego pochodzenia powinniśmy „ten świat“ uzdrowić, bezład w boski ład przeistoczyć.

To jest zadaniem *twórczości,* a twórczość—celem, ideałem człowieka. Tylko twórca może być człowiekiem doskonałym. Ale Ojcowie i nauczyciele Kościoła zasłoną milczenia pokryli twórczość. Natomiast zaś słowem i przykładem głosząc doskonałość chrześciańską, utożsamili ją z ascetycznem wyrzeczeniem się świata. Ascetyzm ich—mówi Berdiajew—jest chwałą chrześciaństwa, lecz nie jest jeszcze wszystkiem: samem tylko pokutowaniem za grzechy i umartwianiem zmysłów nie zwyciężymy świata i nie zniszczymy w nim potęgi mroku. Ascetyzm był niegdyś nowem słowem, heroicznem wezwaniem do walki ze zmysłowością, ale dziś zmartwiał;

*) M. Zdziechowski „Wizya Krasińskiego“ (Kraków 1912) por. str. 163—177.

czuć w nim zapach trupa. Najważniejsze dzieło ascetyczne w rosyjskiej literaturze cerkiewnej czasów naszych, „Zarys moralności chrześciańskiej“ biskupa Teofana jest, według Berdiajewa, nieświadomą negacyą chrześciaństwa. Wprawdzie autor jego świętobliwie umartwiał ciało swoje, lecz cóż żtąd, skoro wyrzekając się świata, uciekając od grzechu i innych ucząc, jak to samo czynić mają, pozostawiał nietkniętym cały układ świata, o którym z Ewangelii powinien był wiedzieć, że jest zły. Ascetyzm jego wskazuje drogę nie do wyższego życia, lecz „przedewszystkiem do posłuszeństwa względem skutków grzechu“, usprawiedliwieniem jest istniejącego porządku rzeczy, dostosowywaniem się do niego... „Z polotów i natchnień mistyki ascetycznej wyprowadzono dziś zachowawczy ustrój życia i obowiązek podtrzymywania gnijących jego podstaw“.

Na początku wieku XIX jednocześnie, a nie wiedząc o sobie, żyli i działali największy święty rosyjski, Serafim Sarowski, i największy poeta, Puszkin. „I oto pytam—pisze Berdiajew—czyby lepiej było dla Rosyi, dla świata, dla celów Opatrzności Bożej, jeśliby Rosya Puszkina nie miała, lecz za to dwóch świętych Serafimów?“ Podobne pytanie postawił był kiedyś w rozmowie ze mną wybitny publicysta polski, a gorący katolik: „Kto więcej wart wobec Boga i większy pożytek narodowi przynosi: skromny wikaryusz wiejski, sumiennie spełniający swój obowiązek, czy wielki poeta miary Mickiewicza?“. Bojownik z temperamentu, ów publicysta wkładał w swoje przywiązanie do katolicyzmu całą cechującą go gwałtowność uczuć i przekonań i nie wątpił, że większe są zasługi i pożyteczniejszą praca sumiennego wikaryusza, niż cała twórczość Mickiewicza, Słowackiego i wszystkich poetów i myślicieli razem wziętych. I trudno było z nim się spierać; wziąwszy bowiem sobie za punkt wyjścia stanowisko wyłącznie katolickie, logicznie i konsekwentnie szedł do końca.

Ale czyżby Bóg miał upodobanie tylko w wychudzonych twarzach ascetów i w monotonnym szepcie ich pacierzy? „Czyż w ekstazie twórczego natchnienia—woła Berdiajew—nie zawiera się pierwiastek świętości innego rodzaju, lecz równie dostojnej, jak świętość kanoniczna?“ „Wierzę głęboko, że genialność Puszkina, która w oczach ludzi wiodła duszę jego do zguby, była przed Bogiem równą świętości, która zbawiała duszę Serafima“. Genialność w najgłębszej treści swojej niemniej jest religijną,

niż świętość; w przeciwieństwie do „świętości posłuszeństwa jest świętością odwagi“. Nie zawsze idzie ona w parze z geniuszem twórczym; nieliczni są wybrańcy; lecz naturą genialną jest każdy, kto żywo czuje w sobie powiew „nie z tego świata“, unoszący go ponad znikomość i nędzę doczesności. Genialność—to osobliwego rodzaju cnota, osobliwe odczuwanie życia i natężenie woli, płomienne tęsknotą za pięknem szczęścia, którego świat dać nie może. I dziś, w przededniu nowej epoki niech wolę i żądzę świętości zastąpi „wola i żądza genialności, która w istocie swojej jest namiętną wolą i żądzą innego bytu“.

Genialność i twórczość potężnego mają bodźca w miłości. Jedno i drugie ściśle wiąże się ze sobą. Zastanawiając się nad istotą miłości, dochodzimy do zagadnienia płci. I zagadnienie to poruszył Berdiajew. Stajemy razem z nim nad przepaścią, która z dawien dawna wabiła duszę rosyjską; zdawało się jej, że tam w zamęcie upojeń i szałów znajdzie rozwiązanie czy zapomnienie zadręczającego ją niepokoju. Orgiastyczną stronę w sekciarstwie rosyjskiem umiał z niezrównaną siłą odtworzyć Mereżkowski w powieściach swoich. W tym samym kierunku zwracała się w czasach naszych myśl najgłębszego w Rosyi filozofa Włodz. Sołowjewa—tylko nie po to, aby ugrzęznąć w zmysłowości. W nizinach pożądań cielesnych rodzi się miłość, ale sięga wyżej—i wysoko ponad świat zmysłowy niósł ją Sołowjew, kąpał ją i przeczyszczał w kulcie boskiej *Sofii*, która wiekuiście niewieścim jest pierwiastkiem w otchłaniach Bóstwa—i z wysokości mistycznych uniesień swoich opiewał i przedstawiał ludziom tęsknoty miłośne, jako szukanie odbić i odblasków owej boskiej *Sofii* tu, w ziemskim doczesnym bycie. Sołowjew poetą był i filozofem tej przeduchowionej miłości, którą nazywają platońską. Przeciwnik jego, Wasyl Rozanow, pisarz z wielkim talentem, lecz z duszą niedostępną działaniu tych uczuć, które na Zachodzie określają wyrazami „powinność“, „sumienie“, skupił całą uwagę swoją nad stroną zmysłową miłości. Płeć jest źródłem bytu, polarność płci — fundamentem stworzenia; akt przeto miłości staje się aktem religijnym. Pełen subtelnego sybarytyzmu, równie wrażliwy na rozkosze ciała i na upojenia mistycyzmu religijnego, Rozanow chciałby jedno i drugie połączyć. Gdy czytamy pisma jego, które są subjektywnemi, nieraz wzajemnie sobie przeczącemi wynurzeniami, zdaje się nieraz, jakgdyby

autor ich marzył o wznowieniu starożytnej czci Baala i Astarty, o zaszczepieniu orgiazmu płciowego w sferze kultu religijnego.

Idealizm i sensualizm, Sołowjew i Rozanów zetknęli się ze sobą w rozważaniach Berdiajewa; nieścisłem jednak byłoby twierdzenie, że on ich przeciwieństwa pogodził. W człowieku ścierają się dwa światy i właśnie płeć jest punktem ich zderzenia się. Ztąd ból miłości. Wzdychamy za pełnią szczęścia, zachwyt zaś miłosny zostawia po sobie dojmujące uczucie braku czegoś, niesmak, — rozdwojenie wewnętrzne. Wbrew zapewnieniom Rozanowa, religijnego niema w nim nic. Marzymy o rozkoszy wielkiego uniesienia i nie nasycą nas marne okruchy. Na tem tle wielki idealista włoski, Antonio Fogazzaro kreślił niegdyś szereg cudownie poetycznych myśli o miłości ziemskiej, która w zachwytach swoich i polonach rwaniem się jest do wyższej jakiejś, szlachetniejszej, nieziemskiej formy, snem o doskonałem i czystem szczęściu, do którego czuje się powołaną. Ale między Fogazzaro a Berdiajewem różnica ta sama, co między kojącym błękitem i słonecznością włoskiego nieba i krajobrazu, a chłodem, nudą i smutkiem rosyjskich równin, odartych nawet z tego wdzięku, jakim były niegdyś jej puszcze. Ztąd, że miłość nie daje nam tego, czego od niej żądamy, wyprowadza Berdiajew, zamiast poetycznej tęsknoty za wyższą jej formą, niepoetyczny wniosek o zasadniczem kalectwie w fizycznej i duchowej budowie człowieka wskutek utraty podobieństwa Bożego. A podobieństwo to polegało na czem? Dla Berdiajewa jest rzeczą oczywistą, że ani mężczyzna, ani kobieta nie są, nie mogą i nie mogli być obrazem Boga; obrazem Boga może być tylko zupełna, całkowita *androgyniczna* istota, łącząca w sobie męzkość z pierwiastkiem niewieścim. I życie płciowe niczem innem nie jest, jak „męczącem szukaniem utraconego androgynizmu“. Tajemnicę wzajemnego pociągu obu płci stanowi mniej lub więcej uświadomione dążenie dwóch niezupełnych, kalekich istot do zlania się w androgyniczną całość. Nie wypływa jednak ztąd negacya miłości; przeciwnie, miłość zostaje uświęconą przez tkwiące w jej istocie dążenie do wytworzenia wyższego typu w wyższym bycie. I dla tego odłączył Berdiajew od miłości jej zmysłową postać; ta nic wspólnego z nią nie ma; jest „jedną wielką anomalją“ (str. 210) i to, co ze stanowiska medycyny nazywamy normalnem, często obrzydliwszem bywa od wszelkich nienormalności. Miłoś-

cią nie jest ani rozpusta, ani pobożne płodzenie potomstwa; miłość to rozpęd, to twórczy lot; znaczenie jej tkwi nie w statyce układu życia, lecz w dynamice ruchu, w tworzeniu innego życia. I dla tego prawa jej są absolutne, bezwzględne. Wołania Erosu są imperatywem, względem którego obowiązuje bezwzględne posłuszeństwo, i w razie konfliktu między prawem miłości, a prawem rodziny pierwszeństwo ma miłość...

Ale natchnione marzenia poety o wolnej, ponad zmysły wzniesionej, skrzydlatej jakiejś miłości zeszpeciła idea androgynizmu, który ma być powrotem do utraconego „obrazu i podobieństwa Bożego" i ostatniem jest słowem Berdiajewa. Wątpimy, aby słowo to mogło znaleźć wyznawców; bezwarunkowo nie znajdzie ich poza Rosyą.

Rozpoczęta zapowiedzią zbliżającej się epoki wyższej i wspaniałą afirmacyą twórczej myśli i woli, która ją stworzy, filozofia Berdiajewa zakończoną zostaje dziwactwem. Urokiem wyrazu „twórczość", rozwiązującego zagadkę bytu, zmagnetyzowany myśliciel rosyjski oparł twórczość na przebóstwiającym człowieka i jego powołanie metafizycznym geocentryzmie. Ale podnosząc boskość człowieka, bez którego Bóg nie byłby Bogiem, czyniąc go organem, cząstką Bóstwa, tem samem pomniejszamy Boga—i logicznem zakończeniem myśli w tym kierunku samopas puszczonej staje się negacya Objawienia i religii. Wszak w ręku Feuerbacha egoteistyczny panteizm Hegla przeobrażał się w narzędzie do odebrania Bogu jego osobowości i w ten sposób przygotowywał tryumf ateizmu. Tej utartej już drogi Berdiajew umiał szczęśliwie uniknąć, usiłując zaś ratować równocześnie osobowość Boga, stwórcy świata, i potęgę człowieka, który uzupełnia dzieło Boże, obrał sobie za stanowisko monopluralizm. Ale i pluralistyczna koncepcya organizmu stworzonych przez Boga i zarazem współtworzących z Nim istot ludzkich zdolnych do twórczego wzbogacenia bytu nie wiele się przydała do zbudowania i wykończenia filozofii objaśniającej twórczość. Filozofia Berdiajewa umie oznaczyć tylko początek i koniec, warunek i cel twórczości. Warunkiem jest wola i żądza genialności, jedną z niezbędnych jej cech—czucie swego boskiego pochodzenia „nie z tego świata", celem—nowa, wyższa, doskonała, dwupłciowa, androgyniczna rasa. Między jednem, a drugiem oczywiście — przepaść, którą tylko cud zapełnić by mógł i zdaje się, że w cud ten wierzy Berdiajew.

Mógłby kto pomyśleć, że słowa moje są żartem, że ośmieszyć chcę jednego z najwybitniejszych przedstawicieli ducha rosyjskiego. Nie, daleki jestem od tego. Berdiajew posiada dwa przymioty, zabezpieczające go przeciw śmieszności: wielki talent literacki i wewnętrzny ogień duszy, którą objął głód rzeczy wiecznych. Wprawdzie ogień ten nie rozświecił przed nim tajemnic bytu; pomysłu wprowadzającego filozofię płci do rozmyślań eschatologicznych niepodobna uznać za szczęśliwy; w końcu zaś pracy sam jej autor wyznaje, że nie dał filozofii twórczości, lecz tylko wstęp do niej, i że istota twórczości pozostaje niewyjaśnioną. Natomiast z nieodpartą oczywistością, zdaniem Berdiajewa, narzuca się to, że cały dotychczasowy przebieg dziejów kultury zmusza do postawienia problematu, czem jest twórczość, kultura bowiem doszła do kresu, u którego z nieskończenie żywego i bolesnego uświadomienia tragedyi wszystkich jej usiłowań i wszystkich niepowodzeń w zakresie myśli teoretycznej i w zakresie życia społecznego wytryska namiętne, pożerające duszę pragnienie wyjścia z upośledzonego stanu, w którym człowiek w bycie doczesnym przebywa — pragnienie, skupiające wszystkie władze i siły duchowe w żądzy „twórczego przeobrażenia bytu“. I powstaje pytanie, jakiem będzie „antropologiczne Objawienie“, za którem wzdychamy, czyli, jak daleko sięgnie przetwarzająca świat i życie twórcza moc człowieka, jaką drogą do „Nowego Jeruzalem“ podążymy. Odpowiedzi wyraźnej i na to niema. To jednak czujemy, że wyszliśmy już z epoki „posłuszeństwa“. Nie znaczy to, „żeśmy już doskonali i bezgrzeszni“; nie, utraciliśmy tylko cechy wieku dziecinnego, tak w wadach, jak i przymiotach; „człowiek dorosły lepszym od dziecka nie jest, lecz dojrzał“. I ludzkość już dojrzała. Ostatecznie zrozumieliśmy zasadnicze, nie dające się w żaden sposób załagodzić rozdwojenie między rzeczywistością doczesną, a nadświatem idei—i nic nas tu, na ziemi, nie zadowoli i nie ukoi. Musimy przetworzyć ziemię, opuścić musimy kościół Piotra i wejść do mistycznego kościoła Jana (s. 324).

Nie każdemu dostępnym jest świat mistycyzmu i nie dla każdego jasnym będzie sens tego ostatniego zdania. Słyszymy w niem wezwanie do twórczej inicyatywy, do odwagi zuchwałej, gardzącej przeszkodami, słowem do „dzierznowienja“. I do wyrazu tego stale wraca Berdiajew, przeciwstawiając zmartwiałą już epokę „posłuszeństwa“ nadchodzącej epoce „dzierznowienja“. Ponieważ zaś

do odwagi, która odrodzi świat zdolne są tylko duchy silne, a namaszczone piętnem metafizycznego pochodzenia, metafizycznych pożądań i lotów, więc zwalczać i bezlitośnie niszczyć wszystko, co ich swobodnemu rozwojowi przeszkadza—oto pierwsze przykazanie religii twórczości. Nie będzie ono spełnione, dopóki nie nauczymy się szanować osoby człowieka; moralne bowiem zadanie każdej jednostki jest ściśle indywidualne i przeto naszem wobec niej zadaniem staje się intuicyjne wniknięcie w tajemnicę jej indywidualności; dla tego powiedziano, *nie sądźcie.* (s. 263).—Dopiero w tym punkcie mistyczna myśl Berdiajewa zrozumiałą się staje dla tych, dla których mistycyzm jest księgą zamkniętą na siedem pieczęci.

II.

Ze stanowiska „twórczej zuchwałości“ wypowiedział Berdiajew wojnę instytucyom, stanowiącym podstawę społeczeństwa — rodzinie, państwu, kościołowi — ponieważ wszystkie krępują twórczość, oparte będąc na zasadzie posłuszeństwa — „następstwom grzechu“. Upadek prarodziców zasadniczym jest dogmatem religii, że zaś dźwigamy na sobie brzemię ich zbrodni i że skażoną została natura nasza, więc potrzebne są mocne więzy do wstrzymywania jej wybryków, potrzebne — opieka i kierownictwo.

Wskutek tego instytucyę rodziny przenika wewnętrzna sprzeczność. W zasadniczej dla człowieka i świata kwestyi wzajemnego stosunku obu płci, chrześciańśtwo odrzuca największy wdzięk życia—miłość; gorzej jeszcze, nie odrzuca, ale absolutnie jej nie rozumie. Jest coś przerażającego—woła Berdiajew—w tem milczeniu Chrześciańśtwa o miłości. (205). W następstwie tego, a zgodnie ze swoją najgłębszą mistyczną treścią Chrześciańśtwo, jako „królestwo nie z tego świata“ powinnoby również odrzucić rodzinę—i istotnie wielkiem było ono tylko w ascetyzmie. Uświęcając pomimo to rodzinę, czyni ono ustępstwo prawu St. Testamentu i zarazem korzysta z tego i urządza „dezynfekcyę grzechu płciowego“ (s. 204), przedewszystkiem bowiem i dokładnie wie ono jedno, „że ludzie rodzą się w grzechu i że grzesznym jest przyrodzony porządek w stosunku obu płci“, więc grzech ten unieszkodliwić trzeba przez dostosowanie się do ułomności ludz-

kiej i ujęcie jej w karby. W ten sposób związek małżeński, choć uznany za sakrament, traci piękno swoje i upada do poziomu ulegalizowanej i unormowanej rozpusty.

Słowem, nie zrozumiano w Chrześciaństwie poetycznego, duchowego pierwiastka miłości erotycznej, z drugiej zaś strony, głosząc miłość Boga i bliźniego, w rzeczywistości chrześciaństwo historyczne miłością nie było; „twarzą jego ku światu zwróconą była nie miłość, lecz posłuszeństwo“. Tę cnotę wynosili i wysławiali Ojcowie. I w imię posłuszeństwa przyjmowało Chrześciaństwo świat ten takim, jakim jest, czyli „leżący w ziemi“. Moralność chrześciańską nawskroś przenika „*pathos* małych uczynków i skromnych stanowisk“... „Ona sankcyonuje mały utylitarny profesyonalizm: niech każdy skromnie siedzi na swojem miejscu i cierpliwie się krząta koło swoich małych spraw“ (s. 248). Jest to „głęboko oportunistyczna moralność utylitarnego strachu“, tak drżąca przed wszystkiem, co bohaterskie i skrzydlate, że gotowa jest uczcić „bezskrzydłość“, jako czyn religijny. Miłość ewangeliczna zapalała się w świecie chrześciańskim rzadko i tylko w duszach wybrańców; „Objawieniem ducha Chrystusowego i największym po Chrystusie faktem w historyi Chrześciaństwa było życie Św. Franciszka z Assyżu“ (s. 271).

Ale nigdzie przenikająca całe historyczne Chrześciaństwo i bojaźliwa wobec wielkiej twórczej inicyatywy zasada posłuszeństwa nie ujawniła się tak jaskrawo i paradoksalnie, jak w stosunku do państwa. Państwo stoi na porządku prawnym; porządek prawny jest wynikiem „wiecznego strachu, że ktoś na mnie z za węgła napadnie“, czyli ulegalizowaną jest nieufnością człowieka względem bliźnięgo swego. Idea przeto państwa chrześciańskiego to „najpotworniejsza niemożliwość“ (s. 271), złączenie dwóch wręcz sobie przeciwnych pojęć. A jednak kościół uznawał państwo, albo, gdy walczył z niem, to poto, aby sobie przywłaszczać jego funkcye. Do tego prowadziło przyjmowanie świata takim, jakim jest. W początkach istnienia swojego Chrześciaństwo wymagało posłuszeństwa nawet w stosunku do ustroju społecznego nie swojego, a obcego, pogańskiego, gruntownie złego. „W Chrześciaństwie—dodaje Berdiajew—wyrabiał się niekłamany *pathos* poddawania się upaństwowionemu bezprawiu, jako sprawiedliwej karze za grzechy“; można powiedzieć, że

Chrześciaństwo prawie nie chciało urzeczywistnienia prawdy Bożej (s. 278), a w każdym razie była w niem głęboka niewiara co do możliwości tego.

Ale z tych gorzkich uwag nie wyprowadza Berdiajew ani negacyi państwa, ani negacyi kościoła; umie realistycznie oceniać rzeczywistość. Na państwo należy patrzeć, jako na złą konieczność i ma ono podwójne oblicze: z jednej strony jest sprawiedliwem prawem, karzącem grzech. z drugiej, jak zresztą wszystkie żywioły świata, samo zaraża się grzechem i sieje zło.—Co zaś do kościoła, to są w nim dwa pierwiastki: mistycyzm życia wewnętrznego i liczące się z warunkami czasu i miejsca dopasowywanie zewnętrznego człowieka do wyższych celów; ztąd tyle w historyi kościelnej sprzeczności z duchem Chrystusowym i takie tragiczne rozdwojenie, że o chrześciaństwie dałoby się z równą słusznością twierdzić, że jest religią najmistyczniejszą i religią najbardziej poziomo praktyczną. Mistycznie Chrześciaństwo szło linią największego oporu, linią walki na życie i śmierć z rozumem tego świata; historycznie zaś szło linią oporu najmniejszego, linią dostosowywania się do przeciętnych poziomów, do życiowej trzeźwości człowieka, do jego pogańskiej natury, do fizycznego planu życia (s. 291).

Rzecz jasna, że epokę trzecią oznaczy tryumf pierwiastka mistycznego, który tryumfem będzie ducha Św. Jana. Tego ducha wyznawcą był Św. Franciszek z Assyżu. Kryzys kultury, który przeżywamy, nasuwa myśl, że ludzkość opuszcza już kościół Piotra, aby wejść do kościoła Jana. Ale, zastrzega się Berdiajew, obydwa kościoły są tą samą świątynią, rozpatrywaną z dwóch odmiennych stanowisk. Kościół Piotra już zrobił swoje; wyniańczył ludzkość, którą traktował, jak małe dziecko, pilnując każdego jej kroku; teraz pokryły go zmarszczki, starcem jest liczącym 2000 lat życia. My zaś wyrośliśmy i stanęliśmy u podwojów wyższego życia w kościele Jana. Powinniśmy poczuć w sobie „zuchwałą, ofiarniczą“ odwagę do czynów twórczych, w których objawi się „chrystologiczna natura człowieka“ (s. 327). Że tak się stanie, dowodu na to niema, trzeba uwierzyć wewnętrznemu czuciu, a czucie to mówi, że w wielkiem dziele, wzywającem nas do bohaterskich wysilen, szczególne powołanie ma Rosya, w której tragedya twórczości i kryzys kultury odczuwane są głębiej, niż gdziekolwiekbądź na świecie (s. 317).

I tu, wchodząc w sferę mesyanizmu, Berdiajew mimochodem dotknął wojny obecnej. Duch słowiański zmaga się z duchem germańskim. germanizm stworzył potężną kulturę, ale jest ona „z tego świata“, jest doskonałą organizacyą życia społecznego—i poddawanie się kulturze tej „zatrzymuje rasę słowiańską w urzeczywistnianiu jej nadkulturalnych, apokaliptycznych zadań“ (s. 322).

O tych zadaniach słowiańszczyzny, przedewszystkiem zaś Rosyi, świadczy górnolotny maksymalizm duszy rosyjskiej: „Żaden poeta rosyjski—woła Berdiajew—nie jest w stanie poprzestać na kulcie czystego piękna i żaden rosyjski uczony nie poprzestanie na kulcie czystej nauki. Rosyanin pragnie nie mniej ani więcej, jak zupełnego przeobrażenia życia i zbawienia świata; to cecha rasowa— i z cechą tą wiąże się wszystko, co jest rzeczywiście wielkie i oryginalne w kulturze rosyjskiej“ (s. 317).

Ale czy żądza zbawienia świata daje rękojmię, że się dorosło do zadań, które ona stawia? czy przy zetknięciu się z grozą rzeczywistości nie przejdzie ona w bezpłodne marzycielstwo, lub, co gorzej, w szał niszczycielskich wybryków i nihilizmu? Berdiajew wyznaje, że w życiu rosyjskiem wywołuje ona „coś ciężkiego i posępnego“—jak gdyby dusza rosyjska brała na siebie „brzemię odpowiedzialności za cały świat“.

Więc czemże jest ta dusza? Pytanie to obejmuje i zadręcza duszę Berdiajewa, znajdujemy je na dnie jego rozmyślań o istocie i znaczeniu twórczości; usiłując je cokolwiek wyjaśnić, rzucał on szereg bystrych spostrzeżeń w rozprawie wyłącznie przedmiotowi temu poświęconej. *) Rosya — czytamy tam — jest nawskroś antynomiczna—i tę jej zasadniczą antynomiczność trzeba wyraźnie sobie uprzytomnić, chcąc się zbliżyć do rozwikłania tajemnicy duszy rosyjskiej. Zastanówmy się nad następującymi faktami. Naród w osobach swoich najbardziej narodowych myślicieli, pisarzy i publicystów wybitnie antypaństwowy i najanarchiczniejszy na świecie zbudował mocne państwo, całkowicie się oddał kolosowi państwowości i odznacza się nieznaną gdzieindziej uległością w stosunku do swojej biurokracyi. Dalej: naród, w którym nietylko jego najznakomitsi synowie, ale i ogół inteligencyi wyznaje najbardziej ponadnarodowe i wszechludzkie ideały, dopuszczał się „niesłychanych nacyonali-

*) „Dusza Rossii“, Moskwa, 1915.

stycznych ekscesów, rusyfikował podbite narody, nacyonalizował nawet powszechny kościół Chrystusowy i, krzycząc, że Europa zgniła, ogłaszał ją za dyabelski i na zagładę skazany twór". Jak to wszystko ze sobą pogodzić? O duchowym majestacie Rosyi i o tem, że ją Bóg rzeczywiście do wielkich rzeczy powołał, świadczy, według Berdiajewa, znany w życiu ludowem rosyjskiem typ pielgrzyma. Nie umie on usiedzieć na miejscu; niema w jego duszy „nic mieszczańskiego, nic lokalnego"; on błądzi po świecie, gnany tęsknotą za niewidzialnem Miastem Bożem; zwiedza monastery Rosyi i miejsca Święte; trafia na górę Athos; spotykamy go u Grobu Zbawiciela; daremne trudy, nic łaknącej jego duszy nie nasyci. Pielgrzymem takim był Włodz. Sołowjew; cechy nastroju pielgrzymiego uderzają u Gogola i Lermontowa, u Tołstoja i Dostojewskiego. Ale im wyżej święte pragnienie Absolutu porywa duszę pielgrzyma, tem trudniej jej odnaleźć się w sferze relatywizmu, zestroić się z prozą powszedniego życia i pracy. Ztąd wiekuista dysharmonia, którą Berdiajew określa, jako przewagę w duszy rosyjskiej niewieściego pierwiastka nad męzkim, czyli „mówiąc filozoficznie—dodaje on—Rosya czuje pierwiastek męzki, jako coś transcendentalnego, nie zaś immanentnego, jako coś, co dopiero zzewnątrz do niej przychodzi".

Określenie to nie posuwa nas ani na jeden krok naprzód. Jeśli dusza rosyjska jest stekiem sprzeczności, to, co—pytamy—ze ścierania się ich i kojarzenia wynika? jak określić ich wypadkową? Odpowiedź na to znajdujemy w typach literatury rosyjskiej. Widzę w tej chwili przed sobą naszego artystę dramatycznego, Śliwickiego, w jednej z najlepszych swoich ról, w komedyi Ostrowskiego, której tytułu nie przypominam. W duszy młodzieńca w sztuce tej przedstawionego płoną ognie najwznioślejszych aspiracyi, ale nie szuka on ujścia dla nich ani w heroizmie głośnych czynów, ani w ofiarności cichej pracy, ani nawet w tułaniu się po miejscach świętych, lecz—w wódce; zapija się na śmierć, w szynku... W człowieku tym—wyraziłby się Berdiajew — anielska świętość ociera się o najpośledniejszą zwierzęcość. Jest to osobliwa, wyłącznie rosyjska postać rozdwojenia wewnętrznego. Typy podobne zna również Zachód; zwłaszcza romantyzm lubił je wystawiać; ale rozdwojenie objawia się u europejczyka w wyrzucie sumienia, że nie dokonał tego, czego chciał, że nie podołał zadaniu swemu; nawet przejęci świadomością swej niezmiernej wyższości bohaterowie Byrona poczuwali

się do winy przed sobą, przed ludźmi i w walce z niesprawiedliwością i przemocą uśmierzali swój ból wewnętrzny. Rosyjscy potomkowie Byrona „rozsiewają zło bez żadnej potrzeby“. Cechą rozdwojenia rosyjskiego jest fatalizm spadnięcia na padół ziemski z niedościgłych wyżyn świętego marzenia — wyżyn, z których wszystko na ziemi wydaje się tak nieskończenie małem i nędznem, że giną różnice między dobrem a złem; a jednak na ziemię spadłszy, wybierać trzeba; naturalnie wybieramy wtedy to, co nam, co egoizmowi naszemu dogadza — i grzechu w tem niema, bo nie my winni jesteśmy, lecz ta Moc, co nas na ten nikczemny świat zrzuciła, mniejsza o to, jak ją nazwiemy: Bogiem, przeznaczeniem, czy losem. W ten sposób pragnąc absolutnie doskonałego ustroju społecznego państwa, godzimy się z każdą najobrzydliwszą jego formą; marząc o absolutnie doskonałej świętości w życiu osobistem, babrzemy się w błocie, jakgdyby to było rzeczą najnaturalniejszą w świecie. Gdy Niemiec określa, jako dobro, to, co leży w jego interesie, wówczas kieruje nim albo cynizm przeświadczenia o prawie jego siły, albo z zupełną świadomością obłudy swojej zapewnia on, że jego interes jest także interesem tego, komu on wolę swoją narzuca. Inaczej objawia się cynizm na Wschodzie: zamiast prawa siły głosi prawo kaprysu; obłuda zaś jest naiwna. Jeden z apostołów „słowianofilstwa“, Iwan Aksakow, niezmordowanie i zaciekle walcząc z polskością, zupełnie szczerze nad okrucieństwem poglądów swoich i projektów cierpiał, albowiem wszelki gwałt—dowodził on—przejmuje głębokim wstrętem naturę rosyjską, tembardziej, jeśli gwałt ten jest wymierzony przeciw narodowi, posiadającemu tyle sympatycznych i cennych przedmiotów, jak naród polski.

Słowem, życie sprzeczne, nawet w każdym swoim szczególe sprzeczne z płonącą w głębi duszy żądzą świętości nietylko grzesznem nie jest, ale jest dźwiganiem krzyża Chrystusowego, bo jakże inaczej, jak wyrazem „krzyż“ określić mus życia na świecie i kalania cudownej czystości swojej w jego błocie?

Z natury rzeczy głównym dla nas probierzem etycznym duszy rosyjskiej jest jej stosunek do narodów podbitych. I właśnie tu, w tej sferze występuje na jaw cecha, która każdego Polaka uderzy od pierwszej chwili jego zetknięcia się ze społeczeństwem rosyjskiem. Tą cechą jest niemożliwa na zachodzie, obłudna, lecz naiwnie nieświadomie obłudna taktyka, której używa każdy

rewolucyjnie czy opozycyjnie nastrojony inteligent rosyjski, przeprowadzając ostrą linję graniczną między narodem, a rządem, jakgdyby rząd nie z rodowitych Rosyan się składał, lecz z obcych najeźdźców. Naród i rząd to dwa antypody, to światło i mrok, Ormuzd i Aryman. Więc, o ile „inorodcy“ nie kłamią, to wina za wszystkie krzywdy, których doznają, spada na rząd, tj. na tych, którym biały anioł duszy narodowej przekazał sprawy swoje, nie chcąc dotykaniem ich brudzić siebie. Natomiast każda najmniejsza zmiana na lepsze w losie „inorodców“, każde rozporządzenie władz, przyjmujące pod uwagę te lub owe ich potrzeby, zostaje przypisane widzialnym czy niewidzialnym wpływom narodu—i wtedy następuje upajanie się własną wielkodusznością, wymaganie bezgranicznej wdzięczności od tych, których się uszczęśliwiło, zdziwienie, oburzenie i ból, gdy wymagana wdzięczność wstrzemięźliwą jest w objawach swoich. Taktyka ta, zwalniając od wszelkiej odpowiedzialności naród panujący, nakłada ogrom odpowiedzialności na narody podbite. Przypuśćmy taki wypadek: „inorodcy“ syberyjscy, np. Buryaci, korzystając z wojny z Japonią lub Chinami, powstali przeciw Rosyi. Jeśli państwo i naród są tak biegunowo sobie przeciwne, jak twierdzą radykali rosyjscy, to Buryaci zgrzeszyli tylko przeciw państwu. Nie— protestuje logika rosyjskiej opozycyi—oni zbrodniarzami są wobec narodu także, bo cóż winien chłop z pod Kostromy i Kurska, że urzędnicy gnębią jakichś tam Buryatów, o istnieniu których on ani się domyśla? Gdzie wina cudownej w swojej świętości duszy rosyjskiej? Z argumentacyą podobną spotykamy się często.

Taktykę tę nazwałem naiwnie, czy nieświadomie obłudną, ponieważ obłudy tej stale się dopuszczają ludzie nieposzlakowanie prawi i z sumieniem subtelnem. Wpadł w nią sam Berdiajew w artykuliku, który niedawno dla „Echa Polskiego“ napisał o „Sprawie polskiej, jako sprawie rosyjskiej“. Rzecz cała pomyślana szlachetnie. Rosyę, której powołaniem jest, według Berdiajewa, „zdejmowanie pęt innym narodom“, obarcza grzech wobec Polski. Obowiązkiem jej jest z grzechu tego się wyzwolić. Podstawę do przejścia obu narodów od walki do porozumienia i nawet do miłości autor chciałby znaleźć w pokrewieństwie tych najwewnętrzniejszych aspiracyi duchowych, które w Polsce stworzyły mesyanizm, w Rosyi zaś skupiały się w cechującem jej największych mistrzów ducha szukaniu prawdy religijnej. Podstawa, nie-

stety, słaba, nie dostrzegamy bowiem drogi od wyżyn ducha do praktyki politycznej; tembardziej chcielibyśmy wiedzieć, jak i kędy ją wytknie myśliciel rosyjski—i jakież nas ogarnia zdumienie, gdy nagle w zakończeniu artykułu on nam objawia, że Rosya w roku wojny zrobiła już pierwszy krok ku zgodzie i „czeka na ruch polskiego narodu, któryby był odpowiedzią“, — czeka tem niecierpliwiej, że „historyczny spór z Polską—jak czytamy w innym artykule*) już się przeżył i zakończył, a zaczyna się epoka zgody i jedności“.

Kiedyż to nastąpiło? Kiedy krok ten zrobiony został i na czem polegał? Wszak nie od narodu, ale od strony rządu wyszła historyczna Odezwa z jej obietnicami. Prawda, Odezwę tę społeczeństwo powitało bez protestu, życzliwie. Wkrótce potem, gdy pierwsza fala tułaczy polskich przybiła do brzegów Rosyi, przyjęto ich, zwłaszcza w Moskwie, gościnnie i serdecznie, nakarmiono i przyodziano, urządzano „dnie polskie“ ale wszystko to było aktem miłosierdzia wobec mieszkańców guberni, które ucierpiały wskutek najścia niemieckiego. Kwestya polska nie grała i nie mogła tu grać roli żadnej. Podobnież, filantropią, nie zaś sympatyą polityczną kierował się Związek ziemstw, organizując na miejscu, w Królestwie Polskiem pomoc dla ludności dotkniętej klęską wojny. Prezes tego Związku, człowiek, będący w całem znaczeniu słowa „narodem“, nie zaś „rządem“, bo otoczony powszechną czcią narodu, któryby go chciał widzieć na stanowisku premjera, kniaź Lwow, osobiście zwiedzał wówczas Polskę i wrażenia swoje streszczał w jednej z gazet Moskiewskich. Ze szczerem i żywem współczuciem opisywał niedolę i nędzę materyalną, na którą patrzał; wraził mi się w pamięci rzewny ustęp końcowy o zwaliskach kościoła, zburzonego przez pociski niemieckie, ale daremnie szukaliśmy słowa współczucia dla narodu polskiego, jako całości duchowej; przez myśl sz. autora nie przeszło, że naród ten zniesie swoją nędzę materyalną, przeboleje pożary i zniszczenia kościołów, pałaców i dworów, byleby tylko miał pewność, że spełnionem będzie owo „święte marzenie ojców i dziadów“, za które oni walczyli, cierpieli, umierali. Gdyby artykuł kn. Lwowa był podpisany przez 16-letnią pensyonarkę z duszą czystą i sercem tkliwem, wydałby się nam ładnem ćwiczeniem

*) W gazecie «Utro Rossii» z dnia 16 Marca 1916 roku.

stylistycznem, ale od człowieka, w którym się wciela sumienie Rosyi, mieliśmy prawo spodziewać się głębszego wniknięcia w istotę tych cierpień, co się przed okiem jego przesuwały.

A Berdiajew twierdzi, że to my nie znamy i wciąż jeszcze poznać nie chcemy duszy rosyjskiej. Powołując się na jeden z moich artykułów, zaznacza z ubolewaniem, że dla mnie „istnieje tylko Rosya uciskająca". Dziwny zarzut zwłaszcza w stosunku do mojej osoby. Dzięki szczęśliwym okolicznościom zewnętrznym mniej, niż wielu z rodaków moich, miałem sposobności do poznania Rosyi „uciskającej", wzamian zaś sporo pracy poświęcałem poznawaniu rosyjskiej duszy w tych jej najpiękniejszych odbiciach, jakie przedstawia literatura rosyjska. I nie poprzestając na tem, starałem się o stosunki osobiste z najwybitniejszymi w sferze ducha przedstawicielami Rosyi. Znałem — wymieniam tu najznakomitszych, a nie żyjących—Lwa Tołstoja, Włodzimierza Sołowjewa, Cziczeryna, Pypina, Oresta Millera, Sergiusza Trubeckiego—i dużo dobrych i jasnych chwil obcowania z nimi zawdzięczam. W pracy mojej miałem wzór i nieustającą zachętę w osobie najgłębszego u nas znawcy Rosyi i genialnego nieraz intuicyonisty, Włodz. Spasowicza. I jeśli pomimo to jestem dziś równie daleki od duszy rosyjskiej, jak przed 30 laty, gdy pierwsze swoje szkice o Rosyi układałem, jeśli, jak twierdzi Berdiajew, widzę tylko „Rosyę uciskającą", to pozostaje mi jedno: wyznać skromnie, że dusza rosyjska przebywa na wysokości tak niedostępnej, że nas, biednych, upośledzonych europejczyków, żadne wysiłki do niej nie zbliżą.

I myślę, że tego zdania jest Berdiajew. Dusza rosyjska wiecznie ucieka od świata. Nawet leżąc w grzechu, trzepoce skrzydłami i zrywa się do lotu —i dlatego pomimo grzechu umie ona, zdaniem jego czcicieli, zachować świętość. W związku z tem trafnie zauważył Berdiajew, że rosyjska antypaństwowa anarchiczność nie jest w treści swojej żądzą i zdobywaniem wolności, ale uciekaniem od niej, od pracy, od zabiegów i trosk, które ona za sobą pociąga. Naród rosyjski „nie tyle pragnie wolności w państwie, ile wolności od państwa". Dajcie mi kontemplacye przedwiecznej Prawdy i dajcie śnić o Nowem Jeruzalem, resztę pozostawiam państwu. Ztąd w uległośc państwu brak dyscypliny, charakteryzującej np. Niemca, a opartej na mocnem przeświadczeniu, że się jest żywym

i odpowiedzialnym członkiem organizacyi, mającej na celu bezpieczeństwo i pomyślność wszystkich jej uczestników, dyscyplinę zastępuje leniwe jakieś oddanie się: niech państwo myśli za mnie i robi, niech będzie wszystkiem. I państwo wskutek tego zasłania ojczyznę. Idea ojczyzny roztapia się w idei państwa. Nigdy rozbieżność pojęć rosyjskich i polskich o przedmiocie tym nie ujawniła się tak dobitnie i w następstwach swoich tak dla nas boleśnie, jak w czasie wojny obecnej. Gdy się zbliżały wojska niemieckie, w zarządach ziemstw powstała kwestya, jak one mają postąpić; *wszyscy* członkowie Polacy uważali za swój obowiązek pozostawać na miejscu, reprezentować i w miarę możności bronić wobec armii niemieckiej interesów ludności, *wszyscy* członkowie Rosyanie twierdzili, że patryotyzm nakazuje im opuścić kraj ich zamieszkania. Polacy przemawiali, jako członkowie narodu *osiadłego*, dla których ojczyzna jest świętą ziemią przodków i, przywiązani do niej całą mocą duszy, chcieliby, aby prochy ich spoczęły obok prochów ojców; u Rosyan brał górę pierwotny instynkt *koczowniczy*, który Berdiajew trafnie określił, jako „władzę przestrzeni nad duszą rosyjską“ *). Ogrom przestrzeni Rosyi, zachęcając do ruchów ekstensywnych, tłumi intensywną energię i kulturę, ztąd w epokach wojny ta tak trafnie przez Berdiajewa dostrzeżona różnica między Rosyaninem a europejczykiem z zachodu, że ten ostatni czuje i wie, iż sam powinien swoją ziemię ratować, bo ona go nie uratuje, Rosyanin zaś myśli, że nie on Rosyę, lecz ona jego ratować będzie... W tem koczowniczem upojeniu przestrzenią idealiści typu Berdiajewa upatrują też instynkt pielgrzymów, szukających Miasta Bożego. Symbolem ojczyzny dla koczownika, czy pielgrzyma są jego przełożeni, władza państwowa, gubernator—i skoro gubernator opuszcza rezydencyę swoją, ojczyzny już tam niema; trzeba naprędce rodzinę zabierać i mienie i wślad za gubernatorem ruszać w świat. Pogląd ten, a raczej instynkt znalazł uroczyste potwierdzenie w słowach gubernatora Warszawskiego, Stremouchowa, który we Wrześniu roku zeszłego na posiedzeniu komisyi zwołanej w sprawie „bieżeńców“, pod przewodnictwem ks. Wołkońskiego, oświadczył, że gdy nieprzyjaciel tuż za drzwiami, to „ewakuacya staje się dla ludności obowiąz-

*) W gaz. „Utro Rossii“ z dn. 6 kw. 1916 roku.

kiem patryotycznym, należy przeto jej wyjaśnić, że w imię zwycięztwa nad nieprzyjacielem wszyscy co do jednego *(pogołowno)* powinni się wysiedlić".

Niedawno w kole kilku głośnych publicystów rosyjskich toczył się spór o miłości ojczyzny. Jeden z nich dowodził, że ojczyznę trzeba kochać, jak kochankę, tj. namiętnie, żywiołowo, ślepo. Ale kochanka dziś jest przedmiotem miłości, jutro może znudzić; co z nią wtedy począć? Zerwać i zapomnieć? czy innemu odstąpić, sprzedać? a może istnieją wobec niej jakieś moralne obowiązki? Ztąd dyskusya na tle analogii między erotyką a miłością ojczyzny. Przypomniała mi się z tego powodu rozmowa, którą przed laty miałem z leaderem jednego z wielkich stronnictw parlamentarnych w Budapeszcie. Poruszyłem sprawę kroacką. Dumny Madjar patrzał na Kroacyę z góry, z właściwą narodowi jego pychą najeźdźcy, czującego się powołanym do panowania i rozkazywania. „Nasz stosunek do Kroacyi—zakończył on swój wywód—można porównać ze stosunkiem do metresy; opłacam ją, póki mi się podoba; wyrzucam za drzwi, gdy mam jej dość". Słowa te w ustach człowieka powierzchownie wytwornego i ujmującego, na którego patrzeć chciałem ze czcią ze względu na pamięć jego wielkiego ojca, wzbudziły we mnie dotkliwy niesmak; uczułem w nich moralny nietakt, jakąś gruboskórną pierwotność. Tegoż samego uczucia doznawali ci wszyscy, którym później ową rozmowę powtarzałem; wszystkim słowa węgierskiego parlamentarzysty zostawały w pamięci, jako wyraz nieludzkiego poglądu jego narodu na Słowiańszczyznę—i nieraz—świadectwo siły wywołanego przez nie wrażenia—wracały potem do mnie, przytaczane przez innych, nie wiedzących, że właśnie w rozmowie ze mną wyrzeczone były. Ale wyrzeczone były o narodzie, choć związanym z Węgrami 8-io wiekową unją, lecz obcym; w prasie rosyjskiej porównano własną ojczyznę z kochanką! Rzecz u nas niemożliwa, gdyż wiemy wszyscy, że ojczyzna jest matką.

Przykro mi jest, że w osobie jednego z najszlachetniejszych myślicieli rosyjskich wytoczyłem tu proces jego społeczeństwu z powodu nawskróś fałszywego postawienia kwestyi polskiej. To fałszywe postawienie wynika z zasadniczego niezrozumienia duszy polskiej przez duszę Rosyi; z braku wszelkiej chęci w tym kierunku. Zarzut, w którym Berdiajew wystąpił przeciwko nam, zwracam z powrotem jemu, najgłębszemu obecnie badaczowi i apologecie duszy rosyjskiej. Duszę zaś polską tak łatwo

poznać! Nie otaczamy jej tajemnicą; na dnie jej leży miłość ojczyzny — i ojczyznę odzyskać chcemy, ażeby wznowić przerwany bieg jej życia dziejowego. Berdiajewa, jako filozofa, zaciekawia nieco nasz mesyanizm. A co jest jego treścią, co—nowem słowem i objawieniem, które Polska niesie światu? Religia ojczyzny. Umiał to intuicyjnie odgadnąć i w wielkiem swojem sercu odczuć ten, w kim dusza Francyi znalazła była najbardziej natchniony wyraz dla swoich najgłębszych i najszlachetniejszych pożądań—Juliusz Michelet. W Rosyi tego nie widzą. Zapatrzenie się w mistyczne głębie duszy rosyjskiej, ekstaza nad jej pięknem, wymagająca bezwzględnego jej ukochania od wszystkich narodów, tłumi w zarodku wszelki popęd do wniknięcia w uczucia i dążenia tych narodów; nie zasługują one na to; są tak mało w porównaniu z Rosyą interesujące. Na tle zaś usposobienia takiego wyrabia się w stosunku do nas nastrój (nie zawsze świadomy), który wyrazić można w następujących słowach: „Polacy wyrzucają nam, żeśmy ich skrzywdzili; nieprawda; to my mamy prawo mieć żal do nich, że tak uparcie zasłaniają oczy przed duchowem słońcem Rosyi. Jeśliśmy wobec Polski zawinili, to tylko przez to, że dopuściliśmy niegdyś Prusy i Austryę do udziału w jej rozbiorze. Teraz ten błąd chcemy naprawić; chcemy mieć w ręku zjednoczoną Polskę i rządzić nią ku szczęściu jej mieszkańców. Wszystkie uchybienia względem nas wspaniałomyślnie jej wybaczając, żądamy od niej całkowitego oddania się i wdzięczności“.

Oczywiście nie jest to nastrój Berdiajewa, jednak coś z niego, niby mgła lekka, przesuwało się nad jego myślą, gdy w spokojnem przeświadczeniu o słuszności swojej, ogłaszał nam, że pierwszy krok już przez Rosyę zrobiony został i że przyszła kolej na nas.

III.

„Od czasu przyjścia Chrystusa—pisze Berdiajew—mesyanizm w starożytnem żydowskiem znaczeniu wyrazu stracił racyę bytu w świecie chrześciańskim; dla chrześcianina niema „ani greka, ani żyda“; żadnemu narodowi chrześciańskiemu nie wolno poczytywać siebie za jedyny wybrany naród; Chrystus przyszedł dla narodów wszystkich i chrześciaństwo nie dopuszcza żadnej narodowej wyłączności i pychy“. I to wysokie stanowisko obrał

sobie myśliciel rosyjski do walki energicznej, a nie ustającej ze wszelkiemi spaczeniami rosyjskiego nacyonalizmu, słusznie i nacyonalistom i prawicowcom wytykając, że w istocie ich poglądów tkwi niewiara w naród rosyjski; „wierzą oni nie w swoje siły, lecz w siły Polaków, Finlandczyków, Gruzinów, Ormian,—i jeślibyśmy chcieli wydać sąd o narodzie naszym na podstawie tego, co oni mówią, musielibyśmy zwątpić o jego przyszłości, dojść do wniosków beznadziejnych; nie dość na tem; naród tak marny i bezsilny, tak bezbronny przeciw poniewierającym go i uciskającym w obrębie jego imperium innym liczebnie małym narodom nie zasługiwałby na lepszą przyszłość“. Miarę moralną stosując do wypadków obecnych, umiał Berdiajew nawet wznieść się ponad namiętności chwili i nie zawahał się wygłosić w rozprawie swojej „O duszy rosyjskiej“ następujące słowa: „Rosya powinna być przedewszystkiem wolną od nienawiści do Niemiec, od poniżających uczuć zemsty i złości, od nieuszanowania w kulturze nieprzyjacielskiego narodu tego nawet, co w niej jest istotnie cenne“.

Słowem, wśród współczesnych pisarzy rosyjskich wyróżnił się Berdiajew wzniosłością etycznego poziomu swej myśli i z tego powodu, szczególnie zaś z powodu życzliwości swojej dla nas, stał się przedmiotem podłych napaści ze strony prasy nacyonalistycznej. A jednak polemizujemy z nim i wyrzucamy jemu, że nas nie zrozumiał. Więc z kimże w Rosyi mamy szukać porozumienia?...

Polak, piszący po rosyjsku, Aleksander Zakrzewski, cytując słowa Berdiajewa, że nie jest on czcicielem ilości, że „nie wierzy w masę ludzką, w tłum, w stado“, nazwał go jednym z nielicznych arystokratów z ducha w szeregu myślicieli rosyjskich. Jako cechy arystokratyzmu jego wymienił on spokojną pewność siebie i szlachetną wytworność w stosunku do ludzi i do kierunków, w reformatorskich zaś pomysłach—oglądanie się na przeszłość, wynikające z głębokiego zrozumienia jej rzeczywistych wartości. Podobny arystokratyzm literacki jest zjawiskiem pospolitem wśród pisarzy we Francyi, w Anglii, w Polsce, ale razi demokracyę rosyjską, którą „duch chamstwa zeszpecił“. I zdaje się — dodawał Zakrzewski—że taki arystokrata z urodzenia i ducha, jakim był Zygmunt Krasiński, miałby więcej wspólności z Berdiajewem, niż ci nawet z Rosyan, z którymi łączy go

pokrewieństwo poglądów i dążeń. Myśl tę wyrażając, *) Zakrzewski bliższym był prawdy, niż może przypuszczał. W żyłach Berdiajewa płynie, o ile wiemy, trochę polskiej krwi—i nieświadomym wylewem polskiego pierwiastka w jego umyśle i duszy jest cała jego monopluralistyczna filozofia twórczości, płynąca, o ile z niej wykluczymy marzenie androgyniczne, z tej koncepcyi Boga, która w znanym ustępie z *Beniowskiego* wybuchała z potęgą natchnienia, stawiającą Słowackiego na niedoścignionej wysokości obok wieszczów i proroków Boga żywego. I słowa poety, które dziś tak często u nas trzepią z papuzią bezmyślnością, bez wniknięcia w ich głębokie znaczenie—„Ja wiem, że nie jest On robaków tylko Bogiem— I tego stworzenia, co pełza—On lubi huczny lot olbrzymich ptaków—I rozhukanych koni On nie kiełza"—słowa te byłyby najwłaściwszem motto do tej apoteozy heroizmu, przejętej wiarą w cudowtórczą moc wybrańców ducha, do tego wezwania do czynów, jakiem jest ostatnie idei twórczości poświęcone dzieło Berdiajewa.

Ale, pomimo fizycznego i nieświadomego duchowego pokrewieństwa z Polską, w stosunku Berdiajewa do nas więcej jest abstrakcyjnej jakiejś życzliwości, mającej źródło w jego chrześciańskiem sumieniu, niż rzeczywistej chęci zrozumienia. Czemże to wytłumaczyć? Sądzę, że tą samą antynomicznością, którą Berdiajew wystawia, jako cechę zasadniczą duszy rosyiskiej. W danym wypadku antynomizm w myśli Berdiajewa jest w związku z wysokim lotem wyobraźni, zapalonej ideą Miasta Bożego, czy raju na ziemi. Im wyżej zaś marzenie wzlatuje, tem bardziej obcą staje się rzeczywistość—i gdy zejść do niej trzeba, to, stosownie do temperamentu, bierze górę albo niszczycielski szał nienawiści do świata, albo kwietystyczny pociąg do patrzania na życie przez pryzmat swego marzenia i do usprawiedliwiania w ten sposób przed samym sobą swej kontemplacyjnej bezczynności. Berdiajew zbliża się raczej do typu kwietystycznego. Ztąd w pracach jego rzucająca się do oczu antynomiczność między ekspozycyą przedmiotu, a konkluzyą. W analizie rozbieranego zjawiska, czy szeregu zjawisk autor jest surowy, prawie bezwzględny; bezlitośnie wszystkie ciemne strony obnaża; zdawałoby się, że przygotowuje nas do rozpaczliwie pes-

*) A. Zakrzewski: „Religija. Psichołogiczeskija Paralleli" Kijów 1913. Por. str. 222—224.

symistycznego wniosku, aż nagle zakończenie zostaje opromienione niespodzianym, nie wiedzieć zkąd spadającym, błyskiem optymizmu.

Naprz. w artykule o Słowianofilstwie rosyjskiem [1]) przedstawił autor zwięźle i z siłą oburzenia i przekonania dzieje zwyrodnienia kierunku tego, który dziś ugrzązł w napuszonej retorycznej terminologii jakiejś słowiańskiej polityki, w którą „nikt ani w Rosyi ani za granicą nie wierzy“; w sferze idei Słowiańskiej „wszystko dziś jest jedną wielką, bolesną raną“. Ach, „znużyły nas—kończy Berdiajew—kłamstwa polityczne, chcielibyśmy odetchnąć wolnem powietrzem prawdy“... Więc pessymizm? Nie, następuje nagły skok: „Prawda leży w naturze Rosyanina—i takiej że prawdy czekamy od innych słowian“. Czyli taż sama, choć w odmiennych słowach, sprzeczność z całym ciągiem rozumowania, co w zakończeniu artykułu o kwestyi Polskiej: „Zrobiliśmy pierwszy krok, teraz kolej na was“; tym zaś pierwszym krokiem jest dusza narodu rosyjkiego „bezinteresowna, tolerancyjna, wielkoduszna, dająca, a nie odbierająca“. Kiedyż nareszcie Słowianie ją ukochają?... Słowem, pomimo iż w zakresie kwestyi Polskiej i kwestyi Słowiańskiej rzeczywistość rosyjska uprawnia do pessymizmu, jednak Rosya ze względu na doskonałość potencyonalnie w jej duszy zawartą ma prawo żądać odruchu miłości tak od Polaków, jak i w ogóle od słowian.—Podobne też stanowisko obrał autor w poglądzie na Rosyę wobec wielkiego przewrotu dziejowego, w którym ona uczestniczy! [2]) Bezideowość swego społeczeństwa potępił, jak zwykle, nazywając rzeczy po imieniu. „Zapas tych idei—są słowa jego—i tej energii duchowej, z jaką występujemy teraz, wystarczyłby może w czasach zwyczajnych, ale obecnie wydaje się marnym i budzi politowanie“. Idee mają w Rosyi tylko krańcowi reakcyoniści, o ile są szczerzy, i krańcowi radykali, lecz są to idee bez związku z tem, co się dziś na wielkiej widowni świata dokonywa, straciły one grunt pod sobą, wiszą w powietrzu. We wszystkich zaś stronnictwach środka, jak kadeci, progresyści, oktobryści, ani śladu jakiejś ideowej treści lub twórczego lotu; natomiast oportunistyczne politykowanie z dnia na dzień. Grozi nam wpadnięcie w marazm i śmierć ducha, jeśli przeżyjemy jedną z największych chwil, jakie znają dzieje

---

[1]) W gaz. *Utro Rossii* z d. 3 marca 1916 roku.
[2]) W gaz. *Birżewyja Wiedomosti* z d. 9 marca 1916 roku.

nie zrozumiawszy jej głębokiego znaczenia i nie wniosłszy w nią światła własnej idei. Więc „ideę tę stwórzmy“... I autorowi się zdaje, że idea ta już szybkim krokiem na zawołanie jego się zbliża...

Niedawno powstawał Berdiajew przeciw opinii, powszechnie ogarniającej w czasie każdej wojny każdy naród, że tylko on jeden jest w prawdzie i sprawiedliwości, przeciwnicy zaś jego są gwałcicielami, zbrodniarzami i wyrzutkami rodu ludzkiego *) Czyż nie jest to małodusznością zwalać całą odpowiedzialność z siebie na innych! W tym samym duchu działa i pisze Romain Rolland. Ale rozważania obu pisarzy szlachetne w pomyśle, a trafne w szczegółach prowadziłyby przez Tołstojowską negacyę wojny do negacyi patryotyzmu i państwowości. Tego zaś ani Berdiajew, ani Rolland nie pragną. Więc Rolland zatrzymał się w pół drogi. Z jednej strony ubolewa, że obie potęgi, któreby powinny były być zasadniczo przeciw wojnie—chrześciaństwo i socyalizm—wojny jednak nie potępiły—z drugiej—piętnuje szowinistyczne zapędy, wzywa do uczuć humanitarnych i wzrok swój kierując ku przyszłości więcej, niż ku teraźniejszości, chciałby ułatwić przyszłe pokojowe współżycie wojujących teraz między sobą narodów.—Zatrzymywanie się nie leży w charakterze myśli rosyjskiej—i Berdiajew odważnie poszedł do końca tylko nie prostą Tołstojowską drogą; zboczył. Potępiwszy przyznawanie słuszności sobie tylko, rzuca on śmiałe, a niespodziane twierdzenie, że sprawiedliwość, choć wielką ma wartość, nie jest wartością jedyną i że trzeba umieć wyjść z wyłączności moralizmu, moralizm bowiem w kwestyi wojny doprowadza do utwierdzenia *statu quo*. Wojny mogą mieć znaczenie głębsze, a nam niedostępne. Nikt nie powie o wojnach państwa Rzymskiego, że były sprawiedliwe i moralne, pomimo to, zbierając podbite narody w jedną całość, torowały drogę pracom apostołów Chrześciaństwa. Słowem, wojny mają zadania *twórcze*...

Konkluzya kwietystyczna w tym sensie, że autor, zacząwszy od walki z istniejącymi poglądami i stanem rzeczy, w końcu ten stan rzeczy usprawiedliwił. Zarzutu jednak z tego robić mu nie chcę, gdyż poruszył on kwestyę, której rozwiązać nie można, a można tylko przeciąć z pomocą nauki Tołstoja.

---

*) W gaz. *Utro Rossii* z d. 24 kw. 1916 roku. „Prawda i sprawiedliwość w walkach narodów“.

Rozprawę „O duszy Rosyjskiej“ przenika, jak widzieliśmy, myśl, że w duszy tej pierwiastek niewieści przeważa nad męzkim. Rosyę porównał Berdiajew do dziewicy, tęskliwie wyczekującej męża i pana; ona by go podnosiła pięknem swych uczuć, on zaś uczuciom jej i ofiarności nadawałby kierunek. Tym mężem i panem był dotąd germanizm, który „umiał wejść organicznie w państwowość rosyjską i opanować niewieścią i bierną rosyjską naturę“. Ztąd natarczywie nasuwający się wniosek, że teraz po rozwodzie z mężem—Niemcem, przyjdzie nowy mąż—Anglik. Lecz przeciw podobnemu wnioskowi protestuje uczucie patryotyczne — i analizę swoją kończy autor zapewnieniem, że „duch męzki potencyalnie przebywa w Rosyi proroczej, w pielgrzymstwie rosyjskiem i szukaniu prawdy“. I wkrótce ujrzymy wybuch tego ducha, bo już przyszedł dla rasy słowiańskiej z Rosyą na czele czas do zajęcia przodującego stanowiska w świecie; „wskutek niepojętej tajemnicy przeznaczenia, Rosya ze swoją ascetyczną duszą jest powołaną do wielkości i potęgi politycznej“ (str. 92).

Ale życie rosyjskie, tak jak je Berdiajew przedstawia, w takiej jest sprzeczności z owym mającym lada chwila nastąpić wybuchem i rozkwitem wszystkich najwyższych możliwości, drzemiących w głębiach duszy rosyjskiej, że aby jedno z drugiem powiązać trzeba cudu. Tym cudem będzie albo niespodziane pojawienie się jakiegoś czy jakichś wybrańców bohaterów, którzy porwą za sobą naród rosyjski i pociągną ku niemu inne narody, albo też będzie to cud z nieba w ścisłem znaczeniu wyrazu, czyli przyjście „Niebieskiego Jeruzalem“, apokaliptyczne „nowe niebo i nowa ziemia“. I w stronę tego cudu zwraca się przeczucie myśliciela rosyjskiego w jego filozofii twórczości.

Niezrozumiałą jednak rzeczą dla mnie i, sądzę, dla wielu jest ta łatwość wiary w cud. Z pewnością nie mniej od Berdiajewa pragnę końca świata, pragnę go nawet więcej, niż on, chętnie bowiem rezygnuję z Miasta Bożego i z tysiąco letniego panowania świętych, bylebym wiedział, że katastrofa jakaś nagle pochłonie ten nonsens moralny, jakim jest świat — że w wiekuistym śnie wypoczną oczy, znużone oglądaniem tryumfów nieprawości. Ale ztąd, że fala morska zalała wczoraj i zniszczyła Messynę, nie potrafię wyciągnąć wniosku, że jutro ona zaleje i zniszczy Londyn...

I zdaje się, że nadświatowe, apokaliptyczne loty nie są ciągłym stanem myśli Berdiajewa i że od nich wraca ona do bardziej realnego marzenia o ziemskiem, politycznem posłannictwem Rosyi. Lecz do urzeczywistnienia tego potrzebni są ludzie silni. I gloryfikacyą siły był silny artykuł Berdiajewa o sile i gwałcie. *) Niejednemu—wołał tam—zwłaszcza zaś Rosyanom, siłą wydaje się to, „co idzie na mnie, co mnie grozi i depcze“. Nie prawda; siłą jest to „co idzie ode mnie i przeobraża świat“. Tamto jest tylko gwałtem, gwałt zaś wypływa z bezsiły, z tchórzostwa. Siła ma charakter „ontologiczny“, to znaczy, że Byt absolutny, czyli Bóg jest siłą. Brak siły to brak bytu—i silni jesteśmy tylko z Bytem najwyższym, z Bogiem i w Bogu.

Naród rosyjski powinien „uświadomić sobie majestat siły, jej duchowość i boskość“. I w przeciwieństwie do germanizmu, niech on siłę tę kieruje na drogę twórczości uszczęśliwiającej świat. „Naród, panujący w olbrzymiem imperium, powinien wyrobić w sobie siłę duchową i „czarem oblicza swojego oczarowywać podwładne narody“... „i ja wierzę w duchową moc oblicza rosyjskiego“...

. . . .

. . . .

. . . .

Prawdziwie wielkim moralnie myślicielem jest ten tylko, z którego nauk nie da się w żaden sposób, z pomocą żadnych naciągań wyprowadzić wniosek sprzeczny z prawem moralnem. Takim był w Rosyi Lew Tołstoj.

Niedawno streszczałem poglądy Stanisława Brzozowskiego, które były gloryfikacyą pracy. Filozofia Berdiajewa jest gloryfikacyą twórczości i siły. Wyrazem *praca* określał Brzozowski życie, życie tak człowieka, jak Boga— treść bytu; Berdiajew ujął byt, jako *twórczość*. Z wyrazu *praca* wieje nuda; wyraz *twórczość* działa na wyobraźnię. Czem jest praca, wiemy: jest pasowaniem się twardem

*) W gaz. *Birż. Wied.* z d. 2 kw. 1916 roku.

i trudnem z oporną naturą poza sobą i w sobie; nakłada jarzmo ciężkich wobec Boga i wobec ludzi w życiu codziennem — i to życie codzienne nazywał Brzozowski „pierwszą i niewątpliwą naszą twórczością“. Twórczość w przedstawieniu Berdiajewa przenosi nas z nudnej codzienności w sferę jakiegoś przeobrażonego świata, ale czem ma być w treści swojej, dowiedzieć się nie możemy, za to kołysze rozkosznem marzeniem o genialności i potędze i, jak filozofia Nietsche'go, upajać będzie natury słabe i płytkie przyjemnem przeświadczeniem, że samo jej wyznawanie czyni nas nadludźmi i twórcami; będzie zachętą do samochwalstwa nietylko indywidualnego, ale i narodowego. Im bardziej zaś niedosięgłym i nadświatowym jest nasz ideał, tem się staje niebezpieczniejszym, albowiem wraz z nadejściem konieczności oparcia się na nim, ginie wiara w jego rzeczywistość.

Prof. Inż. Henryk Mianowski.

Z ŻYCIA EKONOMICZNEGO GALICYI.*)

I.

Należy być wdzięcznym p. Stefanowi Rola-Piekarskiemu za poruszenie w pierwszych dwóch zeszytach „Myśli Narodowej“, kwestyi polskiego węgla.

Wśród dzisiejszej „walki narodów“ dusza polska z takiem naprężeniem i z takim wiekowym niepokojem dosłuchuje się z pola walki i ze wszystkich zmian stosunków politycznych głosu, zwiastującego nadejścia dla nas chwili „świętej wolności“, że zdawałoby się, iż teraz w narodzie polskim, niema ani siły ani czasu do zastanawiania się nad naszem życiem ekonomicznem. A przecież nam nie można zapominać o tem, że tylko wtedy Polska będzie prawdziwie wolną—jeżeli oprzemy ją na polskiem życiu ekonomicznem.

Dlatego dziś praca i troska o przyszłe nasze życie gospodarcze musi być dla nas równie ukochaną jak i sama wolność polityczna.

Podstawą samodzielności gospodarczej każdego narodu jest wyzyskanie jego skarbów naturalnych, które są podstawą rozwoju, tak handlu, jak i przemysłu danego kraju do rąk jednostek obcych mu duchem i tradycyą, traci naród prawie wszystkie warunki dla rozwoju własnego życia nietylko gospodarczego ale też i politycznego. Może nawet za silnie odczuwa to autor, kiedy na wstępie swojej rozprawy dość odważnie stwierdza, iż losy Za-

*) Z powodu pracy p. Stefana Rola-Piekarskiego „Sprawa Zagłębia węglowego Krakowskiego“. Myśl Narodowa, Tom I, № 1.

głębia Krakowskiego zaważą więcej na naszej przyszłości, niż wyniki ewentualne obecnej wojny europejskiej.*)

Ważność przemysłu, a w szczególości Zagłębia Krakowskiego dla Galicyi, jako też i dla polskości zrozumiało doskonale społeczeństwo nasze. A w samej pracy nad ukrajowieniem, ściślej powiedziawszy: spolszczeniem naszego życia ekonomicznego popełniliśmy wiele błędów — prawda. Jednak, kto zna stosunki, wśród których Galicya żyła i rozwijała się i na jakie ogromne przeszkody w swej pracy natrafiała, ten znajdzie wiele materyału na usprawiedliwienie społeczeństwa i autonomii galicyjskiej. Mimo wszystkiego, najostrzejszy krytyk musi stwierdzić, że w Galicyi zrobiono wiele, a nawet bardzo wiele, i faktycznie już przed wybuchem wojny zaczęły się ukazywać owoce tej zmudnej, trzydziestoletniej pracy rządu autonomicznego społeczeństwa naszego w Galicyi. Prawda, na polu uprzemysłowienia kraju nie zrobiliśmy tyle, co Królestwo Polskie—jednak musimy wziąć pod uwagę, że podczas gdy Królestwo Polskie już na samym początku XIX wieku przy pomocy Banku Polskiego zaczęło pracę nad uprzemysłowieniem kraju, Galicya obudziła się przemysłowo dopiero około r. 1880. Nie naszą winą jest, że obudziliśmy się tak późno, do końca bowiem lat 70-tych byliśmy w Galicyi zajęci walką o nasze prawa narodowe, o autonomię, o jezyk polski i t. d. Dopiero lata 80-te są przełomowymi w dziejach rozwoju życia gospodarczego Galicyi.

Królestwo Polskie przez wypadki dziejowe i szczęśliwy zbieg okoliczności wyprzedziło nas o kilkadziesiąt lat, prowadzone genialną ręką Banku Polskiego i mając przed sobą ogromne rynki zbytu—prawie bez konkurencyi, rozwijało się przemysłowo poniekąd równocześnie z Prusami, Wirtembergią, Belgią i t. d. Galicya zaś w chwili swego odrodzenia przemysłowego znalazła się w odmiennych stosunkach. W tym właśnie czasie, kiedy inicyatywa publiczna polska w Galicyi, błąkając się, szukała dróg odrodzenia przemysłowego kraju—inne kraje austryjackie jak Czechy, Morawy, Austrya z rozwiniętym przemysłem, popieranym przez rząd, taryfy kolejowe, cła i t. d. opanowały prawie już na stałe galicyjski rynek zbytu. Z czasem przemysł austryacki, wypierany powoli ale stale z Węgier, a przy eksporcie szczególnie na Wschód natrafiając na silną konkurencyę syndykatów niemieckich—

*) Myśl Narodowa, T. I, Nr. 1, str. 99.

musiał wszystkich środków używać, ażeby niedopuścić do samodzielnego rozwoju gospodarczego Galicyi, a 8 milionowego konsumenta galicyjskiego zatrzymać dla siebie.

W latach 80-tych pierwsi pionierzy odrodzenia przemysłowego, jak ówczesny Sejm, Wydział Krajowy, dalej, pierwszy dyrektor Banku krajowego Wrotnowski (znany finansista z Królestwa Pol.), Dr. Tadeusz Rutowski (prezydent miasta Lwowa, przebywający dziś w Rosyi) i w. in. zrozumieli, że w pracy nad odrodzeniem przemysłowem Galicyi na rząd, taryfy i cła liczyć—zresztą, z dobrze zrozumiałych powodów—nie możemy. Polska zaś inicyatywa prywatna, by uchwycić rozwój życia gospodarczego w Galicyi w swoje ręce, już w poprzednich latach w stosunku do rozwiniętego przemysłu austryackiego okazała się za słabą. Pod naciskiem więc opinii publicznej i zrozumienia istniejących stosunków, a opierając się na tradycyach Banku Polskiego—Kraj postanowił inicyatywę prywatną zastąpić *polską inicyatywą publiczną*. Przy wydziale Krajowym utworzoną została Krajowa Komisya Przemysłowa dotowana przez Sejm t. z. funduszem przemysłowym, z którego udzielano przedsiębiorcom i fabrykantom nizkoprocentowych pożyczek inwestycyjnych (3%). Część czystego dochodu Banku Krajowego (około 40%?) rok rocznie wpływa do innego funduszu inwestycyjnego, który jest także przeznaczony dla popierania przemysłu, zaś w r. 1910 Sejm, gmina miasta Lwowa i Krakowa wraz z wiedeńskiem Escompte-Gesellschaft tworzą Bank Przemysłowy (kap. zakł. 10 mil. kor.)*), którego celem jest finansowanie polskich przedsiębiorstw i zapewnienie im kapitału obrotowego. W celu popierania górnictwa utworzono „Radę górniczą“ której stałym reprezentantem przy Wydziale Krajowym jest prof. Leon Syroczyński.

Wogóle wszystkie nici i cała inicyatywa przemysłowo-górnicza aż do ostatniej chwili była w rękach Sejmu, Wydziału Krajowego i Banku Krajowego—w tych samych rękach spoczywa pośrednio lub bezpośrednio inicyatywa i kontrola nad kółkami rolniczemi, dalej kooperatywą rolniczą, jak kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, kooperatywą wytwórczo-sprzedawczą, spółkami zarobkowo-gospodarczemi i t. d.

---

*) Kraj dał 5 mil. i zrzekł się dochodów na przeciąg, o ile pamiętam, 5 lat. Gmina miasta Lwowa i Krakowa 1 mil., Escompte-Gesell. 3 mil.—które są dziś wykupione przez Bank Krajowy.

II.

Starajmy się teraz omówić sprawę węgla galicyjskiego i Zagłębia Krakowskiego, poruszonego przez p. Stefana Rola-Piekarskiego w „Myśli Narodowej", która to sprawa z ogólnym ruchem przemysłowym w Galicyi jest ściśle związana.

Wyżej wymieniona rozprawa, o ile opiera się (szczególnie część I) na Monografii Zagłębia Krakowskiego (wydanej, o ile nam się zdaje, w r. 1910) jest dobra, dalsze zaś części, traktujące o miarach i wyłącznościach górniczych świadczą, że szanowny autor ze staraniami społeczeństwa polskiego w Galicyi nad ratowaniem Zagłębia dla polskości i o zmianę noweli do ustawy górniczej z r. 1854, nie jest dokładnie zaznajomiony — albo też dziś nie rozporządza odpowiednimi materyałami. W IV części swej rozprawy*) p. S. Piekarski stwierdza, że jeżeli rozpatrzymy się w stosunku do Zagłębia Dąbrowskiego i Krakowskiego rządu rosyjskiego względnie austryackiego, to „przekonamy się wtedy, że oba rządy, w swoim zresztą własnym dobrze zrozumianym interesie, dbały więcej o prawidłowy rozwój górnictwa, niż społeczeństwo polskie i jego przedstawiciele". Naprawdę, nie wiemy, na jakich podstawach doszedł szanowny autor do takiego wniosku, chyba, że rządy Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego identyfikuje z rządem rosyjskim a dzisiejszą autonomię galicyjską—z rządem austryackim—inaczej takiego dowodu nigdy nie przeprowadzi. Jak widzimy ze słów autora, oba rządy w końcu dbały o rozwój górnictwa (czy polskiego?), a że nasze górnictwo znajduje się dziś w obcych, a nie polskich rękach winna, według autora inteligencya zawodowa i urzędy górnicze.**)

Jednak w końcu dla Zagłębia Dąbrowskiego jest szanowny autor wyrozumiały, co do utraty zaś Zagłębia Krakowskiego tak pisze: „Zupełnie inaczej rzecz miała się w Galicyi. Tam trudno o usprawiedliwienie w czemkolwiek postępowania ogromnej większości działaczy węglowych."***)

A zatem szan. autor utratę Zagłębia Dąbrowskiego szczególnie zaś Krakowskiego przypisuje przedewszystkiem tak zwanej inteligencyi zawodowej—gdyż chyba

---

*) Myśl Narodowa T. I. № 2. Str. 199.
**) „ „ „ „ Str. 198 i 199.
***) „ „ „ „ Str. 199.

„działacz węglowy“ to albo urzędnik kopalniany albo też szurfiarz—ale nigdy kapitalista węglowy—takich bowiem z wyjątkiem ś. p. Hr. Andrzeja Potockiego, w przeważnej części właściciela „tow. akcyjnego zakładów górniczych w Sierszy, wraz z kopalnią węgla Krystyna“ w Tenczynku i hutą czynkową w Krzu, bł. pam. D-ra Arnolda Rapaporta*) posła galicyjskiego, spolszczonego żyda, ale którego syn stale mieszka w Wiedniu i po polsku zupełnie nie mówi — w końcu spolszczonego Czecha Hromka, właściciela małego, prawie z ręcznem uruchomieniem szybu „Kmity“ w Tenczynku — zupełnie nie mamy. Jesteśmy ciekawi—co mogła zrobić *w owe czasy* ta zawodowa polska inteligencya, tych kilkunastu inżynierów, może jeden lub dwóch dyrektorów, buchalterów, magazynierów i t. d. zajętych w tych 5 kopalniach niemieckich względnie francuskich. Od nich właściwie nie można było niczego wymagać przedewszystkiem dlatego, że przeważna ich część zazwyczaj o istocie interesu i o niebezpieczeństwie, jakie nam zagraża, była tak poinformowana jak n. p. urzędnicy-polacy zajęci po bankach niemieckich w Galicji o tranzakcyach tej instystucyi. Zresztą, z praktyki wiemy, jak trudno od tej części inteligencyi, związanej z kapitałem i z przedsiębiorcą obcym, wyciągnąć pewną wiadomości o stosunkach lokalnych i o faktycznym stanie sprawy. Co innego jest część inteligencyi zawodowej, pracująca w Starostwach górniczych—tak samo jej, jak i samym starostwom można czynić zarzuty i to pozytywne — jednak nie tyle co do niestosowania się do litery prawa o ile co do niespełnienia swego obowiązku obywatelskiego wobec polskości. Gdyż nawet najściślejsze wypełnienie i stosowania się do ustawy górniczej nie uratowałoby Zagłębia dla polskości. Oprócz tego, czy szanowny autor myśli, że n. p. w r. 1894 nikt nie wiedział, iż prof. Zaręczny odkrył Zagłębie Krakowskie? Przecież o dziele prof. Zaręcznego wiedziały polskie sfery naukowe, prasa polska, wydział Krajowy i t. d. Widać jednak, jak polski naukowy świat geologiczny odnosił się do naszej sprawy górniczej i z jaką niewiarą traktował Zagłębie — kiedy na 80—90 dzieł o Zagłębiu — polskich dzieł jest tylko około 14**) a odkrywca naszych milionowych skarbów,

*) Byłego właściciela kopalni „Brzeszcze“ odkupionej w r. 1914 przez rząd austryacki.

**) Nie znamy dokładnych cyfr.

prof. Zaręczny, o ile nam wiadomo, prawie z nędzy odbiera sobie życie. Jak widzimy z tego, przyczyny opanowania Zagłębia Krakowskiego przez pruską przemoc należy szukać głębiej, a nie całą winę zwalać na kilku lub kilkudziesięciu zawodowców lub urzędników, *kiedy wszyscy jesteśmy winni.* Otwarcie powiemy: nawet przy starej ustawie górniczej z r. 1854 bez żadnej noweli można było dostać Zagłębie Krakowskie w ręce polskie—jednak przy innej organizacyi i uświadomieniu społeczeństwa i innej organizacyi finansowo-kredytowej kraju. Przecież my mogliśmy zajmować Zagłębie zupełnie na tych samych warunkach, co kapitały pruskie. Jednak faktycznie w Galicyi do r. 1910, t. j. do czasu powołania do życia przez Sejm Galicyjski Banku Przemysłowego, nie było żadnej instytucyi finansowej polskiej, któraby miała na celu finansowanie przedsiębiorstw polskich, dostarczenie kapitału obrotowego i pobudzanie polskiej inicyatywy prywatnej. Całę obsługę finansową Galicyi spełniały banki obce lub ich filie.

Przemysł naftowy straciliśmy, że nie byliśmy odpowiednio przygotowani i dlatego wyrósł on nam ponad głowę. Dobre są cyfry podane przez szan. autora, że w galicyjskim przemyśle naftowym umieszczonych 300 milionów koron obcego kapitału akcyjnego. Z tego 130 mil. jest kapitału niemieckiego a 160 mil. angielskiego,—jednak musimy tu dodać, że te ostatnie kapitały pracują także przez banki niemieckie. Skąd mogliśmy wziąć takie kapitały—kiedy nie mieliśmy nawet na tyle środków, by obsłużyć kredytowo nasz mało rozwinięty przemysł i nasze rękodzieła. Banki zaś niemieckie i czeskie pracują—przeważnie przez żydowskich eskonterów—dla siebie a nie dla nas. Inicyatywa publiczna t. j. fundusz przemysłowy Krajow. Komisyi Rzemiosł i fundusz inwestycyjny Banku Krajowego były funduszami czysto inwestycyjnymi i stosunkowo zbyt słabymi.—Pomimo wszystkiego musimy jednak przyznać, że prawie zawsze inicyatywa w sprawie uzdrowienia stosunków naftowych wychodziła i spoczywała w rękach polskich, w rękach Wydziału Krajowego, Rady górniczej i t. d. i Kraj dla tej gałęzi przemysłu także wiele zrobił.

W dalszym ciągu szan. autor przytacza następujące zdanie: „Stosunki (w przemyśle węglowym) stały się tak zabagnione, że wreszcie rząd austryacki zmuszonym był wziąć na siebie inicyatywę, aby im kres położyć“. Na tej samej stronicy pisze: „Pomimo całej swej zależności

od Niemiec, rząd austryacki zdobył się na krok stanowczy i wydelegował specyalną Komisyę dla zbadania sprawy“ *). Szkoda, że szan. autor nie podaje o jaką komisye, chodzi i w którym roku; jesteśmy pewni, że inicyatywa do powołania tej komisyi spoczywała, w rękach Wydziału Krajowego i t. zw. inteligencyi zawodowej.

Szanowny autor w swej rozprawie nie oryentuje się i zapomina — względnie nie wie, że wszystko to, co zrobiono w Galicyi w ostatnich 30 latach dla przemysłu, górnictwa i t. d., było przeprowadzone i inicyowane po większej części przez Wydział Krajowy i jego organy. Wskutek tej nieznajomości popada autor w taką niedokładność, jak przypisywanie p. Filipiemu, byłemu urzędnikowi Gal. Zakładów Górniczych w Sierszy, dzisiejszemu zaś prokurzyście filii Banku Przemysłowego w Krakowie — zresztą członkowi bardzo dzielnemu i pracowitemu—przeprowadzenie w ministerstwie obniżenia taryf na węgiel. Jeżeliby tylko chciał szan. autor od czasu do czasu przejrzeć sprawozdania choćby tylko z posiedzeń Kraj. Komisyi Przem., czy Rady górniczej — dalej referaty posła Żarańskiego, Dr. Benisa, prof. Leona Syroczyńskiego — jeżeliby chciał przypatrzyć się pracy takich obywateli — pracowników i uczonych, jak Książę Andrzej Lubomirski, prof. Dr. Michalski, ś. p. prof. Dr. Milewski, Dr. T. Rutowski, Dr Adam, dyr. Steczkowski i w. i., a szczególnie pracy departamentu przemysłowego Wydziału Krajowego, na którego czele stoi poseł Dr. Jahl—jeżeliby w końcu przypatrzył się działalności górników szczególnie w ostatnich latach pp. dyr. Schimitzka, inż. Drobniaka, inż. Koszki, inż. Schmida, ś. p. dr. Iskrzyckiego i w. i. i przeczytał artykuły publicystów krakowskich i lwowskich, jak Romana Woyczyńskiego i in. — toby przekonał się, skąd wychodzi inicyatywa: czy od rządu austryackiego czy też z łona samego społeczeństwa polskiego i rządu autonomicznego galicyjskiego.

P. Stefan Rola-Piekarski, chcąc uzasadnić, że jasną jest rzeczą, iż tylko w interesie rządu austryackiego leżała sanacya stosunków w Zagłębiu Krak., tak pisze: „Pomimo bogatych złoż węglowych produkcya węgla w Austryi nie wystarczała na własne potrzeby... W tych warunkach nie mógł on (rząd austryacki—przyp. autora) przychylnem a nawet obojętnem okiem patrzeć na zagarnięcie przez kapitalistów pruskich ogromnych obszarów

*) Myśl Narodowa T. I № 2. Str. 200.

w Zagłębiu Krakowskiem w celu unieruchomienia ich na długie lata i zachowania monopolu na dostarczenie nadal węgla*). W drugiem miejscu autor stwierdza, że w danym wypadku jednak żywotne interesy Austryi i nasze zbiegają się ze sobą...**)

Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, co jest, względnie co było w danej chwili interesem rządu i wielkiego przemysłu w Austryi, a w końcu i ich stosunek do Niemiec. Ogólnie interesem Austryi jest jak największy rozkwit przemysłu austryackiego - jednak z tego nie wynika, by interesem centralnego przemysłu austryackiego (Czechy, Morawy, Austrya, i t. d.) było utracenie tak potężnego konsumenta przemysłowego jak Galicya i dopomożenie naszemu krajowi do ekonomicznej emancypacyi. Dlatego też między przemysłem rdzennie austryackim a galicyjskiemi sferami miarodajnemi, dążącemi do uprzemysłowienia kraju, toczą się stale walki. Zupełnie jest zrozumiałem, że przemysł austryacki nie chce zrezygnować dobrowolnie ze swego stanu posiadania — na rzecz mającego rozwinąć się przemysłu galicyjskiego. Eksport zaś austryacki w porównaniu z niemieckim jest stosunkowo za słaby, by nowopowstające galicyjskie fabryki mogły się na austryackim rynku zbytu swobodnie zmieścić, każda bowiem nowa placówka przemysłowa w Galicyi może się tylko rozwijać na koszt przemysłu austryackiego. Kto zna życie gospodarcze Galicyi szczególnie z ostatnich lat, ten wie, że każda istniejąca już placówka przemysłowa a szczególnie nowo projektowana musi staczać i to nawet bardzo ciężką walkę z kartelami austryackimi i niemieckimi, za którymi stają najpotężniejsze banki a nawet i rząd. Naprzykład przytoczymy tylko sprawę, o ile sobie przypominamy, walcowni drutu w Borku Fałęckim koło Krakowa, w której musieli interweniować posłowie koła polskiego we Wiedniu — dalej walkę cukrowni Przeworskiej, na której czele stoi jeden z pierwszych i największych pionierów spolszczenia galicyjskiego przemysłu, książę Andrzej Lubomirski — z kartelem cukrowym. W walce tej brały udział nietylko miarodajne sfery naszego życia autonomicznego, ale też całe społeczeństwo polskie; w końcu z tej walki wyszliśmy zwycięsko.

Przecież znaną jest rzeczą, że jedynym krajem w Austryi, i to bardzo bogatym w pokłady solne, jest

---

*) Myśl Narodowa T. I, № 2, str. 200.
**) „ „ „ „ „ „ 208.

Galicya—gdzie oprócz takich kopalń, jak Wieliczka i Bochnia, znajduje się ogromna ilość źródeł solnych nadających się do eksploatacyi. Tymczasem rząd w swój własny interes, w „monopol“ wkładał bardzo mało, dopiero minister Korytowski wystarał się o milionową inwestycyjną kwotę dla kopalń Bocheńskich. Rząd austryacki wydaje milionowe kwoty na poszukiwanie soli w Alpach—a zapomina o naszych źródłach solnych, strzeżonych przez strażników. Jednak zaznaczyć musimy, że stosunki solne zmieniły się już na lepsze od czasu wydzierżawienia monopolu przez kraj. Na czele zaś biura solnego Wydziału krajowego stoi tej miary człowiek, co radca Miziewicz, jeden z najzdolniejszych urzędników-obywateli kraju. Teraz możemy się zapytać, gdzie jest interes rządu austryackiego, i w czyich rękach spoczywa inicyatywa: w rękach rządu, czy też naszej autonomii?

Najlepszym jednak przykładem, jak nikłą i małą jest praca i inicyatywa rządu austryackiego w stosunku do celowej polityki autonomii galicyjskiej, jest sprawa „soli potasowych“. Produkcya soli potasowych jest właściwie dzisiaj monopolem Niemiec—gdyż tam tylko znajdują się kopalnie tych soli. Poraz pierwszy pokłady soli potasowych odkryto w Niemczech w Strassfurcie, około r. 1860. Dziś ta gałęź przemysłu, w której od samego początku zaangażowany jest *fiskus pruski*—jest tak potężna i rozwinięta, że syndykat niemiecki tych soli opanował już rynek wszechświatowy i jest bez konkurencyi. Jednak w tych samych latach, co sole potasowe w Strassfurcie, odkryto dość obfite pokłady tych soli w Galicyi w Kałuszu. Inicyatywa prywatna polska do spółki z austryacką instytucyą finansową Anglo-Bankiem utworzyła konsorcyum z kilkomilionowym kapitałem zakładowym; na czele tego konsorcyum między innymi stanął A. hr. Potocki*). Przedsiębiorstwo to nie funkcyonowało długo i wkrótce upada (między rokiem 1870—1875). — Nasuwa się pytanie, co było powodem tego upadku? Przecież rząd austryacki powinien był się odrazu zoryentować, że przez poparcie tej gałęzi przemysłu stanie się konkurentem tylko Niemiec — i razem z przemysłem niemieckim będzie mógł opanować europejski rynek zbytu. W najgorszym zaś razie zostaną zapotrzebowania Austryi — mogłyby być śmiało pokryte produkcyą kałuską. Prof. uniwer.

*) Co do wysokości kapitału zakładowego, imienia hr. Potockiego, a dat nie jesteśmy pewni — a żadnych materyałów nie mamy pod ręką.

Dr. Szajnocha w swojej rozprawie o solach nie podaje pozytywnych powodów tak szybkiego upadku jednego z najpotężniejszych przedsiębiorstw—które mogło się stać chlubą austryackiego przemysłu. Faktem atoli jest, że w przedsiębiorstwach soli potasowych niemieckich jest nadzwyczaj silnie zaangażowany rząd pruski — i że cena soli niemieckiej na rynku wiedeńskim w latach siedemdziesiątych było grubo niższą od cen soli kałuskich także *loco* Wiedeń.

Po tej katastrofie o przemyśle soli potasowych, aż do ostatnich czasów, mowy nie było. Dopiero gdy po utworzeniu Banku Przemysłowego inicyatywa publiczna poczuła się dość silną do rozwiązywania większych zagadnień na polu gospodarczej polityki — wtedy Wydział Krajowy, z którego ramienia działał już wyżej wymieniony radca Miziewicz, przy współudziale Banku Przemysłowego, Banku Krajowego do spółki z wiedeńską Escompte-Gesellschaft powracają do „Soli potasowych“ i powołują do życia tow. akc. „Kali“, którego celem jest eksploatacya soli kałuskiej. Przedsiębiorstwo to miało być otwarte tuż przed wojną.

Znowu się pytam szan. autora: kto działał i w czyich rękach spoczywała inicyatywa—czy w rękach rządu—czy też w rękach Wydziału Krajowego i szefa departamentu przemysłowego Dr. Jahla? Gdzie interes nasz a gdzie interes rządu austryackiego?

Rozwój Zagłębia Krakowskiego jest ściśle związany nietylko z rozwojem przemysłu górno-szląskiego, ale także z polityką ekonomiczną fiskusu pruskiego — od którego wpływów rządowi austryackiemu nie tak łatwo się wyswobodzić.

Prawie cały przemysł węglowy niemiecki jest zorganizowany w dwa syndykaty t. j. syndykat reńsko-westfalski i syndykat górno-śląski. Wogóle wszystkie syndykaty są tak silnie popierane przez, rząd niemiecki, że nietylko parlament, ale także pojedyńcze rządy państw Rzeszy niemieckiej nie mogą z nimi dać sobie rady. Wskutek protekcyjnej polityki rządu i wysokich premii wywozowych rzucają swe surowce i towary, po tak bajecznie nizkich cenach na rynki zagraniczne, że są w stanie na szereg lat zahamować, względnie zniszczyć, przemysł kraju, szczególnie słabego. Z drugiej zaś strony popierane przez rząd i będąc jedynymi gospodarzami wewnątrz kraju, podwyższają ceny na rynku wewnętrznym do niebywałych rozmiarów. Po jakich zaś cenach rzucał

syndykat reńsko-westfalski swój towar na rynki zagraniczne w r. 1900 t. z. w czasach głodu węglowego w Niemczech, świadczy fakt, że węgiel zagranicą był sprzedawany 8,2% taniej, niż rynku wewnętrznym. Oprócz tego musimy zaznaczyć, że węgiel przeznaczony do eksportu był daleko lepszej marki. Bardzo się często przytem zdarza, że syndykat celem podwyższenia cen węgla wewnątrz kraju ogranicza produkcyę i fabrykantom niedostarcza żądanej ilości węgla. To miało miejsce w r. 1900, 1905, 1906. — Forsowanie eksportu węgla kamiennego i koksu szczególnie w ostatnich latach doszło do ogromnych rozmiarów. W interesie syndykatu reńsko-westfalskiego pracuje dziś *„Vereinigung Schweizerischer Kohlenfirmen für den Absatz der Rûhrprodukte in der Schweiz“*—dalej syndykat węglowy otwiera swoje biuro w Paryżu (r. 1908), w Rotterdamie (r. 1908), i w ten sposób coraz silniej wciska się na rynek francuski, angielski, belgijski i t. d. Ażeby szachować kunkurencyę angielską, właściciele kopalń niemieckich zakupują ogromne kopalnie w ks. Walii— celem zaś zniszczenia kunkurencyi wewnątrz kraju, syndykat reńsko-westfalski zakupuje systematycznie tereny weglowe, nie eksploatując ich zupełnie (w r. 1905 nabycie Internationale Bohrgesellschaft). Jak smutną rolę odgrywa fiskus pruski — będący właścicielem ogromnych pokładów węglowych i kopalń na Górnym-Śląsku, w Saarbrücken i t. d.—w historyi rozwoju przemysłu niemieckiego, świadczą fakta skonstatowane kilka lat temu przez Izbę handlową w Saarbrücken. Fiskus pruskico do zniszczenia kenkurencyi, podwyższenia cen i celowego ograniczenia produkcyi postępuje bezwzględniej od syndykatu.

Wten sam sposób, co syndykat reńsko-westfalski, pracował i pracuje także i syndykat górno-śląski który opanował rynek austryacki. Ceny węgla górno-śląskiego były swego czasu na rynkach austryjackich 2 razy mniejsze, niż ceny węgla tej samej jakości w Niemczech.

Z tego krótkiego zestawienia widzimy jak bezwzględny jest potężny przemysł węglowy niemiecki — i fiskus pruski wraz z rządem niemieckim nietylko wobec konkurencyi zewnętrznej ale i wewnętrznej My wobec tak potężnych wpływów finansowych i politycznych na pomoc rządu wiedeńskiego w sprawie spolszczenia Zagłębia Krak. liczyć nie możemy. Rząd wiedeński przeciwko Prusakom w Zagłębiu Krakowskiem ani z ustawą ani z nowelą czynnie niewystąpi. Łudzi się autor — rząd austryacki nigdy tego faktycznie nie zrobi — gdyż politycznie i eko-

nomicznie jest za słaby. Jeżeliby chciał, to już dawniej mógł był to zdziałać—na to trzeba było tylko silniejszej interpretacyi ustawy górniczej. Zresztą o ile nam się zdaje, rządowi austryackiemu względnie ustawie wszystko jest jedno, kto siedzi w Zagłębiu: Niemiec austryacki czy Prusak, Polak, czy Żyd i t. d.

III.

Faktem jest, że społeczeństwo polskie, prasa i sfery miarodajne dość późno zoryentowały się, że Zagłębiu Krakowskiemu zagraża niebezpieczeństwo, że nietylko przy ustawie z r. 1854 ale nawet przy wejściu w życie noweli do tej ustawy, którą się szan. autor. zachwyca, i przy ścisłem jej przestrzeganiu — Zagłębia Krakowskiego dla polskości nie uratujemy. Jak wyraziliśmy się, autor jest bardzo zadowolony z inicyatywy rządu austryackiego i z noweli górniczej, natomiast polska opinia publiczna i sfery kompetentne nazwały nowelę „gwoździem do trumny dla Zagłębia Krak.“ Szanowny autor z podanych paragrafów przyszedł do wniosku i stwierdza: mimo że na 12,800*) wyłączności jest tylko 3,640 wyłączności w polskich rękach t. j. 28%—jednak Zagłębie faktycznie jest nasze, i dziwi się, dlaczego szereg osób o nieposzlakowanym patryotyzmie wysilało się na szereg projektów, jak to odkupienie od Schlutziusa jego terenów albo też wykupienie przez Wydział Krajowy z rąk pruskich resztek Zagłębia; w końcu stwierdza, że dla niego niezrozumiałem jest to tembardziej, że o żadnych resztkach nie może być mowy—9/10 Zagłębia stanowi w chwili obecnej z punktu widzenia prawa górniczego *res nullius.* Nabycie zaś wyłączności przez Wydział Krajowy byłoby wedle autora „fatalnym krokiem, gdyż uprawniałoby ono poniekąd niemiecki stan posiadania, który tak czy tak jest fikcyjnym“ **).

Polskości Zagębia Krakowskiego zagraża ogromne niebezpieczeństwo, my zaś, chcąc naprawić błędy nasze chcemy odzyskać Zagłębie dla siebie.

Zagłębie Krakowskie za wszelką cenę musi być nasze. To jest zupełnie jasne stanowisko.

---

*) Sz. autor sam podaje, że właściwie jest 15,145 wyłączności. Z tych jednak odrzuca 2,345—skąd taka dokładna cyfra, my przecież granic Zagłębia nie znamy. Prawdopodobnie są to cyfry wzięte z Monografii, jednak to nic nie znaczy.

**) Myśl Narodowa T. I. № 2. Str. 197 i 198.

Jasną jest rzeczą, że celem projektowanej ustawy jest uzdrowienie stosunków w Zagłębiu, przyspieszenie eksploatacyi — ale interesem państwowości austryackiej nie jest ratowanie Zagłębia dla polskości, a celem noweli nie jest wyrzucenie Prusaków i oddanie Zagłębia w ręce nasze. Z tego musimy sobie zdawać sprawę.

Przedstawiciele wielkiego kapitału i baronów węglowych, jak Larisch-Münnich, zwalczają nowelę górniczą, dlatego, że projekt rządowy wiedzie do odebrania im wyłączności i do ogromnego powiększenia rocznej opłaty za należności i t. d. Dalej projekt rządowy zastrzega, że wyłączności muszą być pod grozą przejścia na rzecz państwa odwiercone i doprowadzonę do nadania w odpowiednim terminie. My zaś zwalczamy dlatego, że nowela zwraca się właściwie nie przeciwko niemiecko-pruskim właścicielom Zagłębia, tylko przeciwko polskiemu stanowi posiadania.

Przeważna część najlepszych i najbogatszych terenów Zagłębia Krakowskiego znajduje się w rękach prusko-niemieckich, między któremi pierwszą rolę odgrywa W. D. Thomas-Phosphat-Werke (spadkobiercy Schlutziusa). Jeżeli ci panowie, mający za sobą poparcie banków i syndykatów niemieckich a tem samem i rządu niemieckiego, byli w stanie wydać milionowe sumy na wykupno prawa wyłączności od prywatnych szurfiarzy, to nawet przy najostrzejszem zastosowaniu ustawy i trzymaniu się ściśle litery prawa (?) będą najwyżej zmuszeni do odwiercenia terenów i włożenia jeszcze kilku milionów a choćby nawet kilkunastu. Natomiast fiskus pruski wszystkich sił użyje, by niedopuścić do wytworzenia pod jego bokiem konkurencyi i niebezpieczeństwa dla kopalń górno-śląskich. Musimy przytem pamiętać, ze fiskus pruski w całkowitej produkcyi węgla górno-śląskiego partycypuje z udziałem 21⁰/₀. Więc co się tyczy Zagłębia Krak. to nie przeciwko prusko-niemieckim szurfiarzom zwraca się nowela górnicza, tylko przeciwko polskim właścicielom (28%), którzy nie mają czasem środków na opłaty taks i należytości, nie mówiąc już o kosztownych odwierceniach terenów. I właśnie to polskie wyłączności będą, które mogłyby przejść na rzecz państwa.

Jeżeli rozejrzymy się w faktycznych stosunkach, wśród których mamy ratować Zagłębie, a w jakich się ono dziś znajduje, jeżeli uprzytomnimy sobie, w jaki sposób syndykaty przed wojną wciskały się na rynki zagraniczne, hamując rozwój przemysłowy nawet najpotę-

zniejszych państw — w końcu zaś, że celem ustawy i noweli nie jest ratowanie Zagłębia dla polskości—to przyjdziemy do przekonania, że nie ustawą, nie samą nowelą—*ale inicyatywą publiczną* można uratować Zagłębie. Musimy jednak przyznać, *że odpowiednia nowela do ustawy może ten proces ułatwić i przyspieszyć.*

Szanowny autor przy omawianiu ustaw górniczych w Królestwie i w Austryi wychodzi z założenia, „że oba prawa są na ogół dosyć celowe a prawodawcy w obu razach mieli na względzie dobro społeczeństwa i państwa“*). Zupełnie zgadzamy się z tem, gdyż jeżeliby było przeciwnie, to w takim razie prawodawców możnaby było posądzić o złą wolę albo o chorobę umysłową. Jednak pytamy się, czy dobro państwa jako takiego, w takiej pstrokaciznie polityczno-społecznej jak Austro-Węgry, można n. p. indentyfikować z „dobrem“ polskości. Jeżeliby tak było to w Austryi musielibyśmy wymagać, aby taryfy cła były skonstruowane w interesie naszym — jednak w rzeczywistości tak nie jest.

Przytaczając niektóre paragrafy z austr. ustawy górniczej i odpowiednio komentując, szan. autor stwierdza „że wobec wspomnianych ograniczeń natury prawnej (co do Austryi—to się tyczy ustawy z r. 1854) społeczeństwo nasze mogłoby być spokojne o los obu Zagłąbia**). Przecież bardzo łatwo zrozumieć że inaczej wygląda ustawa w praktyce. Dlatego właśnie, że byliśmy zanadto i zadługo spokojni o los obu Zagłębi, straciliśmy jedno i drugie; zaś spokój i wiara w nowelę górniczą spowodują, że Zagłębia, nie odzyskamy. To jest pewnik. Wprawdzie szan. autor pociesza się swoją interpretacyą ustawy austryackiej i opierając się na cyfrach podanych swego czasu w broszurze Inż. Franciszka Drobniaka, jednego z najwybitniejszych działaczy-górników, konstatuje, że tylko 10% Zagłębia Krakowskiego t. j. część zajeta przez nadania górnicze jest dla polskości stracona, reszta zaś t. j. 9/10 części Zagłębia jest obłożona wyłącznościami w 72% pruskiemi a 28% polskiemi. Otóż opierając się na swej interpretacyi szan. autor stwierdza, że o ile chodzi o wyłączności, to tak polski stan posiadania jak i niemiecki jest równy zeru. Jeżeliby więc tylko tak zainterpretowaną ustawę puścić w ruch, to wszyscy szurfiarze polscy i niemieccy odpadają—koń-

*) Myśl Narodowa T. I. № 2. Str. 185.
**) „ „ „ „ „ „ „ 195.

cowy wynik byłby w rzeczywistości idealny, na który natychmiast się godzimy — jednak prawdziwą biedą jest, że nikt ze sfer miarodajnych austryackich na taką interpertacyę nie chce się zgodzić. Teraz nasuwa się pytanie, dlaczego na tych 9/10 Zagłębia ewentualnie wolnych od wyłączności mogłyby się według autora rozwijać przedsiębiorstwa polskie a nie n. p. pruskie, angielskie i t. p.

Otóż, że przy ścisłem zastosowaniu ustawy odpadliby polscy szurfierze — wierzymy — ale zato, kto nas zapewni, że n. p. pruscy kapitaliści i fiskus pruski nie zdecydowałby się naprawdę — pod grozą wywłaszczenia na korzyść rządu austryackiego — zacząć eksploatacyę, albo też udawać, że eksploatuje, co zresztą przy tych środkach finansowych i wpływach politycznych bardzo łatwo byłoby do przeprowadzenia.

Dalej szan. autor pisze (str. 198): „jeszcze poważniejszą rzeczą *w tej sprawie jest wprowadzenie w błąd całego społeczeństwa*. W całej literaturze, którąśmy w tym przedmiocie przestudyowali, nie znajdujemy ani słówka o prawnej stronie tej sprawy“. Ogromnie ciężki zarzut i pod czyim adresem? Kto właściwie wprowadzał w błąd społeczeństwo polskie — czy prasa, czy referenci, czy Wydział Krajowy? Myli się szan. autor: nikt nie wprowadzał społeczeństwa w błąd, to było tylko skonstatowanie faktu, że tak na ustawie jak i na noweli do ustawy górniczej uratowania Zagłębia Krak. dla Polskości opierać nie można. Nie mówimy już o „interpretacyi“ szan. autora — gdyż o niej nikt nie myśli choćby nawet ze względów czysto praktycznych; zresztą sam rząd jest także daleki od takiej interpretacyi — i sam handlował do ostatniej chwili wyłącznościami i kopalniami. I tak w r. 1914 nabywa od firmy Dr. A. Rapaporta i spół. galicyjską kopalnię „Brzeszcze“ — przedtem zaś był w posiadaniu kopalni węgla brunatnego w Brüx (w Czechach), Oprócz tego rząd austryacki jest właścicielem innego rodzaju kopalń, jak w Przibramie, Raibl i w Idrii, a miasto Wiedeń nabyło w ostatnich latach także dla prywatnego użytku kopalnie węgla. Co zaś tyczy nas, Polaków, nie pozwala szan. autor Wydziałowi Krajowemu zakupywać terenów, gdyż „Nabycie wyłączności przez Wydział Krajowy byłoby zresztą fatalnym krokiem — uprawniałoby ono niemiecki stan posiadania — jak wiemy czysto fikcyjny *). Dlaczego?

---

*) Myśl Narodowa T. I. Nr. 2. Str. 198.

W końcu musimy pamiętać, że pod ustawę górniczą podpada nietylko młody przemysł galicyjski—ale też stary rozwinięty i bogaty przemysł austryacki a baronowie węglowi jak Rothschild, Gutmann, Springer, hr. Larisch-Münnich i w. i., dalej przedsiębiorstwa milionowe jak Witkowice, Alpine, Prager-Eisenindustrie i t. d., nie mówiąc już o takiej interpretacyi, ale nawet do przeprowadzenia noweli górniczej nie chcą dopuśbić.

IV.

Projektowania nowela do ustawy górniczej, jak zaznaczyliśmy wyżej, zwraca się przedewszystkiem przeciwko polskim przedsiębiorstwom—na nich odbije się obostrzona ustawa górnicza, one odczują na sobie przeprowadzony w życie projektu noweli, potrajający dotychczasowe opłaty za wyłączności i miary górnicze i zmuszający je do odwiercenia wszystkich wyłączności w przepisanym terminie pod grozą przejścia na rzecz państwa. Pytamy się znowu, dlaczego nie pod grozą przejścia na rzecz kraju my w Galicyi straciliśmy dotychczas tyle, że nam bez strasznej walki nawet cegiełki z naszej polskości stracić nie można. Sól, nasze dobra narodowe i t. d. przeszły na rzecz państwa—nafta dostała się w ręce angielsko-niemieckich spekulantów; przemysł i handel opanowany przez przemoc żydowsko-niemiecką, dziś zaś w sprawie ratowania Zagłębia Krakowskiego mamy zrezygnować z takiego atutu, jak inicyatywa publiczna Kraju, a zaufać samej literze prawa.

Całe społeczeństwo polskie w Galicyi, na czele z Wydziałem Krajowym, traktuje sprawę ratowania Zagłębia ze stanowiska interesów polskich. Polska zaś inicyatywa publiczna w Galicyi tak wżarła się już w nasze życie gospodarcze, że dziś prawie w większej części placówek przemysłowych pracują i umieszczone są fundusze będąc własnością kraju—jednak do niedawna jeszcze tak wielkie pole działania jak „nasz węgiel“ stale było omijane przez czynną politykę Kraju. A przecież powinniśmy zrozumieś, że udział Kraju w naszem życiu gospodarczem jest rękojmią, że to co on stworzy i w czem się zaangażuje, będzie polskie,—dziś zaś pozwoli lżej przetrwać

katastrofę wojenną — gdyż straty i zniszczenie naszych przedsiębiorstw będą udziałem nietylko prywatnych jednostek, ale udziałem całego kraju.

Inicyatywa publiczna i społeczeństwo zrozumiały, że Zagłębia nie da się odzyskać dla polskości ani ustawą ani nowelą, dlatego też by pobudzić inicyatywę prywatną do życia, postanowiono wziąć czynny udział w sprawie węglowej. Bank Krajowy swego czasu założył t. z. Tow. Wiertnicze (tytułu nie pamiętamy) którego zadaniem było odwiercenie terenów węglowych na korzyść naszą. Jednak towarzystwo zlikwidowane zostało ze stratą w r. 1911 (?). Po nieudatnej próbie. Kraj nie zniechęcił się. Z jednej strony Wydział Krajowy zajął się rewizyą projektu noweli, z drugiej zaś taryfami. W ostatnich zaś latach zaczęto mowić (mimo noweli górniczej) o wykupnie terenów węglowych od Schlutziusa—nawet pertraktowano w sprawie kupna szybu „Franciszek“ w Tenczynku, który, mówiąc nawiasem, dostał się w ręce towarzystwa niemieckiego, na którego czele stoi hakatysta Bauer. Tuż przed wojną cała akcya Kraju szła już szybkiem tempem a Kraj dochody z jednego ze swoich wielkich przedsiębiorstw przeznaczył na ratowanie Zagłębia. Pod wpływem inicyatywy publicznej obudziła się inicyatywa prywatna polska. W r. 1913 prawie wszyscy polscy właściciele wyłączności górniczych Zagłębia jak ś. p. dr. Iskrzycki, inżynierowie gór. jak dyr. Jędrkiewicz, Drobniak, Koszko, Schmid, Hromko, i w. i. przy współudziale gminy miasta Krakowa, Wydziału Krajowego, o ile mi się zdaje, Banku Przemysłowego,—dalej posła Zarańskiego, dyr. Schmitzka i w. i. zakładają towarzystwo, którego celem jest odwiercanie terenów, sparaliżowanie ostrza noweli i stworzenie silnej opory przeciwko pruskiemu zalewowi. W ostatniej chwili tuż przed wojną miał przystąpić do spółki i inż. Drobniak z odwierconymi terenami w Rącznej (węgel o wysokiej wartości kalorycznej).

Akcya i stosunek naszej autonomii do przemysłu i górnictwa w Galicyi, tak samo jak wpływy przemysłu i kapitału tak austryackiego jak i niemieckiego na rozwój naszego życia ekonomicznego szan. autor zupełnie ignoruje, dlatego też z jednej strony przecenia siłę litery prawa i inicyatywę rządu austryjackiego w stosunku do polskiego przemysłu, z drugiej lekceważy pracę autonomii i polskiej inicyatywy publicznej w rozwoju gospodarczym Galicyi.

To jest błąd nie do darowania. Takiego samego błędu dopuściłby się ten publicysta, któryby przy omawianiu rozwoju przemysłu Królestwa Polskiego przeszedł do porządku dziennego nad akcyą Banku Polskiego.

W Galicyi cała praca nad uprzemysłowiem kraju to nie praca jednostek prywatnych, to robota przedstawicieli społeczeństwa i Kraju. Z tego właściwie dumni jesteśmy—w żadnym bowiem kraju korony austryackiej autonomia krajowa nie jest tak silnie i pozytywnie zaangażowana w rozwoju i w unarodowieniu całego życia gospodarczego, jak w Galicyi.

Autor powołuje się na Czechy; ale poza cukrownictwem o czeskiej industryi mowy być nie może; prawie całe życie przemysłowe Czech spoczywa w rękach żydowsko-niemieckich. Wskutek stosunków politycznych czeska autonomia jako naczelna władza nie może się zaangażować w popopieranie przemysłu *par excellence* czeskiego—my możemy pracować dla siebie.

Przemysł i górnictwo Królestwa Polskiego zaczęło przechodzić w ręce obce wtedy, gdy zabrakło polskiej inicyatywy publicznej, t. j. Banku Polskiego — jednak jeszcze dziś ten kraj żyje i rozwija się tradycyą tej genialnej instytucyi, która śmiało prowadziła nasze życie gospodarcze w latach katastrofy i ucisku politycznego.

Pracy galicyjskiej autonomii nie możemy na razie porównywać z kolosalną pracą Królestwa Polskiego nad uprzemysłowieniem kraju, gdyż wśród, innych i to daleko cięższych warunków zaczęliśmy pracować. Inicyatywa publiczna w Galicyi musiała nietylko stwarzać nowe drogi, i równorzędne warunki produkcyi w porównaniu z innymi krajami korony austryackiej, ale musiała przedewszystkiem uprzemysłowić mózgi obywateli a szczególnie biurokracyi galicyjskiej i zachęcać ją do obywatelskiej pracy i do ofiar dla kraju.

Jeżeli mówimy o podniesieniu przemysłu, handlu i górnictwa polskiego w Galicyi, to musimy zawsze pamiętać o roli i o zadaniach autonomii naszego kraju — *gdyż tylko wtedy możemy rozwinąć polskie życie gospodarcze, jeżeli przeciwko kartelom austryackim, taryfie, cłom, z drugiej zaś strony syndykatom niemieckim a w wielu wypadkach i pośrednim wpływom fiskusu pruskiego przeciwstawimy nasz samorząd i uświadomione i zogranizowane polskie społeczeństwo.*

To co wytworzyła w Galicyi polska inicyatywa prywatna, jest dotychczas bardzo słabe—jednak w ostatnich latach i ona silnie ożyła tak na polu przemysłowem, jak górnictwa, i ruch ten stawał się coraz silniejszy – ale to wszystko mamy do zawdzięczenia tyloletniej pracy Sejmu i Wydziału Krajowego.

Łatwo zrozumiałe jest, że jako jeniec wojenny, nie rozporządzam tu w tem małem miasteczku tatarskiem żadnymi materyałami ani cyframi, dla lepszego i silniejszego poparcia moich twierdzeń. Jednak mimo wszystko, odważyłem się uzupełnić rozprawę p. Stefana Rola-Piekarskiego, starając się przynajmniej przedstawić te stosunki, wśród których przemysł i górnictwo w Galicyi się znajduje, i tę wielką, trudną a tak ważną dla Kraju pracę autonomii Galicyjskiej.

Zaś te straty, jakie Kraj i jego instytucye poniosły w celowej pracy nad uprzemysłowiem Galicyi, nietylko nie pomniejszają, ale owszem powiększają jego zasługi.

Prawda, w tej pracy całe społeczeństwo polskie jak i Kraj popełniło szereg błędów—nazywaliśmy to nieoryentacyą, inercyą, błędnem szukaniem dróg, zdradą sprawy narodowej i t. d., musieliśmy czasem ustępować pod naciskiem obcej przewagi — ale nigdy ani Kraj ani prasa ani też społeczeństwo nie spuściło z oka ostatecznego celu: usamodzielnienia i spolszczenia naszego życia ekonomicznego.

Należymy do tych, którzy zawsze w prasie i na wiecach może najostrzej atakowali nasze sfery miarodajne za politykę ekonomiczną, którą one uprawiały. Jednak przyczyną tego było, że tam, w kraju, pracowaliśmy pod wpływem pojedyńczych wypadków. Tam każda placówka która upadła lub dostała się w ręce obce, była widoczną stratą w naszym bilansie narodowym. A stopniowe wydziedziczanie nas z Zagłębia wzbudzało w naszej duszy obawę o losy polskiego Krakowa—przecież Prusacy znajdują się tuż przy bramie starej stolicy Polski.

Wobec takiego stanu rzeczy nie można spokojnie czekać na ustawy, na nowele na taryfy i t. d. kiedy trzeba czynu — gdyż ziemia pali się nam pod nogami. Tam w kraju musi się być w pracy codziennej bezwzględnym.

Zaś tu, nietylko zdala od pracy, ale mając ją już poza sobą, oddzieleni wypadkami wojny europejskiej musimy uznać tę wielką rolę, jaką Kraj odegrał w naszem życiu.

Ze zmianą stosunków tak politycznych, jak społecznych musi nastąpić reorganizacya pracy, zmiana programu i dróg prowadzących do wszech - stronnego odrodzenia narodowego i wtedy każdy z nasze stokroć większą siłą będzie musiał się starać, by każda cegiełka naszego gmachu narodowego była naprawdę polską. *)

Menzelinsk gub. Ufimska 25.VI.916.

---

*) Po złożeniu niniejszego artykułu otrzymaliśmy wiadomość, że Wydział Krajowy obecnie przeprowadza pertraktacye o wykupno terenów węglowych Zagłębia Krakowskiego (*Red.).*

PAMIĘCI ALEKSANDRA JELSKIEGO.



Umarł człowiek niepospolitych dla kraju swego rodzinnego zasług, z życiem społecznem Litwy i polskością na naszych wschodnich kresach ściśle związany.

Ś. p. Aleksander Jelski, potomek starego, zasłużonego szlacheckiego rodu, herbu Plarz, urodził się W Mińszczyźnie we wrześniu 1834 r. tu przez całe życie pracował i tu żywota dokonał 26 lipca r. b. w wieku lat 82.

Przyszedł na świat 1834 r. w powiecie Ihumeńskim, w starym dworze w Dudziczach, z ojca Karola i matki

Dunki rodem. Tu upłynęło dzieciństwo i młodość ś. p. Aleksandra. Wychowany został w atmosferze rodzinnej pod czułą opieką matki, która przeżyła ojca i choć cudzoziemka, przywiązała się do kraju i miłość tę do niego i jego przeszłości zaszczepiła w dzieciach. Pełen zapału do pracy i czynu młodzieniec wzorował się na tylu zasłużonych mężach w Mińszczyźnie, z których wielu znał osobiście. Dość wspomnieć o wielkim filantropie Dominiku Moniuszce i jego synowcu, znakomitym muzyku Stanisławie, zasłużonych w pracach społecznych Bronisławie Zaleskim i Aleksandrze Oskierce, poecie Władysławie Syrokomli (Ludwiku Kondratowiczu), wybitnym prawniku i krytyku Włodzimierzu Spasowiczu i tylu, tylu innych. Samo otoczenie w Dudziczach zdawało się przyczyniać do obudzenia zamiłowania tradycyi i przeszłości. Stary dwór i budynki gospodarskie z drzewa w czworobok zabudowane, dotąd dobrze zachowane z charakterystyczną bramą wjazdową, stanowią unikat w okolicy. Okna w domu mieszkalnym „pałacu“ z drobnych kwadratowych szybek; wewnątrz cenne plafony mistrzowskiego pędzla Bacciarellego, pamiątki narodowe, a pomiędzy nimi cenne portrety Kościuszki i ks. Józefa. Dwór w Dudziczach mógłby, będąc gdzieś w kraju kulturalniejszym, być całkowicie przeniesionym do muzeum. Historyczność dworu powiększa fakt, że w tym domu zamieszkiwał w czasie wojny z Rosyą w r. 1812 Napoleon I.

Po skończeniu szkół mińskich w r. 1852 ś. p. Aleksander podczas wojny krymskiej służył wojskowo; powróciwszy do domu w 1856 r. i straciwszy prędko ojca, musiał zająć się majątkowymi interesami, a następnie podzielić się z bratem, pozostałą ojcowizną. Bratu, Michałowi, znanemu skrzypkowi i kompozytorowi, przypadło w udziale samo fundum Dudzicze, a Aleksander otrzymał o wiorst kilka odległy folwark, leżący za mostem i dlatego nazwany Zamościem. Był on właściwym założycielem tego majątku, zaokrąglił jego granice, włożył weń niemało pracy, założył ogród, wybudował wszystkie budynki, począwszy od domu mieszkalnego, odpowiadającego jego wymaganiom, aż do zabudowań gospodarskich. W r. 1862 żeni się ze swą sąsiadką, niewiastą wielkich cnót domowych panną Heleną Kałęczyńską, z którą miał syna Jana, adwokata w Mińsku, i ukochaną córkę, wydaną ze mąż za człowieka wielce zasłużonego krajowi, Zygmunta Glogiera. Przedwczesna śmierć córki pogrąża Jelskich na długo w nieutuloną żałobę. Po 38-letniem po-

życiu małżeńskiem dotyka cios ciężki ś. p. Aleksandra: w r. 1890 traci swą niezastąpioną towarzyszkę i przyjaciela, i jej pamięć przechowuje aż do grobu.

W rozpoczętej pracy na roli spotyka ś. p. Aleksander przeszkody i zawody, a najsilniejszymi były te stosunki fatalne po r. 1863, które zapanowały wszechwładnie w kraju i zdawały się uniemożebniać wszelką pracę kulturalną. Zrażony tem postanawia w r. 1869 opuścić strony ojczyste i zostawiwszy rodzinę w domu, udaje się do Królestwa i tam w fabryce cukru w Józefowie, pod Pruszkowem, otrzymuje posadę. Po roku jednak przychodzi do przekonania, że ustępować z zajmowanej placówki niewolno i że obowiązkiem przekazanym przez przodków jest stać i nieugięcie pracować na kresach. Wrócił i wytrwał, i kości swe złożył na wiejskim cmentarzu w Dudziczach pod płaczącemi litewskiemi brzozami. Nie poszedł ś. p. Aleksander w ślady tylu innych zasłużonych ludzi litewskiej dzielnicy, którzy zrozpaczeni, zwątpiwszy o możności pracy na glebie ojczystej wyprzedawali się to przenosząc się do miast, to szukając nowego życia w Ameryce, lub uciekając do Korony.

Ś. p. Aleksander, osiadłszy w Zamościu, rozwija tu różnorodną, iście tytaniczną pracę na wszystkich polach, zapałem i nadzwyczajną siłą woli zwalcza wszystkie trudności, a co zamierzył, wszystko konsenkwentnie doprowadza do końca. Rozpatrzmy choć pobieżnie tę godną podziwu ani na chwilę niesłabnącą pięćdziesięcioletnią pracę rolnika, działacza społecznego, wreszcie pisarza, historyka kraju i publicysty, i nakoniec gorliwego bibliofila i zbieracza pamiątek historycznych.

Naprzód stara się podołać ciężkim obowiązkom ziemianina-obywatela. Uprawia ziemię i polepsza znakomicie warunki jej produkcyi, służy życzliwą radą, a gdzie trzeba i pomocą swym sąsiadom, zarówno zamożniejszym, jak i maluczkim; szczególnie leżał mu na sercu los młodszej braci, siermiężnej szlachty okolicznej, dość licznie w jego okolicy osiadłej, wspierał ją zwykle wedle możności, szerzył oświatę, naukę czytania i pisania w języku ojczystym i czytelnictwo, prenumerował dla niej czasopisma i książki, a dwór z wsią pozostawał w nieustannym serdecznym związku, który krzepnął i utrwalał się z latami.

W r. 1877 podczas wojny rosyjsko-tureckiej ś. p. Aleksander szeroko opracował projekt urządzenia lazaretów i opatrunkowych punktów dla koni, podobnie jak

istnieją dla ludzi. Projekt ten wielce popierał W. Ks. Włodzimierz Aleksandrowicz i z nim w tej kwestyi korespondował, znaczne jednak koszta nie pozwoliły temu projektowi przyjść do skutku.

Przez długie lata niewymownie cierpiał nad tem ś. p. Aleksander, że niedaleko od dworu w starej byłej cerkiewce unickiej ufundowanej przez przodków jego, stojącej w ruinie, w sklepie są złożone szczątki jego rodziców i dziadów. Sklep początkowo ogrodzony, bez drzwi i okien stał otworem przez długie lata. Wyrzucone ze zbutwiałych trumien kości przyciągały wielu ciekawych i swawolnych podrostków wiejskich, zabawiających się ciskaniem kamieniami do trumien. Wiele starań potrzeba było, zanim zdobył ś. p. Aleksander pozwolenie na zbudowanie grobu familijnego na katolickim cmentarzu i przeniesienie tam zwłok swych rodzinnych. Przeniesienie odbyło się z wielką uroczystością wśród tysiącznego tłumu ludu.

Znając wybornie kraj, okolicę i mnóstwo ludzi, a chcąc przyjść z pomocą licznej rzeszy pracowników jako to: nauczycielstwu, oficyalistom i służącym, przyjął na siebie ś. p. Aleksander rolę informatora w celu dostarczania im posad. Dla tego musiał prowadzić rozległą korespondencyę wymagającą wiele czasu i pociągającą znaczne koszta.

Ogół społeczeństwa pozostał wdzięczny temu rzadkiemu filantropowi, który przez pół wieku bezinteresownie miał otwarte serce i kieszeń dla innych, dostarczając zarobku tysiącom rodzin. Praca ta wyrobiła ś. p. Jelskiemu szeroką popularność pośród społeczeństwa, które do niego z zaufaniem się odnosiło, składając w jego ręce ofiary na różne cele. Akuratny i punktualny we wszystkich swych czynnościach, ś. p. Aleksander posiadał dwie kasy, jedną osobistą z dochodu od majątku, drugą filantropijną przezwaną skarboną św. Antoniego. Otóż do kasy św. Antoniego wpływały honorarya otrzymywane za różne prace literackie. Redakcya „Słownika geograficznego“ np. za 10 tys. monografii zapłaciła 3000 rubli i nadsyłane od osób różnych ofiary, które przeznaczał na koszt korespondencyi prowadzenia „Biura stręczeń“, stypendye dla uczniów, zapomogi ubogim, chorym i t. p.

Ś. p. Jelski, ująwszy w młodości pióro, przez lat 60 nie wypuszczał go z ręki. Przy ogromnej łatwości pisania, pisał w kwestyach najrozmaitszych i należał do

rzędu najpłodniejszych u nas pisarzy lat ostatnich. W młodości pisywał cięte wiersze, (podpisując pseudonimem Juwenalisa) jak np. wstępny wiersz do № 1 „Kolców“ (warszawskich), humorystycznego pisma w latach siedmdziesiątych. Do poważniejszych prac Jelskiego należy kilka dzieł historycznych, a pośród nich „Rys dziejów gospodarstwa krajowego, w zestawieniu z obyczajami narodu od czasów pierwotnych aż do ostatnich“ (Tomów 2) w którem ostro wykazywał grzechy możnowładctwa i szlachty, czem ściągnął na siebie ostrą krytykę i niechęć. Dzieło to, w które autor włożył nie mało pracy i erudycyi, dziś należy podobno do rzadkości bibliograficznych. Napisał kilka historycznych monografii dotyczących historyi krajowej, gospodarstwa i przemysłu, pisał biografie zasłużonych ludzi. Uczestniczył w kilku poważniejszych naszych wydawnictwach jak naprzykład w „Encyklopedyi rolniczej“, a szczególnie w „Słowniku geograficznym“. Największy jednak dział pracy stanowią przez lat 50 pisane artykuły, korespondencye do gazet i oddzielne broszury, mające charakter kroniki miejscowej, co z łatwością mógł czynić autor, wybornie znający kraj i mający w różnych stronach obszerne stosunki. W dziale tym występował ś. p. Aleksander jako moralizator społeczeństwa i ten epitet sam szczególnie cenił. Współpracował przez długie lata w petersburskim „Kraju“, „Gazecie Polskiej“, „Wieku“, „Gazecie Warszawskiej“ (za redak. Lesznowskich), „Gazecie Handlowej“, „Tygodniku Ilustrowanym“ i innych, pisał też artykuły podobnej moralizatorskiej treści w rozmaitych kalendarzach i w wydawnictwach ludowych i broszurach.

Miłując lud białoruski, pośród którego się urodził, gorąco współczując jego doli i odrodzeniu się języka. Władając dobrze jego mową, pisał wiersze, powiastki i artykuły pouczające, czy to przeciw pijaństwu, wychodźctwu do Ameryki, o oszczędności i t. d. Przetłumaczył „Pana Tadeusza“, i pamiętam z jakim uczuciem cytował mi niegdyś z niego całe ustępy. W końcu niniejszego życiorysu podaję dorywczo zebrane niektóre z prac Jelskiego z okresu największej płodności od 1873—1907 r., przypadającego na wiek autora od 39 do 73 lat.

W publicystycznych swych artykułach treści moralizatorskiej Jelski podnosił nieraz kwestye drażliwe, chłoszcząc wady i występki sąsiadów, przeciw zbytkom, hucznym balom, które szyderczo nazywał tańcami szatańskimi na grobie ojczyzny, oburzał się na marnotraw-

stwo, wiodące do upadku własności ziemskiej, na frymarczenie ziemią której ogromne obszary przechodziły w niepowołane lub w obce ręce; sprzedawczyków takich nazywał zdrajcami, piętnował ich, a mając za sobą słuszność i odwagę cywilną, występował zawsze z otwartą przyłbicą, wymieniając fakty i ludzi — i podpisując artykuły swem pełnem nazwiskiem. Bano się Jelskiego, miewał niechętnych w pewnych sferach i zakątkach ziemiańskich, musiał pisać polemiki, odpowiadać nieraz na obrazy i napaści. Nie zrażał się tem jednak, z goryczą i boleścią odpowiadał swem ciętem piórem, przytaczał argumenty i dowody i nieustraszony szedł dalej drogą, którą mu wskazywało poczucie obywatelskie. Bądź co bądź wpływ to miało niemały na całe społeczeństwo kresowe; z czasem przyzwyczajono się do tego „dziwaka“ i do „starczego nałogowego gderania“, lecz z niem się liczono. Z latami, z utratą swych najbliższych, ze śmiercią rówieśników i wyjazdem z prowincyi młodszych ludzi myśli i pióra dla pracy na szerszym widnokręgu, ś. p, Aleksander na starość musiał się czuć opuszczonym. Ruch społeczno-literacki w latach ostatnich,ześrodkowujący się w Wilnie i ściągający pracowników z Królestwa, mało wpłynął na ożywienie wsi, tylko Jelski, samotnie stojący na swej placówce obronnej, jak rycerz kresowy, wytrwał do końca.

Do wiadomości o pracy obywatelskiej, społecznej i literackiej ś. p. Aleksandra należy dodać, że z lat młodych był skrzętnym zbieraczem pamiątek historycznych, gromadził książki, co z latami przeszło w namiętność. Zasługą więc wielką nieboszczyka pozostanie, że kiedy padały dwory i dworki na Litwie i rozpraszały się pamiątki rodzinne, dawne księgozbiory, archiwa familijne ze starymi dokumentami, aktami, dyplomami, nadaniami i przywilejami królewskimi, on skupował nieraz już z rąk drugich lub trzecich, od żydów, drogo za nie płacąc, i w ten sposób ochraniał od zagłady. Stopniowo więc przyszedł Jelski do poważnych zbiorów. W nich osobny dział stanowią notatki, zapiski, różne korespondencye odnoszące się do spraw, ludzi, rodzin i wydarzeń osobno w setkach tek związanych i ponumerowanych, mających wysoką wartość historyczną dla kraju, które przyszły badacz dopiero należycie oceni. Część pamiątek historycznych ś. p. Jelski ofiarował Krakowowi, gdzie też znalazły bezpieczne schronienie. Prace i zasługi społeczne i naukowe zmarłego zyskały mu wielkie uznanie, był on członkiem

licznych towarzystw naukowych, a w ich liczbie komisyi historyi sztuki Akademii Umiejętności w Krakowie.

Jakim był Jelski zapalonym zbieraczem i na ile jako taki był wyzyskiwanym, opowiadał mi Gloger przed wielu laty. Razu pewnego, odwiedzając swego teścia w Zamościu, zpowrotem wstąpił do Wilna i zaszedł do znanego antykwaryusza, gdzie znalazłszy stary dokument chciał go nabyć, lecz sprzedający żądał zbyt wygórowanej ceny. Zrażony, po długim targu, Gloger odmówił się od nabycia, mówiąc, że chyba nikt nie da więcej. Handlarz, nie wiedząc o stosunku łączącym Glogera z Jelskim zawołał: „Na pewno znajdzie się taki głupi co kupi, choćby np. Jelski“. Nie omylił się, gdyż w kilka dni potem Gloger dowiedział się z listu teścia, że nabył od antykwarusza dokument za wycenioną przez niego kwotę?

W młodości ś. p. Aleksander hołdował ideom wolnomyślnym i sympatyzował ze szkołą t. z. pozytywną warszawską, lecz prędko się z nią rozstał i niebawem wyrobiły się w nim pojęcia i zapatrywania stałe, którym pozostał wiernym przez całe życie. Był on głęboko wierzącym katolikiem, nie wdawał się w filozofię, wierzył po prostu, rozczulała go modlitwa, śpiew ludu i strona obrzędowa. Wierzenia swe katolickie nierozerwalnie łączył z polskością i demokratyzmem. W Zamościu w domu miał kaplicę, w której ksiądz od czasu do czasu mszę odprawiał. Po r. 1863 kaplica została zamkniętą i tylko po latach przeszło czterdziestu zdecydował się ś. p. Jelski na jej otwarcie. Z okolic spieszy lud strapiony do kaplicy, aby się modlić, a przy braku najczęściej kapłana, sam gospodarz przewodniczył modlitwie i śpiewom nabożnym; kto choć raz widział tego siwego jak gołąb starca, czy to podczas nabożeństwa w kaplicy, lub modlącego się na grobie ukochanej żony, w ekstazie religijnej, ten musiał uczcić jego gorącą wiarę.

W religijności i przywiązaniu Jelskiego do katolicyzmu, nie było żadnego fanatyzmu, jednostajnie życzliwie traktował innych wyznawców i szanował ich wierzenia, czy był to schyzmatyk, żyd lub protestant.

Słowo u niego zwykle szło z czynem. Rozpoczynał dzień roboczy i kończył go głośną modlitwą. Był purytaninem w całem tego wyrazu znaczeniu. Nigdy nie pozwalal sobie na zbytki. Przez całe życie nie palił, nie grał w karty i nie używał żadnych napojów. W wielkie święta częstował gości miodem własnego wyrobu. Od lat wielu prowadził życie bardzo wstrzemięźliwie, prawie klasztorne.

Skromny w jedzeniu, w swych wymaganiach ograniczał się *do minimum*, zadawalniając się przeważnie wyrobami własnymi wiejskimi. Z domownikami był stosunek w Zamościu przyjacielski, patryarchalny. W całej postaci Jelskiego wylanej jakby ze spiżu, a wykończonej we wszystkich swych częściach, było coś niedzisiejszego, jakby typ szlachcica polskiego naszej najświetniejszej epoki XVI w., z czasów Reja i Kochanowskiego.

Całe otoczenie, jakie stworzył sobie ś. p. Aleksander w Zamościu, ów dwór z kaplicą, z salą portretów przodków, pokoje ze zbiorami, bibioteką — i apteczką domową, wszystko to tak żywo przypominało dawne dwory szlacheckie, dziś tylko wyjątkowe, które wytwarzały pewne życie w okolicy, będąc ogniskami kultury. W środowisku takim żył i pracował przez całe życie ś. p. Aleksander. Widzę go, zda się, i teraz piszącego przy biurku. Kto raz widział tego człowieka wysokiego wzrostu, o męzkiej, silnej fizycznej budowie, musiał go nazawsze zapamiętać. Nad szerokimi barczystemi ramionami wznosiła się mocno zbudowana głowa, z twarzą o żywych i bystrych oczach, malujących niezwykłą siłę woli i energię. Budowie tej krzepkiej odpowiadały żywe i prędkie ruchy, mowa prędka i temperament łatwo się zapalający do czynu. W obcowaniu szczery i przyjacielski, przy urodzonej delikatności, łatwo zyskiwał zaufanie i podbijał serca. Takim go poznałem przed blizko trzydziestoma laty i takim pozostał do śmierci. Zawarta między nami znajomość przetrwała lata całe w nieprzerwanej wciąż korespondencyi, czy to na Ukrainie, czy przez długi szereg lat spędzonych we wschodniej Syberyi, gdzie każda wieść z kraju była nam drogą podwójnie, a pan Aleksander informował o kraju i jego stosunkach. Później podtrzymywaliśmy korespondencyę, gdym zamieszkał w Krakowie, a kiedy okoliczności zmusiły przebywać od lat paru w Petrogradzie, trwała ona i tu aż do nieoczekiwanego zgonu.

W listach swych ś. p. Aleksander zwykle był pesymistycznie nastrojony co do spraw krajowych, nie widząc dla nas żadnego przebłysku nadziei. Wojna podniosła go na duchu, uwierzył, że nakoniec sprawiedliwości stanie się zadość i że po półtorastu latach cierpień i katuszy nadejdzie wreszcie dzień zmartwychwstania. Niestety, dnia tego nie sądzonem było mu doczekać.

Żywot ś. p. Aleksandra, to życie człowieka cnotliwego, obywatela bez skazy, wielkiego patryoty, bojowni-

ka za prawdę, który kochał ludzi, chciał ich szczęścia; osobiście dla siebie nie żądał niczego, ani honorów, ani pieniędzy, pracował dla idei, uważając to za swój obowiązek. Był on tem rzadszym wśród nas człowiekiem, że w nim w połączeniu występowały dwa pierwiastki: idealny z praktycznym, tworząc skończoną całość.

Nie czas i nie miejsce dziś jeszcze poruszać wiele szczegółów z działalności ś. p. Jelskiego, uczyni to chyba przy okolicznościach odpowiedniejszych przyszły jego biograf, a materyały znajdzie w pozostałych po Nim papierach i korespondencyach, wtenczas zasługi i niezwykła postać nieboszczyka, uwydatni się jeszcze bardziej.

Żyjąc nieustannie w trosce o los swego narodu, a mając wszystkie myśli zwrócone w tym kierunku, ś. p. Jelski uważał, że ziemia, na której się urodził i pracował, a którą tak ukochał, jest drobną cząstką ojczyzny, niepokoił się często o jej przyszłość czy nie stanie się, ona dobyczą obcych, a zbiory czy nie rozproszą się po świecie? Niewątpimy w to, że obywatelskie poczucie spadkobierców potrafi uszanować wolę i pamięć Ojca i dziada.

Lecz droższą po nad wszystko spuściznę zostawił ś. p. Jelski swym sukcesorom: nieposzlakowane imię i cześć społeczeństwa, które na długo przeżyją go na Litwie!

NIEKTÓRE PRACE ALEKSANDRA JELSKIEGO W JĘZYKU POLSKIM I BIAŁORUSKIM OGŁOSZONE OD R. 1885—1907.

— Monografia Mińska (Niwa 1873).
— Uwagi o Pszczelnictwie. 1874.
— Pogląd ogólny na stosunki ekonomiczne w Guberniach Zachodnich.
— Wycieczka do Szczors. 1880.
— O manii tytułów u nas. 1881.
— O kwestyi czynszowej na Litwie. 1883.
— Kwestya Konstytucyi w Guberniach Zachodnich. 1884.
— Uwagi w kwestyi włościan, a mianowicie, jak było u nas, a gdzieindziej. Warszawa, 1884.
— O gwarze białoruskiej. 1885.
— Piwo i piwowarstwo.
— Zbiór przypomnień, legend, zabobonów, bajek i t. d. białoruskich.

— Słowniczek gwary żebraczej na Białej Rusi.
— Rys dziejów gospodarstwa krajowego w zestawieniu z obyczajami narodu od czasów pierwotnych aż do ostatnich. T. I-II. Kraków. 1895.
— „Synok". Razkaz z prawdziwego zdarzennia, usim baćkam i dzieciam dla piarastrogi. Pburg. 1895.
— Wiadomość historyczna o pasiarni Radziwiłłowskiej w Słucku. Kraków. 1895.
— Hrabia Emeryk Hutten Czapski, wspomnienie pośmiertne. Kraków. 1896.
— Wybierajma sia u proczki, skarej u Tomsk. Pburg. 1896.
— Zarys obyczajów szlachty, w zestawieniu z ekonomiką i dolą ludu w Polsce i Litwie. Kraków 1897/8.
— Ś. p. Joanna z Szafnaglów Księżna Radziwiłłowa. Pburg 1899.
— Karciarstwo i w ogóle gry i zabawy hazardowe u nas w świetle tradycyi i literatury ojczystej. Pburg. 1899.
— W sprawie oficyalistów gospodarskich. Pburg. 1899.
— Wiadomość historyczna o fabryce szkieł i zwierciadeł ozdobnych w Urzeczu Radziwiłłowskim na Litwie. Kraków 1899.
— Dominik Moniuszko (1788—1843) z portretem. Kraków 1900.
— Co to jest zbytek w ogóle i jak się przedstawia u nas, w świetle tradycyi narodu i literatury ojczystej. Pburg 1902.
— Nasze dotychczasowe wystawy rolnicze i istotne ich przeznaczenie w przemyśle gospodarskim. Pburg. 1903.
— „Wiankowania" i w ogóle marnotrawstwo żałobne u nas. Pburg. 1903.
— Znaczenie sławy ludzkiej ze stanowiska chrześcijańskiego. Warszawa 1905.
— Tytuniarstwo. Pburg. 1906.
— Sylwetki zasłużonych niewiast polskich z nad Niemna, Dniepra i Dźwiny. Wilno 1906.
— Świętość własności ziemskiej w obec projektowanego wywłaszczenia. Pburg 1906.
— Dzieje dyecezyi Mińskiej w zarysie. Mińsk 1907.

Julian Talko-Hryncewicz.

Peitrograd.
W dzień Niebowzięcia N. P.
15/28 Sierpnia 1916.

Józef Raciborski.

MATERYAŁY I POSZUKIWANIA.

Listy prywatne króla Stanisława Augusta i cesarza Aleksandra I do Stanisława Grabowskiego.

(Ze zbiorów rodzinnych hr. Grabowskich).

Stanisław hr. Grabowski urodzony w roku 1780 zmarły w roku 1841, był synem króla Stanisława Augusta z morganatycznego małżeństwa z Elżbietą z Szydłowskich, córką Teodora, kasztelana mazowieckiego[1]) a wdową po Janie z Konopnicy Grabowskim, herbu Topór, niegdyś marszałku konfederacyi słuckiej i pułkowniku regimentu Ogińskiego, mianowanym przez Stanisława Augusta jenerał-maiorem wojsk litewskich oraz komendantem przybocznej gwardyi królewskiej[2]).

Ze stosunku Elżbiety Grabowskiej z Poniatowskim urodzili się, jak świadczą Niemcewicz i Bartoszewicz, dwaj synowie: Michał i Stanisław. Do śmierci zaś Jana Grabowskiego (prawdopodobnie w r. 1784) król usankcyonował długoletni związek z pozostałą wdową ślubem tajemnym, pobłogosławionym, wedle tradycyi, przechowanej w rodzinie Grabowskich, przez biskupa Albertandi'ego, potwierdzenia jednak faktu tego we współczesnych księgach kościelnych nie znajdujemy.

Starszy syn Poniatowskiego a imienny Jana Grabowskiego, urodzony w roku 1773, po ukończeniu nauk w akademii wileńskiej wysłany został do Strasburga w celu wykształcenia się w dziedzinie militarnej; po powrocie

---

[1]) Chorąży Teodor Szydłowski, ożeniony z Teresą z Witkowskich, kasztelanię mazowiecką otrzymał od Stanisława Augusta.

[2]) Jan z Konopnicy Grabowski był rodem z Litwy, jako marszałek konfederacyi Słuckiej otrzymał order Aleksandra Newskiego i 100,000 złp., którego to daru nie przyjął. Schwytany przez Barskich konfederatów w Sielcach pod Warszawą w r. 1770 uwolniony został w skutek odezwy ambasadora rosyjskiego Wołkońskiego. Zmarł w roku 1784.

do kraju odbył w randze majora 5 pułku piechoty kampanię w 1792 roku, poczem mianowany został osobistym adjutantem króla.

Postrzał otrzymany w Warszawie w roku 1794 uniemożliwi mu wstąpienie do szeregów Kościuszki. W roku 1807 na czele własnego pułku piechoty odbył część kampanii; w roku 1808 mianowano go jenerałem brygady, w roku zaś 1815 biorąc udział w kampanii rosyjskiej Napoleona, w dniu 17 Sierpnia zginął śmiercią walecznych pod murami Smoleńska[1]).

Drugi z synów Stanisława Augusta, młodszy brat Michała, Stanisław Grabowski, przed powstaniem Kościuszki z polecenia króla wysłany został wraz z matką pierwotnie do Jarosławia w Galicyi a następnie do Rzymu, gdzie kształcił się i gdzie dzięki wpływom królewskim. w ósmym roku życia przyjęty został przez ówczesnego Wielkiego Mistrza Rohana w poczet kawalerów maltańskich.

Po ostatnim podziale Polski, Stanisław powrócił wraz z matką do kraju.

Otwarte salony domu pani Grabowskiej w okresie rządów pruskich gromadziły w Warszawie bardzo liczne i wykwintne towarzystwo[2]). Za Księstwa Warrszawskiego Stanisław rozpoczął służbę publiczną w charakterze sekretarza rady ministrów po ustąpieniu zaś Stanisława Poniatowskiego od roku 1821 do roku 1832 był ministrem oświaty Królestwa Kongresowego. Do tego też okresu odnieść należy osobisty stosunek, wiążący go z Aleksandrem I, któremu zwykle, w czasie pobytu w Łazienkach, towarzyszył w codziennych przechadzkach. Za namiestnictwa Paskiewicza powołany został, jako senator i przewodniczący w najwyższej komisyi egzaminacyjnej do rady stanu, piastował również godność członka rady administracyjnej, generalnego kontrolera, przewodniczącego w izbie obrachunkowej oraz prezesa umorzenia długu krajowego[3]). Zmarł w r. 1841, w Warszawie, pogrzebany w podziemiach katedry św. Jana, jak świadczy poświęcony pamięci zmarłego napis na pomniku, umieszczonym wewnątrz kościoła.

---

[1]) Jenerał Michał Grabowski w czasie kampanii Napoleona idącego na Moskwę zaliczony był do 5 korpusu wielkiej armii.

[2]) Elżbieta z Szydłowskich Grabowska urodzona około roku 1748, zmarła w r. 1810.

[3]) Losy córki Elżbiety i Jana Grabowskich, Aleksandry, dostarczyły tematu Skarbkowi do powiści: „Narzeczona Odebrana“ oraz J. J. Kraszewskiemu do powieści: „Dyabeł“.

Listy oryginalne króla Stanisława Augusta, pisane da młodego naówczas Stasia Grabowskiego, które in extenso podajemy, rzucają dużo światła na wzajemny stosunek. Kreślone są pięknem, wyraźnem pismem króla z charakterystycznym monogramem liter S. A. P. (Stanisław August Poniatowski)[1]. Adres pisany jest ręką inną, zapewne przybocznego sekretarza, podobnie jak i list Poniatowskiego do księdza Malinowskiego, posiadający tylko własnoręczny podpis królewski.

Korespodencya ta, łącznie z listem osobistym cesarza Aleksandra I, pisanym do Grabowskiego, będącego wówczas ministrem Królestwa Kongresowego, oraz nominacya ośmioletniego Stanisława na kawalera maltańskiego z podpisem wielkiego mistrza Rohana, wywiezione zostały z kraju przez zamieszkałego obecnie w Smoleńsku prawnuka ministra Gustawa hr. Grabowskiego, obywatela z ziemi Siedleckiej, którego uprzejmości zawdzięczam możność zapoznania szerszego ogółu z cennym tym przyczynkiem historycznym.

Urodzonemu Stanisławowi Grabowskiemu

Wiernie Nam miłemu.

8 Maji 1788

„Ośmioletniemu Obywatelowi, tym wdzięcznieyszym Sercem dziękuię za Jego dobre dla Mnie życzenia, iż nie wątpię o szczerości onych.

Naymilszym mi zaś od Niego wiązaniem będzie, gdy On, tak iak iuż pięknie zaczyna, trwać będzie w posłuszeństwie dla Rodziców y applikacyi do Nauk.

Do postępku w tych, wkrótce dodawać Mu będę Xiąg nayprzyzwoitszych, a tym czasem na pamiątkę dzisieyszego dnia posyłam Mu Obrazek, w którym zapewne pozna kilku dobrych przyiaciół Swoich“.

A Monsieur le Chevalier

Stanislas Grabowski à Rome

„Z Białego Stoku 30 Maji 1793“

„Mon Stasiu. Powinszowanie Twoie Imienin moich w Liście Twoim de 8 Maji wielce mi jest przyjemne.

---

[1]) A może S. A. R. — *Stanisław August Rex* lub *Stanislaus Augustus Rex.*

Dziękuje Ci za nie z Serca. Niech Ci Bóg da wszystko dobre. Kłaniay nayuprzeymniej odemnie JP. Staroście Warszawskiemu y Xiędzu Madalińskiemu".

„Z Warszawy 8 Stycznia 1794"

„Móy Stasiu. List Twóy de 1. xbris prawdziwie mię ukontentował. Bo w nim widzę, y dobre Serce Twoie, y chęć przypodobania się mnie, iuż to przez applikacyą we wszystkim, a mianowicie przez formowanie dobrego charakteru w piśmie: co nie trzeba mieć za rzecz małą. Miło mi iest słyszeć dobre o Tobie świadectwa. Niech tak zawsze będzie!

Niczym Mi lepiey swoiey nie okażesz wdzięczności, iakgdy zawsze będziesz cnotliwy, bogoboyny, w pożyciu słodki, a w naukach pilny.

Dziękuię Ci za Twoie dobre dla mnie życzenia. Azalisz przecie kiedy będą spełnione. Bardziei niż kiedy trzeba Boga prosić żeby się nad nami zlitował.

J. Panu Staroście Warszawskiemu serdecznie kłaniay odemnie, y xiędzu Malinowskiemu. Schönmerla pozdrów. — Niech Ci Bóg da wszystko dobre. Tego Ci z serca życzy".

„Z Grodna 31 Maji 1794"

„Mon Stasiu. Dziękuie Ci za twóy Listek de 22 Aprilis. Bardzo mie to cieszy, że się dobrze uczysz: co mnie tu dochodzi z różnych wiadomości. Xiędzu Madalińskiemu kłaniay odemnie.

Radością będzie wielką, gdy Cię będę mógł uściskać osobiście lepiey iak teraz listownie".

A Monsieur Le Comte Stanislas Grabowski,

Chevalier de Malthe à Rome

„Grodno de 15 Januaris 1795"

„Móy Stasiu! Jako z ukontentowaniem odebrałem Twóy list de 10 xbris, tak z Serca wzajemnie Ci życzę wszelkiego szczęścia i ukontentowania nie tylko w tym Roku, ale y na całe życie; a do tego przykładać się z moiey strony iest i będzie zawsze dla mnie satisfakcyą. Xiędza Malinowskiego pozdrów z serca ode mnie".

„Vale et me Ama".

A Monsieur le Chevalier de Maltha
Stanislas Grabowski à Rome.

„Z Grodna d. 13 Stycznia 1796".

„Móy Stasiu! Wdzięcznym Sercem odebrałem list W. Pana de 18 bris, i wzajemnie W. Panu wszelkich życzę pomyślności na rok teraźniejszy i następnych wiele, tym chętniej, że dochodzą iednostayne świadectwa o grzeczności y cnotliwcy applikacyi W. Pana. — Dobrze iest, że W. Pan słyszę y z Greckim językiem chcesz się teraz obeznać.

J. X'ędza Madalińskiego pozdrawiam z Serca równie jako y W. Pana. Niech Wam Bóg wszystko dobre daje".

„Z Grodna dn. 30 9-bris 1796".

Mości Xięże Madaliński! W Liście W. Pana de 17 8-bris który Mi dziś dopiero iest oddany, wyczytuję, z ukontentowaniem y wdzięcznością wyrazy przywiązanych do mnie W. Pana sentymentów.

Móy dla W. Pana szacunek pomnaża się we Mnie widząc owoc starań y pilność W. Pana w Osobie, przymiotach y wcale przystoynych postępkach J. Pana Stanisława Grabowskiego.

Iak tylko uwiadomił Mię J. Pan Michał Grabowski o skłonnych dla W. Pana oświadczeniach X-cia Biskupa Krakowskiego, tak zaraz napisałem do Niego list usilnie go prosząc, aby W. Pana umieścił in gremio Kapituły Krakowskiey tak, ażeby decus et emolumentum stały się W. Pana udziałem i upewniły los dalszego życia W. Pana.

Gdy okoliczności tuteysze niedozwoliły W. Panu przybycia do mieysca tego, y uięły Mi ukontentowanie miłego z W. Panem powitania, niech ninieyszy Móy wyraz listowny zapewnia W. Pana o szczerym dla Niego affekcie Moim, w którym Mu od Boga wszelkich z Serca życzę pomyślności.

Petersburg 28 aout/8 br. 1707.

„Mon Stasiu. Votre lettre du 10/21 aout m'a vraiment touché. Soyez porte ne se dementira jamais, si Vous continuez à marcher dans la Voie, de la Vertu et de l'application comme d'autant, plus, que je vois avec satisfaction, la tendresse et la diference c'est le plus animable Mentor que I'Vous puissiez avoir.

Ne Vous deroyez pas sur la Religion! Suivez, et n'oubliez jamais les Directions que l'abbé Poczobut Vous donnera la dessus. Dite (sic!) Lui, les plus tendres Amitiers (sic!) de ma (sic!) part. Vale et me Ama.

„A Monsieur le Comte Stanislas Grabowsky
Minister des Cultes et de l'Instruction".

„A mon grand regret Monsieur le Comte, il faut renoncer à nos projets de promenade.

Il vaut mieux le remettre à un jour ou il fera un tems (sic!) plus agréable. Recevez l'assurance des Sentimens distingues que je vous porte" Alexander.

Lundy Matin.

Koperta listu posiada odnotacyę treści np.:

„Cette lettre écrite signée et adressée de la matin de l'Empreur Aleksandre et dâtu de Lazienki le Lundi 6 join 1825."

Nominacya ośmioletniego naówczas Stanisława Grabowskiego na kawalera maltańskiego.

Magister Hospli. Hierlem S-t. Sepulchri Dmci, et S-t. Anton. Viensie.

Venerable très cher et bien aimé grand-prieur. Le Roi nous ayant fait connaître le désir qu'il aurait de voir au nombre des Pages destinés au service de notre personne noble Stanislas Grabowsky, fils de noble . . . . et de Dame . . . . c'est avec beaucoup d'empressement que nous lui accordons cette préférence. —

En conséquence nous vous recommandons de ne faire aucune difficulté — d'assembler extraordinairement votre Chapitre, en quelque tems que ce soit et aussitôt que vous en serez requis, tant pour lui donner des Commissaires que pour revoir les preuves de sa légitimité et noblesse, pourvu qu'il ait auparavant fait constater d'avoir l'âge d'onze ans prescrit par nos statuts. Sur ce nous prions Dieu qu'il ait votre V-ble personne en sa sainte garde. —

à Malte ce 2 août 1788. „rohan"

L. V-ble grand prieur de Pologne ou son Lieutenant.

ROZBIORY i SPRAWOZDANIA

— Eugeniusz Starczewski. „Nasze sprawy". Księgarnia Leona Idzikowskiego. Kijów 1916.

Piękne tradycye ma za sobą nasza literatura polityczna: tradycye często wysokiego lotu myśli, a zawsze niezachwianej prawości, troski o dobro powszechne i wytrwałej, wiernej służby Rzeczypospolitej. Począwszy od Ostroroga i Modrzewskiego, skończywszy na pisarzach politycznych drugiej połowy w. XIX i tych, których działalność przypada już na początek XX stulecia, długi szereg publicystów w najlepszem, najwznioślejszem tego słowa znaczeniu ustalił typ pisarza politycznego polskiego. To też ilekroć zjawia się nowe dzieło, poświęcone naszym sprawom politycznym i społecznym, bierzemy je do rąk ze wzmożoną, pełną wzruszenia ciekawością, czy też idzie ono po tej samej linii rozwojowej, czy dorzuca do gmachu polskiej myśli politycznej cegiełkę z tego samego szlachetnego kruszcu, czy jest godne wielkiej spuścizny wielkich ojców naszych?

P. E. Starczewski, autor „Naszych spraw", ma już za sobą prace, które zapewniają mu poczesne miejsce wśród publicystów współczesnych. Nie zapewniłaby mu tego stanowiska z pewnością pierwsza (o ile wiemy) książka jego p. t. „Ewolucya przeszłości", bo obok wielu pierwiastków, które w późniejszej swej pracy publicystycznej rozwija p. Starczewski z pożytkiem dla społeczeństwa, były tam rzeczy, których nie znajdujemy, na szczęście, w lepiej przemyślanych pismach późniejszych, a które na wartości tamtej książki odbiły się ujemnie. Ale „Sprawa Polska" była już jednem z rzadkich w literaturze naszej zjawisk—pracą poważną i zakresem przedmiotu, i rozmiarami i wartością wypowiedzianych tam myśli. Obok „Zagadnień polityki narodowej" ś. p. Milewskiego, „Dokąd nam iść wypada?" ś. p. Dzieduszyckiego,

„Niemiec, Rosyi i sprawy polskiej“ R. Dmowskiego i „Sprawy polskiej“ Wł. Studnickiego—zajmuje książka p. Starczewskiego należne jej miejsce.

Wymieniając te dzieła, nie chcemy bynajmniej twierdzić, żeby wartość ich była jednakowa, że z jednakim są pisane talentem, wiedzą i przenikliwością. Wręcz przeciwnie, są one bardzo różne, jak różni byli ludzie, co je pisali, i stanowiska, z których patrzyli na sprawę polską. Ale począwszy od wytwornego, a głębokiego ateńczyka polskiego — jednego z ostatnich! — Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, kończąc na nieokiełznanym szlachcicu kresowym, zaciekłym, nieraz wprost warcholskim p. Wł. Studnickim — wszyscy oni mają te same cechy, któremi tak chlubnie odznaczyła się w ciągu pięciu wieków nasza literatura polityczna, a nawet rozwiązania najogólniejszych, podstawowych zagadnień życia zbiorowego szukają w jednym zasadniczo kierunku. Nie wiem, jak w innych dziedzinach—wierzę, że i tam jednolitość duszy narodowej na przestrzeni stuleci zaznaczyła się również—ale może nigdzie ta jedność nie występuje tak uderzająco, nigdzie nie jest tak wymowna, jak w dziedzinie myśli prawnej, społecznej i politycznej.

Po obszernej, nieukończonej jeszcze monografii historyczno-politycznej p. t. „Możnowładztwo polskie“, ukazują się „Nasze sprawy“; rzecz to niewielka rozmiarami, składa się z dziesięciu artykułów niejednakowej wartości, nosi na sobie—jak to sam autor w przedmowie zaznaczył—piętno pracy okolicznościowej, przygodnie pozostałego zbioru, ale to nie przeszkadza jej być wyrazicielką tych samych haseł, tej samej tradycyi; a to tembardziej, że autor wysoko ceni to, co zostało nam przekazane jako wyraz naszego rozwoju narodowego i słusznie pragnie miłość wielkich ideałów, urzeczywistnionych w naszej historyi, wpoić we współczesnych. „Te ideały—to wolność osobista, wolność przekonań, tolerancya religijna, równouprawnienie narodowościowe“ (str. 20 „Czem jest polskość?“); sprawiają one, że najobjektywniej rzecz biorąc „polskość—to zaszczyt“; idzie o to, by należycie ocenić pierwiastki, któreśmy do ogólnego dorobku ludzkości wnieśli, gdyż inaczej „możemy łatwo im się sprzeniewierzyć, nawet bezwiednie i pomimo woli“.

Największym rozmiarami i najważniejszym jest szkic p. t. „Przyszłość Polski“. Rozważa zaś autor to zagadnienie pod względem cywilizacyjnym, państwowym, społecznym, ekonomicznym, umysłowym, wreszcie życia pub-

licznego. Podkreślając, że stanowimy indywidualność cywilizacyjną, widzi autor konieczność pielęgnowania tego, co o naszej indywidualności zbiorowej stanowi, uwydatnia rolę katolicyzmu, który zrósł się z polskością, podnosi potrzebę czynnej miłości ojczyzny. Pod względem państwowym przestrzega przed marzeniami „by wszystkie nasze postulaty zostały spełnione za jednym zamachem“ (str. 37). W chwili obecnej najważniejsze jest wpoić w opinię Europy pewność, że na nowe podziały nie pozwolimy, dążyć zaś do skupienia dokoła Królestwa Kongresowego innych obszarów etnograficznie polskich. Kryteryum etnograficznego broni autor przekonywająco, a idzie tak daleko, że każe nam protestować przeciwko włączaniu do państwa Polskiego terytoryów etnograficznie niepolskich nawet wtedy, gdyby ktoś nas chciał i mógł takim „darem Danajów“ uszczęśliwić (str. 42). Głosząc zasadą równouprawnienia narodowości w przyszłej Polsce, domaga się autor takiegoż równouprawnienia dla Polaków na Litwie i Rusi, jako dla ludności rdzennie miejscowej, która nie chce narzucać się na przewodniczkę współżyjącym z nią na temże terytoryum narodowościom, ale nie może pozwolić na to, by ją uznawano za obcego, przybysza, i traktowano prawami wyjątkowemi.

W kilku wierszach zastanawia się autor nad przyszłym ustrojem państwowym Polski. Rzecz znamienna, że postulaty organizacyjne nie uległy zmianie od czasów Konstytucyi 3 Maja, ba! od czasu nawet kazań sejmowych Skargi. „Konstytucya z silną władzą wykonawczą, z dynastyą pochodzenia niepolskiego, z systemem parlamentarnym niezbyt rozwiniętym, t. j. nie dającym pola do zbytniego politykowania i gadania, z samorządem rozległym, ale nie prowadzącym do zbytniej decentralizacyi i z sądownictwem nie obieralnem, ale dożywotnio mianowanem przez władzę centralną“ (str. 45), słowem, zbliżona do konstytucyi 1815 r. wydaje się autorowi najodpowiedniejszą. I trzeba uznać, że autor ma słuszność; samo powtarzanie tych postulatów przez tyle wieków dowodzi, że oparte są one na głębokiej znajomości naszego charakteru narodowego. Twarda szkoła, przez którą przeszliśmy w ciągu lat 120, sprawi zapewne, że spotkają się one z powszechniejszem uznaniem, niż za czasów Sejmu Czteroletniego i wcześniej, a nawet powiedzmy to także—za czasów Królestwa Kongresowego.

Mówiąc o budowie społecznej Polski, podkreśla autor

nienormalne położenie, jakie dla niej wytwarzają żydzi na miejscu polskiego stanu trzeciego. Energiczna praca nad uniezależnieniem naszego życia gospodarczego od żydów jest jednym z najważniejszych postulatów autora, dalekiego przecie od bezkrytycznego antysemityzmu. W związku z perspektywami rozwoju ekonomicznego Polski po wojnie (polepszenie pod względem politycznym, pogorszenie pod względem ekonomicznym) przewiduje autor wielką emigracyę żydów i złagodzenie kwestyi żydowskiej; niemniej charakterystyczny—i w zasadzie słuszny jest projekt, by w reprezentacyach miejskich uwzględniać przedstawicielstwo powiatów i województw i to w znacznej liczbie (50 proc.), co usunęłoby niebezpieczeństwo rządzenia miast naszych przez żywioły niepolskie, przedewszystkiem przez żydów (str. 41).

Patryotyzm ekonomiczny, wcielenie zasady „swój do swego“ do katechizmu naszego życia codziennego, szerzenie kooperacyi, oszczędność w życiu prywatnem, obok rozumnej polityki ekonomicznej państwowej i samorządowej, szerzenie gruntownej wiedzy zawodowej—to postulaty gospodarcze, rozwijane przekonywająco, choć z konieczności bardzo ogólnie. Rozważania nad przyszłemi ugrupowaniami partyjnemi zamykają ten szkic, który ma tę przedewszystkiem zasługę, że stawia na porządku dziennym naszej dyskusyi niemal całokształt zagadnień, które wkrótce już domagać się będą samodzielnego, w duchu naszych najlepszych tradycyi dziejowych i dobrze zrozumianego postępu, rozwiązania.

Następny z kolei artykuł, zatytułowany: „Samowystarczalność“, omawia widoki naszego rozwoju gospodarczego, podkreślając konieczność możliwie największego uniezależnienia się od obcych. P. Zofia Daszyńska-Golińska pisała przed paru laty o „samodzielności gospodarczej“ Polski; tytuł jej książki w dobrej polszczyźnie doskonale odpowiadał idei, która była przedmiotem studyów utalentowanej ekonomistki naszej. W roku ubiegłym p. S. Piekarski, pisząc na ten sam temat w „Prawdzie“ warszawskiej, użył w tytule swego artykułu słowa: „samostarczalność“; l e m o t f i t f o r t u n e i w dyskusyi, przeprowadzonej w petrogradzkiem Tow. Prawników i Ekonomistów, używano już słowa: „samowystarczalność“. Tymczasem słowo to, jest utworzone w różnie sprzeczny z duchem języka sposób, jak „światopogląd“, „samookreślenie“, „samokrytyka“, „samoopluwanie“ i t. d.; powinniśmy też zapomnieć o niem co rychlej i powrócić do samo-

dzielności“, „niezależności gospodarczej“, która tę samą ideę oddaje. Autor wogóle dba o czystość języka polskiego i z tej dbałości powstał nawet jeden krótki artykuł („Petrograd czy Piotrogród?“), w którym p. S. słusznie rozprawia się z argumentacyą „Sprawy Polskiej“, broniącej „Piotrogrodu“. Argumentacya „Sprawy Polskiej“ nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki; wprawdzie powoływanie się na autorytet spisów urzędowych ze strony autora również nie jest argumentem, ale są tam inne, i ważkie. Naszem zdaniem zresztą kwestya to nietyle języka ile różnego sentymentu, który się w używaniu tej lub innej nazwy przejawia.

Z troski o dobro publiczne wyrósł także artykuł o „Naszej prasie peryodycznej“, nawołujący do „ofiar ze swych antypatyi osobistych i partyjnych“. Jednemu z wybitnych działaczy kresowych naszych ś. p. Janowi Olizarowi, poświęcone zostało dłuższe wspomnienie pośmiertne. Wreszcie trzy artykuły („Doktrynerzy polityczni“, „Chrześcijańskie zasady polityki“, „Kto z nas bez winy?“), wymierzone są przeciwko stronnictwu demokratyczno-narodowemu, choć i w innych artykułach autor chętnie korzysta z okazyi, by przeciwko temu stronnictwu wystąpić; że przytem „daleki jest od wszelkich względów osobistych i nie podejrzywa niczyjej dobrej wiary ani miłości dobra publicznego“ (str. 8), widoczne to z całej książki; ale czy autor pozostał wiernym własnemu hasłu czynienia ofiar ze swych antypatyi partyjnych, czy nie ma nic wspólnego z zaciętością partyjną, która czyni politykę „z gruntu fałszywą, nieracyonalną i sprzeczną z polską duszą narodową“ (str. 7)? Wszystko zależy od tego, czy między autorem a atakowanem przezeń stronnictwem zachodzą istotne sprzeczności, powodując konieczność rzeczowej dyskusyi. Weźmy kilka szczegółów. Choćby stosunek etyki do polityki. Wszak oprócz twierdzeń, że podobnie jak Prusak, nasz „Polak nowoczesny“ chce uwolnić się w polityce od wszelkich skrupułów etycznych, że „antychrześcijański“ kierunek wszechpolski jest ekspozyturą systemu pruskiego, nie znajdujemy w ostatniej pracy p. Starczewskiego żadnych wskazówek, że jego własne stanowisko jest sprzeczne ze stanowiskiem atakowanego stronnictwa. Stosunki międzynarodowe? Wystarczy przeczytać to, co p. St. pisał o nich w zesz. 4 „Myśli Narodowej“ (str. 378): „prawdziwi dyplomaci i politycy znają się doskonale na właściwej wartości wszystkich tych zobowiązań miedzynaro-

dowych i liczą na nie tylko o tyle, o ila poza niemi istnieje rzeczywisty interes realny; gdy tego brak, opierać losy swego kraju na zobowiązaniach międzynarodowych mogą tylko tacy naiwni politycy, jakimi byli np. nasi przywódcy „Sejmu Czteroletniego“ (nb. inaczej o nich wypada sąd w omawianej książce na str. 106 Przyp. rec.). Tam, gdzie wszyscy grzeszą, właściwie niema grzeszników, są tylko rozumni i naiwni.“ Nie znam dobrze literatury politycznej str. dem.-nar., nie wiem więc, czy który z reprezentantów tego kierunku posunął się równie daleko w stwierdzeniu znanego faktu (nie zasady), że stosunkami międzynarodowemi rządzą interesy, nie zaś etyka. Albo np. Machiavella oni „wyznawcy zasady: siła przed prawem“ mają uważać za zbrodniarza (str. 129), gdy p. Starczewski uważa go, i słusznie, za wybitnego uczonego i patryotę: „to, co zwykliśmy nazywać „machiavalizmem“, było często najrozumniejszą polityką“ (str. 130). I znowu wystarczy przeczytać choćby umieszczone w tymże zeszycie „Myśli“ studyum o Machiavellu d-ra St. Kozickiego, przedstawiciela właśnie stronnictwa dem.-narodowego (str. 387—410), by się przekonać, że wskazywane przez p. Starczewskiego różnice nie istnieją.

Weźmy dalej kwestyę walki: „cały świat to walka pisze autor—bez niej niema życia, kończy sięona tylko z istnieniem“ (str. 123). Zdawałoby się, że w sprawie wojny idzie więc o to tylko, by te wojny ująć rzeczywiście, a nie na papierze tylko, w karby pewnych norm etycznych; tymczasem autor napiętnowawszy okrucieństwa i odmalowawszy okropności wojny, niespodziewanie przychodzi do wniosku, że „i my nie jesteśmy bez winy“, ponieważ... społeczeństwo nasze długi czas dało się powodować stronnictwu dem.-narodowemu.

W sprawie żydowskiej p Starczewski sformułował program, który, jak mi się zdaje, byłby chętnie podpisany przez atakowane stronnictwo; czyżby różnica miała polegać na tem, że to stronnictwo i p. Starczewski idą w jednym kierunku z różnych powodów: pierwszy z „prostaczego antysemityzmu“, drugi z miłości do własnego kraju?

Artykuł programowy „Przyszłość Polski“ zdaje się stwierdzać, że takich punktów stycznych znalazłoby się więcej.

Nie będziemy zatrzymywać się dłużej nad tą sprawą; jeżeli w krótkiem sprawozdaniu zdało się nam koniecznem poświęcić jej nieco miejsca, to dla dwu powodów:

po pierwsze, książka zyskałaby na utrzymaniu jej w jednym tomie i uniknęłaby zarzutu pewnego dysonansu wewnętrznego; powtóre, co ważniejsza, jeżeli istotnie w nowych, jeszcze nieznanych, ale już przewidywanych, warunkach przystąpić mamy do wspólnej pracy narodowej, jeżeli do tej pracy mają być pociągnięte wszystkie siły twórcze, wszystkie energie, to, istotnie, można to osiągnąć tylko drogą ofiar z antypatyi partyjnych. Dyskusya, polemika zawsze są potrzebne i pożyteczne; w szczególności taktyka stronnictwa, któremu poświęcone zostały tak liczne karty „Naszych Spraw", daje do niej aż nazbyt wiele istotnego materyału; ale to, cośmy ośmielili się wytknąć w ostatniej książce p. Starczewskiego, z pewnością nie zbliży upragnionej chwili zjednoczenia wewnętrznego narodu.

Dr. B. W.

— Leopold Staff. „Siew doli". Charków. Nakładem księgarni Polskiej. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1916 str. 143.

Nowy tomik Staffa czytelnik bierze w rękę z pewnem zdziwieniem i jakby niedowierzaniem. Połoniecki bowiem przyzwyczaił nas do zbiorków o ustalonym charakterze zewnętrznym. W „Siewie doli" jedynie barwa i rysunek okładki przypominają zdaleka tomy wcześniejsze. Zmiany jednak sięgają dalej—na pierwszej stronicy zaraz widnieje napis „za pozwoleniem cenzury wojennej Charków 29 maja 1916". Mimowoli rodzi się pytanie, w jakim związku może pozostawać poezya Staffa do cenzury wojennej? Widocznie jakiś jest—ostatnie utwory przechodzą w kropkowane intermezzo—a kropek nie mało. Wszystkie te nowości w dużym stopniu budzą owo, wspomniane na początku, uczucie, spotęgowane jeszcze silniej zaciekawieniem. co nam pieśniarz „Mistrza Twardowskiego" w chwili obecnej przynosi.

W którymś ze zbiorków wcześniejszych Staff girlandami refleksyi osnuł i do godności poezyi wywiódł bardzo powszednią obserwacyę o dwustronności każdej rzeczy, każdego zjawiska. Zarówno strona lewa jak prawa medalu są sobie czemś najzupełniej obcem, nie wolno

jednak zapominać, że są dwu wyrażeniami tej samej całości, że tedy rozłączyć ich niepodobna. Uwaga ta bezwzględnie narzuca się już przy pobieżnem przeglądaniu „Siewu doli“, stanowiącego antologię dwu niedrukowanych dotąd cyklów: „Ścieżek polnych“ oraz „Tęczy łez i krwi“, cyklów wyrosłych na zupełnie różnych płaszczyznach widzenia, nie mniej przeto dopełniających się do tego stopnia, że odrębnie ująć się nie pozwalają.

„Ścieżki polne“ rozpoczyna utwór, dający się dokładnie pomyśleć w ramach dotychczasowej twórczości Staffa. Twórczości opartej o dość dziwny stosunek psychiki wielkiego poety do życia. Stosunek ten, przedstawiony w sposób aż do brutalności prosty, przypomina nieco wrażenia turysty, który wieczorem dowlókł się do jakiegoś miejsca, którego uroku zmęczenie nie pozwala ocenić w całej pełni. Dopiero rankiem przed wypoczętemi oczyma odsłania się cudna, promieniami słońca wyjaśniona okolica. Nasiąknięta różowością wschodu mgła poranna osnuwa całość widoku jakimś nieuchwytnym, budzącym zachwyt czarem. Tak i u Staffa; to, co wydaje się nam codziennem, szarem, pokrytem pyłem powszedniości, w poezyi jego poczyna świecić wśród zwojów mgły przejrzystej, nadającej konturom oglądanego świata pozory czegoś, dotąd nie widzianego.

A mgłą tą, by wytrzymać porównanie do końca, jest głębokie, szczere umiłowanie Piękna, wyniesionego ponad wszystkie wartości, jakie tylko w życiu człowieczem są możliwe. Niby fragment z jakiegoś, estetyce poświęconego, dyalogu Platona lub przedziwnie plastycznych notat mistrza Leonarda, fragment odziany w niepokalanie piękną szatę rymu, rozpoczyna cykl „Hymn do barw“, wyrazicielek przedostającego się przez zmysł wzroku, nieskalanego dotknięcia ziemi Piękna.

Wielbij je duszo moja! Pręż, rozprężaj
Głąb swą pragnieniem zachłannem. Na ścięzaj
Otwórz swych głodów bramy! Wszem żywiołom
Dane jest świecić! Czarem się oszołom!
Upij się krasą! Jakaż moc ogromna
Dziwu na świecie! Chłoń go nieprzytomna!

. . . .

Nie, nic na świecie nie masz, jedno Piękno!

Dominującym motywem w tej postawie wobec życia, którego szczerby i rozpadliny zacierają się i nikną w promieniach słońca, staje się nastrój, który możnaby nazwać sielankowym. Nastrój ten spotykało się u Staffa

i poprzednio, wytwarzał on (o ile się nie mylę, pod koniec „Gałęzi kwitnącej") przedziwnie harmonijne, o podkładzie antycznym, idyllę. W „Ścieżkach polnych" zaś stanowi on substrat całego szeregu elegii. O ten podkład właśnie mi chodzi, nie o formalną schematyzacyę, o dyalogi „chłopków" czy innych pastuszków, o pewne „sztuczne" poszukiwanie przejawów piękna w przyrodzie czy życiu, z zamykaniem oczu na inne zjawiska. Mówiąc o „sztucznem" poszukiwaniu, używam nawiasów, jakkolwiek sztucznem należałoby nazwać całe kolisko warunków, w których ono powstaje i odbywa się. Nie jest to ani epickie przyjmowanie życia, jakiem ono jest, ani liryczny bunt przeciw niemu i parcie do otworzenia nowych dziedzin i wykucia nowych wartości. Stąd w nastroju sielankowym nie znajdujemy uczuć o wielkim napięciu; przeżywanie ich ustępuje miejsca kontemplacyi raczej. Sielanka jest nie życiem w rzeczywistości lub pragnieniu, lecz snem czy może marzeniem w życiu.

Te właśnie nastroje tworzą „Grę chmur", elegię marzeń i snów o życiu minionem, niezwiązanem z obecną rzeczywistością niczem, prócz gwiezdnego szlaku rezygnacyi; bo też z dni minionych nie pozostało nic więcej, jak tylko bardziej czyste i wiotkie, ale pozbawione krwi kształty wspomnień:

Gdy patrzę w rozigrane pogodą obłoki,
Jakże głęboki,
Jak słodki i bolesny czar serce przenika!
Dusza wpływa w zaklęte pamięci zatoki,
Gdzie brzmi muzyka,
Co wszystkie zmarłe dziwy wskrzesza i odmyka.

Zachodzące w duszy procesy może z tą chwilą odtwarzać muzyka jedynie, wytwarza się bowiem o niej jak gdyby słuch wewnętrzny, którego organem staje się cała wrażliwość chłonąca w siebie wszystek otaczający świat pod postacią fal dźwiękowych. W kilku strofach „Czaru ranka" zawiera się ta właśnie nieuchwytna dla uszu cielesnych wibracya melodyi, niosącej w polocie pszczół „wyzwoloną treść kwiatów w wieść słodką o miodzie", dozwalającej podchwycić szmer kielichów jaskrowych, którymi zefiry trącają się „rosy zdrowiem".

Dziedzina jednak piękna nie tylko nastraja duszę tak, że zdala od życia może ona kwitnąć całą pełnią nieznanych poza tą sferą wzruszeń, ona również stwarza, urabia piękną duszę człowieka. Wśród cyklu poczesne miejsce zajmuje „Pochwała pasterza", której sam już

tytuł wskazuje na przynależność (o ile ktoś szukałby i tu formalistyki) do rodzaju sielankowego. Utwór niezmiernie ciekawy, wskazujący, jak człowiek współczesny, złożonością waru życia znużony, ucieka w krainy, o których jeno w pieśniach Rigwely, Hezyoda lub Biblii usłyszeć można. Ucieka do życia prostego, na to zbanalizowane „łono przyrody“, kryjące dla oczu, co patrzeć i widzieć umieją, skarby nieprzebrane. Ideałem tu staje się pasterz, uczeń wiatrów, lasów, księżyca, „piastun owczego plemienia“, dostrzegający w pięknie prostoty początek wszystkiego, co chlubę ludzkości stanowi.

Chadzając ze swojemi posłusznemi stady,
Pierwszy pojąłes mądrość Zgody i Gromady.
    Z wydeptanego owiec po manowcach śladu
    Przeczuciem wyczytałeś najgłębszą myśl Ładu.
Natchniony przez królowę pszczół w miodowym ulu,
Pierwszym królem pokoju byłeś, owiec królu.
    Wzgardziłeś uległością wleczoną powrozem,
    Chętnemu posłuszeństwu pierwszym byłeś wo-
        [dzem,
Zdeptałeś miecz, pod którym w grozie posłuch chadza,
I prosta jako laska twa, jest twoja władza.
    W tobie pierwsze oblicze błysło patryarsze,
    A laska twa drewniana—to berło najstarsze.
Zmogłeś krwawej napaści czerwonej morderstwo,
Gdy miłością rozkwitło twe białe pasterstwo.
    Łagodność i cierpliwość, miłość i pokora
    To cnoty, którym w lasce twojej jest podpora.

Druga warstwa liryków w „Ścieżkach polnych“ jest tylko konsenkwentnem uzupełnieniem omówionej. Nosi ona charakter ludowy w specyalnem zabarwieniu. Możnaby powiedzieć, że Staff stylizuje życie chłopskie, wybierając zeń te momenty, które najbardziej odpowiadają dominującemu w zbiorku nastrojowi. Jest to duża nowość, z poezyi bowiem naszej poza idealizowanym chłopem Brodzińskiego i Lenartowicza (t. j. takim, jakim oni chcieli go zrobić), był jeszcze chłop Konopnickiej, Kasprowicza, Orkana, upadający pod nadmiernym ciężarem niedoli. W jednym i w drugim wypadku było sporo skłonności do przesady. Staff natomiast spogląda na wieś przez pryzmat Piękna, ze stanowiska widza przy czem punkt ciężkości spoczywa w źródle obserwacyi, nie zaś w ich wyniku.

Mimo tego zbiorek zawiera seryę ciekawych obrazków: jak rozmodlony w kościele tłum niedzielny, jak

ciągnący przez szare pola orszak pogrzebowy z białą trumną, kolebiącą się na ciągnionym przez woły wozie, jak rozśpiewany korowód dożynkowy z przodownicą na czele. Są tu i obrazki jesienne, przesłonięte burymi dymami ognisk pastuszych; słychać stuk cepów o klepiska w długie do nieskończoności dni słotne. Nie brak i szkiców zimowych, jak przepyszna Śnieżyca, jak wnętrze izby na „wieczornicy" z wiankiem dziewek złotowłosych przy kądzieli i różańcem bab pomarszczonych przy pierzu. Słychać przeciągłe pieśni jesienne i bajki czarowne. Są wreszcie i rozkoszne scenki z życia „Pomocników" rolniczych, pracowitego wołu, wiecznego psa „spokojnego wsi sumienia", gęsiarki-czterolatki. Wszystko to jednak razem wzięte nie pozwala mówić o „wsi w poezyi Staffa", nie podobna bowiem po przeczytaniu cyklu, wytworzyć sobie fotograficznie wiernego wsi tej obrazu, co tak łatwo daje się uskutecznić przy pomocy Orkana lub młodzieńczych utworów Kasprowicza, wskutek tego, co wyżej nazwałem stylizacyą chłopa.

A jednak w obrazkach Staffa oddychamy powietrzem wsi polskiej. „Zagroda rodzima" odcisnęła na nich swój stygmat, trudno uchwytny, bardzo jednak realny. W tworzonej przez Staffa atmosferze czułby się swobodnie, u siebie, zarówno Maciej Boryna, ta najgłębsza kreacya w „Chłopach", żyćby w niej mógł i Franek Rakoczy. Wymienienie tych nazwisk nie jest przypadkowe ani podyktowane jakąś literacką dowolnością. Nie! Staff należy do tego pokolenia, do którego należą i Reymont i Orkan, muszą być tedy w jego psychice jakieś momenty wspólne z całością, momenty, których suma musi być ilością większą od sumy różnic indywidualnych, wyodrębniających każdego z tych pisarzów. Wspólnotą tą jest silne odczucie wrośnięcia chłopa w rolę, identyczności niemal jego z przyrodą. „Pogrzeb" mógłby być pieśnią śpiewną przy trumnie lipeckiego gospodarza, „Kościołek wiejski" lub „Dożynki" mogłyby wypowiedzieć najgłębszą tajemnicę Frankowego serca. Bo gdy na dożynki idzie przodownica „dziewka... w urodzie zdrowych kras", to następuje dziwna przemiana w niej, z „chłopianki w tęczy wstąg" wygląda „szczere, rdzenne Pole"... twórcze Pole... „Rola żyzna gospodarna", stanowiąca cały sens i cel chłopskiego żywota. Ten modrooki chłop, z rozmachem koszący śnieg miotłą, staje się jak gdyby symbolem owego, najgłębszego związku między człowiekiem, a przyrodą—pracy, związku występującego u oracza i żeńca w naj-

bardziej może prymitywnej, ale najszczerzej prawdziwej postaci.

Poczucie łączności z przyrodą specyalnie zabarwia religię chłopa. Staff twierdzi, że „dusza rolna“ czuje się onieśmieloną w „podniosłej świątyni“ lasu; poczucie karności wobec potęg zaziemskich nie pozwala jej „prostą drzew strzelistością modlić się w milczeniu“. Bez względu na to, jakie stanowisko wobec tego poglądu zajmiemy, przyznać trzeba, że nikt nie umiał wypowiedzieć tak głęboko i pięknie związku między kościołkiem wiejskim a lasem i łąką, którą zastępuje przecież, jak Staff właśnie:

Zaś duch lasu wszak mieszka i w wnętrzu kościołka,
Co dyszy borem:
Snem o lesie wonieją belki i tarcice,
Jak w cień szpilkowych chłodów wlata tu jaskółka
Sklepień wyziorem,
Czując pachnącą cierpkich modrzewi żywicę

. . . .

Zda się, że do kościoła wbiegła cała łąka:
Z wszystkimi kwiaty,
Z wonią ziół z podniebnego ruszyła rozłogu,
Aby za łaskę rosy, za wiatr, za skowronka,
Za cudne szały,
Klęknąwszy przed ołtarzem, podziękować Bogu.

Ta jednolita całkowitość chłopskiego bytowania, zmontowana na niewzruszonym, instynktowym związku chłopa z ziemią, łączy z jednej strony ludowe motywy „Ścieżek“ z twórczością na tem polu całego pokolenia, z drugiej jednakże zawiera poważne niebezpieczeństwo, graniczy bowiem z jednostronnością. Staff wprawdzie wie o „ciężkich, gryzących i szarych myślach chłopskich nad miarę“, o „powłóczystych, przyziemnych i nizkich chłopskich spojrzeniach“ o „jednostajnych, przeciągłych i smutnych... chłopskich śpiewankach żałośnie-pokutnych“, dla tego jednak, przejawy te wywołuje, niema miejsca w ramach jego obrazu. A może się zdarzyć coś, co pryzmat piękna uczyni bezużytecznym, zaćmi go i zepsuje. Rozkochany w barwności ścieżek i miedz polnych wzrok pocznie przeglądać przez tęczę — „tęczę łez i krwi“ o skali barw bardzo ubogiej—cóż wówczas obaczy?..

Zbiorek „Tęcza łez i krwi“ jest właśnie tą odwrotnością obrazu poprzedniego, o której wspomniano wyżej. Na cichą wieś, drzemiącą wśród sadów, uginających się pod ciężarem dojrzałego owocu, spada straszna wichura. Spada niespodziewanie i do szczętu burzy cały rzeczy po-

rządek. Na tle cudnej, niebywałej jesieni, roztaczającej spokojną piękność w przebogatym przepychu, poczynają się rzeczy straszne, niezrozumiałe, zmieniające niebo w „litość łzawą“ a słońce w „wyrzut“. Muza Staffa załamuje ręce w bardzo naiwnej rozpaczy:

Bo niebo takie czyste—a człek krwią się plami,
Obłok niewinny—tam pożar, rzeź, zbrodnie,
Toń cicha—dal grzmi działami,
Wiatr siew rozplenia,
Lśni słońce zapłodnie,
A jeno człowiek, człowiek jest hańbą stworzenia!

Ton w poezyi Staffa nowy, choć i nie nowy—o ile wspomni się Twardowskiego, uciekającego przed niemożnością czynu nad morze... Nowy o tyle, że trąci retorycznością, zastępującą głębię myśli, czy uczucia. „Jesień pamiętna“ nawiązuje do mickiewiczowskiej wiosny. Tam jednak słyszy się rytm życia, przebijający się przez ciężkie chmury trwóg i zwątpień; tu darmo szukać entuzyazmu, jak i nie widać tragedyi tych, co „w swych braci łonie szukać przymuszeni Wolności swej Ojczyzny... twardzi, niemi, szli wymódz!“ Innemi słowy, Staff ujmuje tylko naskórek rzeczywistości, nagi fakt, pozbawiony głębszych podstaw, których wyświetlenie jest dla nas dziś już konieczne. Zbyt drogo całą prawie ludzkość kosztuje wojna obecna, Polskę zaś szczególnie, by w niej widzieć tylko szał zwierzęcego rozpętania. Dla tego właśnie zarówno „Zdjęty dzwon“, jak „Wysiedleńcy“, posiadając może wartość dokumentalną, historyczną, nie budzą wrażenia większego, niż przygodna korespondencya dziennikarska.

Poeta, który z taką subtelnością odtworzył cały, tajemniczy urok kościołka, opowiada o zdjęciu dzwonu w słowach, które nic nie mówią; trudno przecież przywiązywać większą wagę do frazesu, że milknie „ostatnia rzecz mająca serce“, świadcząc tem o stwardnieniu w spiż piersi ludzkich.

To samo spostrzega się w zakresie formalnej strony pieśni. W „Ścieżkach“ przepiękny obraz:

Samotny szczyt najwyższej topoli jedynie
Złoci się jeszcze blado w niebios seledynie.
Tęskny, jak pożegnanie, smutny jak rozłąka

przekształca się w dziwny, ortograficzny pomysł, w którym rozbity kartaczami kościół

Wznosi wieżę swą bez czuba,
Co na nieba tle się znaczy,
Jak wykrzyknik wszechrozpaczy!

Pojawienie się retorycznych figur w miejscach najmniej oczekiwanych, z góry zapowiada, że w „Tęczy“ nie znaleźć nam tej najgłębszej tragedyi, jaka tylko polskiemu chłopu zdarzyć się mogła, tragedyi wysiedleńca, jakkolwiek najdłuższy w cyklu utwór nosi tytuł „Wysiedleńcy“. Już bowiem wyżej widzieliśmy, że struktura życiowa wsi Staffa miejsca na tragedyę nie posiada. Wydaje mi się, że cały ból i gorycz rozłąki z ziemią, tęsknotę po niej i obawę przed tułaczką w sposób znacznie głębszy, przekonywający wypowiedziała Konopnicka w analogicznych ustępach „Pana Balcera“. Dla Staffa bardziej wymowna jest boleść ziemi („Ptactwo w czasie wojny“), porytej okopami, poszarpanej kul gradem, pozostawionej odłogiem dla braku rąk. Prawdopodobnie jednak najgłębsze akcenty „pozostały w cenzurze“, akcenty jak się wydaje bardzo niepowszednie.

Świadczy o tem do pewnego stopnia końcowy, również mocno przetrzebiony utwór: „Miałeś Ty, ludu“, fragment pełen zadziwiającej mocy. Staff powraca tu do osiowego motywu swych obrazków wiejskich; w przyrośnięciu chłopa do gleby rodzimej widzi zapowiedź odrodzenia i odbudowy:

O ludu polski! Zbawi cię największa Święta!
Podniesie cię z padołu twej głębokiej troski
Ziemia Twoja, bronzowa i mieczem pocięta,
Jak oblicze Najświętszej Panny Częstochowskiej.

Więc znów to szare, pełne klęski życie, poezya wydźwignęła na wyżyny Piękna, odmiennego wprawdzie, niż oglądane w „Ścieżkach polnych“, działającego jednak nie mniej silnie na duszę, bo promieniejącego w idei mocy wewnętrznej, nie dającej się złamać przemocy zewnętrznej.

Tak tedy obie strony tego samego zjawiska uzupełniają się w końcu—tworzą jedną, spoistą, choć przez zetknięcie z niedolą porysowaną całość.

Kurhan. *J. Krzyżanowski.*

KRONIKA.

DO MIŁOŚNIKÓW POLSKIEJ KULTURY.

„nim dusza od tych pamiątek odwyknie,
czasem jak dziecko jeszcze przez sen krzyknie".

Zwracamy się do miłośników polskiej sztuki i kultury, ale pragniemy również pobudzić całe nasze społeczeństwo na wygnaniu gorącą prośbą o pomoc i współdziałanie w ratowaniu zabytków naszej przeszłości.

Potrzebną jest cała sieć towarzystw w tym celu zawiązanych.

W każdej miejscowości, w której istnieje polska organizacya pomocy ofiarom wojny, mógłby powstać wydział tej wdzięcznej myśli służący. Dla wielu sprawa ta budzi dotąd pewien skrupuł i niepewność. Nie wynosi się sprzętów z płonącego domu, dopóki wszyscy mieszkańcy nie są w niebezpieczeństwie.

Dbałość o malowanych, lub z suchego drzewa wyrzezanych ludzi, owe biblijne „conflatile et sculptile", może się wydać grzeszną, gdy żywi są jeszcze głodni i nieodziani.

Możemy obawy te uspokoić.

Przedewszystkiem ofiarność naszego społeczeństwa niema granic.

Najhojniej dadzą ci, którzy nie największe zasoby posiadają—najwięcej swego czasu poświęcają dodatkowo ci, którzy najwięcej pracują.

Jest to podwójnym objawem płodności pożytecznej pracy i potrzeby odmiany u przeciążonych. Przeważnie jednak w działalności, do której nawołujemy, wezmą udział jednostki, które dopiero na tem polu rozwiną wszystkie swe zdolności. Bez uszczerbku dla naszych silnie rozrosłych komitetów, możemy przy poparciu i pomocy tych organizacyi odszukiwać cenne dla nas pamiątki, z których, da Bóg, będziemy się starali odtworzyć dusze naszych zburzonych siedzib.

Przewidujemy chwilę, gdy lepsze warunki nastaną.

Wówczas, jak skwapliwie szukać będziemy każdego śladu naszej przeszłości—miniatury Tadeusza Kościuszki, sztychu księcia Józefa Poniatowskiego, tonącego w Elsterze, wizerunków naszych jenerałów, mężów stanu, uczonych i poetów, by najmłodsze pokolenie wychowywało się z tym plastycznym polskim Plutarchem przed oczami!

Każdy pas lity, każda tkanina spłowiała, każda obtłuczona porcelana korecka, będzie nam drogiem wspomnieniem tego, co było łącznikiem między dawnymi a nowymi laty.

Ale przedewszystkiem myśleć będziemy o naszych kościołach.

Odwrócimy oczy od gruzów naszych pałaców, niegdyś sterczących

dumnie, by przy pomocy ludu wiejskiego, z którym jedno czujemy, podźwignąć z ruin nasze umiłowane przybytki modlitwy i przywrócić im dawne ich ochędóstwo.

Nacisk szczególny kładziemy dziś na sprawę odszukiwania dzwonów kościelnych.

Przez tyle lat braliśmy udział w nabożeństwie wielkotygodniowem i gdy milkli ci nasi stróże spiżowi, przypominaliśmy sobie ludową legendę o corocznym ich odlocie do źródeł chrześcijanstwa, do Rzymu.

Tym razem dzwony zmyliły drogę wśród burzy i w przeciwną stronę, na Wschód powędrowały.

Nie odzywa się już ich poważny ton, który towarzyszył nam przy każdym chrzcie, każdem weselu i szedł za każdą wynoszoną z naszych domów trumną.

Ale w uszach mamy zawsze głębokie nawoływanie tych głosów naszej Wiary św. rzymsko-katolickiej:

„vivos voco, mortuos plango, fulgura frango
dissipo ventes, paco cruentes,
adoro Deum verum, congrego clerum...“

Oby zbyt długo i smętnie nie musiały się odzywać własnych naszych serc kołatki!

Kończymy naszą odezwę serdeczną prośbą o żywą odpowiedź w czynnej i spiesznej działalności naszych rodaków.

Maciej Radziwiłł, prezes. Wacław Lednicki, wiceprezes. Xawery Pusłowski. skarbnik. Maryan Morelowski, sekretarz.

Z C. K. O.

W czerwcu ukazała się następująca Odezwa C. K. O., nawołująca do ofiar na potrzeby duchowe ludu polskiego na wygnaniu:

„Centralny Komitet Obywatelski, w trosce swojej o zaspokojenie wszystkich potrzeb ludu naszego na wygnaniu, ogarniał nią nie tylko potrzeby fizyczne, lecz i duchowe. Instruktorowie C. K. O., odwiedzając wygnańców w odległych o setki wiorst jedna od drugiej wsiach, spotykali się nieraz z błaganiem: więcej, niż strawy i odzieży, brak nam, wygnańcom, pociechy religijnej i słowa polskiego: strawę i odzież dają nam z litości ludzie, pośród których żyjemy. Wy ratujcie dusze nasze“.

Oto błagania wygnańców z ludu, rzuconych wbrew woli swojej w głębie stepów i we wsi odległe.

Centralny Komitet Obywatelski od samego początku swej działalności przystąpił do planowej akcyi ratowania i krzepienia dusz na wygnaniu: gwoli temu zaczął z jednej strony, wyszukiwać wygnańców i skupiać ich razem w grupach nieco liczniejszych, a z drugiej, zaczął rozsyłać księży, urządzać ruchome kapliczki, wydawać książki do nabożeństwa i pisma. Praca ta odbywa się stale, ale wymaga niezmiernie wiele pracy i środków.

Centralny Komitet Obywatelski nie odwoływał się dotychczas do ofiarności publicznej na cel pomieniony, najpierwszą bowiem rzeczą było zorganizować pomoc i przekonać się o rozmiarze potrzebnych na nią środków.

Dziś, gdy widoczne już jest, jak znacznych potrzeba funduszów na to, by tysiące rodzin głęboko wierzącego ludu polskiego, nie było przez rok cały pozbawionych pomocy kapłana, a niekiedy nawet widoku kogobądź z Polaków, społeczeństwo nasze powinno się zdobyć na ratowanie od strasznej klęski, jaka wciąż jeszcze ludowi na wygnaniu zagraża—od śmierci i zagłady duchowej.

Centralny Komitet Obywatelski, niosąc pomoc wygnańcom, zdołał ich dotychczas skupić około 400,000 (prócz tego inne Komitety Polskie niosą pomoc również drugim 400,000 wygnańcom); ale pozostaje jeszcze ze 100,000 polskiego ludu, którego nikt ze swoich nie odwiedził, nikt nie pokrzepił, o których istnieniu wręcz trudno się dowiedzieć, tak bardzo są rozproszeni. Już 3,000 przewodników z ludu wraz z kilkoma tysiącami ławników czuwa nad swojemi partyami; już kilkaset stworzono, tymczasowych większych skupień polskich. Ale tego wszystkiego za mało. Klęska rozproszenia ludu naszego na wygnaniu jest tak wielka, jakiej ten lud nigdy w ciągu wieków nie zaznał.

Akcyę ratowania bytu fizycznego ludu, a nawet akcyę opieki wychowawczej i rozwoju umysłowego dziatwy—C. K. O. opiera na środkach rządowych lub urzędowych. Natomiast w sprawie ratowania ducha ludu polskiego odwołuje się do ofiarności publicznej, i w tym celu, obok zapoczątkowanego już poprzednio „funduszu powrotu do kraju", otwiera obecnie nowy rachunek: funduszu, przeznaczonego na skupianie rozproszonego na wygnaniu ludu polskiego, oraz ratowanie i szczepienie jego ducha. Ofiary na ten fundusz składać można pod nazwą „Funduszu C. K. O., potrzeb duchowych ludu polskiego na wygnaniu" we wszystkich redakcyach pism, oraz we wszystkich biurach C. K. O. i wreszcie w Oddziałach Petrogradzkim i Kijowskim Warszawskiego Banku Handlowego."

BIBLIOTECZKA WYCHODŹCTWA POLSKIEGO.

Kto zna dzisiejsze, niezmiernie trudne warunki wydawnicze, z szczerem uznaniem patrzeć będzie na szereg książeczek, które ukazały się już w druku w Moskwie i według zapowiedzi wydawców w dalszym ciągu „zaspakajać mają powszechny dzisiaj głód pokarmu duchowego śród wychodźctwa polskiego". Cechuje je poważna myśl i serdeczne ukochanie sprawy ojczystej, dążenie do niesienia oświaty i wiary w odległe zakątki emigracyi naszej, wreszcie szczera intencya uprzystępnienia książeczek wydawnictwa „Świt" najszerszym kołom przez naznaczenie możliwie nizkich cen na pojedyńcze i podwójne tomiki, tworzące w sobie skończoną całość.

Do tej pory ukazały sie w druku „Pieśni i śpiewy polskie", „Dzieje ojczyste"—Józefa Chociszewskiego, „Pan Tadeusz", „Na wyspie australskiej, przygody rozbitków polskich", „Grunwald", „Ostatnie chwile Księcia Wojewody"—J. Kraszewskiego, w druku zaś znajdują się „Wybór kazań Piotra Skargi", „Nowele polskie", „Hanza"—W. Rapackiego i in.

Cena pojedyńczego tomiku wynosi 25 kop., co wobec przeznaczenia czystego dochodu na „Fundusz powrotu do kraju" świadczy dostatecznie o ideowości i intencyach wydawców.

Skład główny „Biblioteczki Wychodźctwa Polskiego" znajduje się w Moskwie (zaułek Sreteński 2); w Kijowie nabyć można to wydawnictwo w księgarniach L. Idzikowskiego i N. Gieryna.

Za wydawnictwo podpisuje dr. Tadeusz Jaworski, sekretarz redakcyi „Echa Polskiego", b. redaktor i wydawca tygodnika ilustrowanego „Ziarno" w Warszawie.

CENTRALNE BIURO EWAKUOWANYCH PRZEDMIOTÓW.

Pragnąc uchronić od zniszczenia i zagłady zabytki „Centralne biuro ewakuowanych przedmiotów, Moskwa, bulwar Twerski Nr. 25", zajmuje się bezpłatnie odszukiwaniem rzeczy wywiezionych w czasie ewakuacyi.

Składy kolejowe są przepełnione, należy spieszyć z odbiorem i uratowaniem przedmiotów W razie nieposiadania dokumentów kolejowych lub niepewności, czy rzeczy były ewakuowane, centralne biuro rządowe nie odmawia poszukiwań i wyjaśnień.

Przy zwróceniu się do biura, należy wskazać: Nr. dokumentu kolejowego (o ile takowy jest), zkąd i jakie rzeczy były wywiezione, w jakim czasie, do kogo należą, gdzie przesłać odpowiedź.

Z ŻYCIA SZKOLNEGO.

|| Z początkiem czerwca rozpocznie się w Petrogradzie dwumiesięczny kurs wakacyjny dla nauczycielek ludowych, urządzony staraniem Macierzy Szkolnej. Kierowniczką kursów będzie p. Pisarzewska. Wykłady obejmą: religię, literaturę, historyę Polski, pedagogikę, przyrodę, sztukę i szereg praktycznych lekcyi pod kierunkiem fachowych nauczycieli.

|| Komitet Główny Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny w Petrogradzie postanowił utrzymać nadal swoje trzymiesięczne kursy dla ochroniarek i wychowawczyń—i po krótkiej przerwie wakacyjnej nowy kurs rozpocząć zamierza dn. 15-go sierpnia. Zapisów wciąż napływa ogromna ilość. Internat czynny będzie, jak dotychczas; w obecnej chwili korzystają z niego słuchaczki kursów wakacyjnych dla nauczycielek Polskiej Macierzy Szkolnej. Zgłoszenia kandydatek przyjmuje komisya kulturalno-oświatowa P. T. P. O. W., Newski 78.

|| Z początkiem przyszłego roku szkolnego otwarte zostaną w Petrogradzie dwuletnie kursy żeńskie, zorganizowane przez p. A. Jastrzębską. Kursy mają na celu uzupełnienie wykształcenia, jakie daje gimnazyum uczenicom szkół średnich. Oprócz języka polskiego, historyi i literatury polskiej, wykłady obejmą jeszcze szereg przedmiotów uzupełniających, jak np. historyę sztuki polskiej, psychologię, pedagogikę, religię, i lekcye praktyczne w gimnazyum p. Jastrzębskiej. Wykłady powierzono wybitnym naszym siłom naukowym i pedagogicznym. Wszystkie przedmioty wykładane będą wyłącznie w języku polskim. Od kandydatek, chcących otrzymać dyplom nauczycielki średniego zakładu naukowego, wymagane jest świadectwo z ukończenia przynajmniej 7-miu klas gimnazyum. Program kursów wysyła się na żądanie. Wpis wynosi 150 rb. rocznie. Wykłady rozpoczęły się 1-go września. Na kursach są stypendya jak również i w pensyonacie przy kursach, dla osób pragnących poświęcić się pracy pedagogicznej.

Kancelarya kursów otwarta codziennie z wyjątkiem świąt od 10—1 popołud. przy gimnazyum Jastrzębskiej ze wszystkiemi prawami gimnazyów rządowych, zauł. Ertelew Nr. 8, telefon 5-99-88.

|| Przy gimnazyum p. A. Jastrzębskiej zostanie zorganizowana z początkiem przyszłego roku szkolnego VIII klasa o trzech oddziałach, z których jeden, równoległy do 8-ej klasy męskiej daje prawa do otrzymania matury męskiej gimnazyalnej,—drugi daje dyplom nauczycielski, stosownie do wyboru specyalności, a trzeci—będzie dawał przygotowanie do pracy w szkole początkowej.

|| Staraniem Wydziału potrzeb kulturalnych Rejonu środkowego C. K. O., w dniu 18-ym czerwca zostały otwarte przy szkole średniej C. K. O. w Moskwie (Milutyński 10) 3-miesięczne kursy nauczycielskie, ce na celu przygotowanie kandydatów do zawodu nauczycielskiego.

Na kursy przyjmowane są osoby płci obojej, posiadające przynajmniej 6-klasowe wykształcenie, w wieku: mężczyźni od lat 17-tu i kobiety od lat 16-tu.

Na kursach, obok przedmiotów ogólno-kształcących i specyalnych, wykładana będzie w szerszym zakresie metodyka nauczania oraz stosowane będą ćwiczenia praktyczne nauczania. Dla słuchaczy zamiejscowych zostały otwarte internaty. Przy kursach czynną będzie szkoła początkowa, wzorowa, w której słuchacze odbywać będą praktykę szkolną.

Kończący kursy otrzymają prawo nauczania po złożeniu odpowiedniego egzaminu przy delegacie z Okręgu Naukowego.

Kierownikiem kursów jest p. Elwertowski. Współpracownictwo na kursach przyrzekli znani specyaliści, nauczyciele szkół polskich.

|| Przy sekcyi nauczycielskiej Komitetu Polskiego utworzone zostały od 15 lipca b. r. w Moskwie siedmiomiesięczne wyższe kursy uzupełniające dla nauczycieli, pod kierunkiem p. Edwarda Świecimskiego. Na kursach wykładane są przez wybitne siły naukowe przedmioty wiedzy ogólnej i specyalnej. Zadaniem kursów jest podniesienie wiedzy ogólnej i fachowej polskiego nauczycielstwa ludowego. Wykłady odbywać się będą w dnie powszednie od 8-ej wieczór i w niedziele po południu. Opłata miesięczna wynosi 4 rb., za cały kurs 28 rb. Dla niezamożnych ustępstwa. Zapisy na kursy przyjmuje do 15 lipca kancelarya sekcyi nauczycielskiej przy wydziale szkolnym Komitetu Polskiego (Pietrowka 17 m. 16).

LOSY WYŻSZYCH UCZELNI WARSZAWSKICH.

|| Ministeryum oświaty postanowiło przenieść znajdujący się obecnie w Moskwie Warszawski instytut weterynaryjny do Nowoczerkaska. Nowy rok szkolny rozpocznie się już w Nowoczerkasku, gdzie przygotowywane są już lokale dla instytutu.

|| W warszawskim instytucie politechnicznym przeniesionym do Niżnego Nowogrodu, zakończono przyjmowanie studentów na pierwszy kurs. Z liczby 4000 tych, którzy podali prośby, przyjęto zaledwie 403 osoby i to z warunkiem, jeżeli do 5-go sierpnia przedstawią dokumenty osobiste i wniosą opłatę.

ODRZUCENIE PROŚBY PROF. BAUDOUIN DE COURTENAY'A.

Przed dwoma laty profesor J. Baudouin de Courtenay, wskutek skazania go za wydrukowanie jednej z jego broszur, zmuszony był porzucić katedrę językoznawstwa w uniwersytecie petrogradzkim. Obecnie poczynił starania u ministra oświaty o dopuszczenie go znowu do działalności pedagogicznej w uniwersytecie petrogradzkim, lecz, jak prasa petrogradzka zapewnia, prośba profesora Baudouin de Courtenay'a nie została uwzględniona.

ZAMKNIĘCIE „DZIENNIKA PETROGRADZKIEGO".

Z rozporządzenia naczelnika petrogradzkiego okręgu wojnnnego, zamknięto dn. 1-go czerwca „Dziennik Petrogradzki".

POLSKI MIESIĘCZNIK LEKARSKI W KIJOWIE.

Odczuwając od roku przeszło zupełny brak polskich czasopism lekarskich po tej stronie linii bojowej, grono lekarzy, przebywających w Kijowie, zamierza wydawać polski miesięcznik lekarski przynajmniej na czas wojny.

Tymczasem komitet redakcyjny tworzą: prof. uniw. lwowsk., Eugeniusz Piasecki, dr. med. Konrad Rumszewicz, docent uniw. lwowsk. Władysław Szumowski i d-r. med. Stanisław Trzebiński.

W sprawach redakcyjnych zwracać się należy pod adresem. dr. Władysław Szumowski, Kijów, Puszkińska № 22A. Pracownia chemiczna i bakteryologiczna. Inne pisma polskie proszone są o powtórzenie tej odezwy.

WYSTAWA ZABYTKÓW I SZTUKI POLSKIEJ W ODESIE.

Sekcya Opieki nad zabytkami Kultury i Sztuki Polskiej uchwaliła urządzić wystawę w Odesie między 15 sierpnia i 15 września w salach „Ogniska". Na wystawie zgromadzone bedą pamiątki życia polskiego tak w Odesie jak i na Kresach w najszerszem tego słowa znaczeniu, a więc dokumenty, sztychy, wydawnictwa, obrazy, porcelana, numizmatyka i t. p. Pozatem projektowane jest dać wyraz kulturze polskiej i włączyć do wystawy okazy przemysłu i handlu polskiego w Odesie, oraz prace wygnańców w szkołach i instytucyach zarobkowych. Prezesem Wystawowego Komitetu został wybrany dr. K. Górski.

KASA IMIENIA MIANOWSKIEGO W WARSZAWIE.

Wyszło 34-te sprawozdanie za rok 1915-ty Kasy Mianowskiego dla osób pracujących na polu naukowem. Działalność jej i cel zamykają w sobie cyfry sprawozdania, z których najważniejsze podajemy według relacyi dzienników galicyjskich:

Z końcem 1915 roku kapitał zasobowy kasy wynosił: 939,250 rb., ulokowanych w papierach procentowych, oraz w niewielkiej ilości gotowizny na rachunku przek. Banku Handlowego. W ciągu tegoż roku operowała kasa kapitałem obrotowym, wynoszącym przeszło 200.000 rb. z których pozostało z końcem roku gotówką okrągła cyfra 3800 rb., a dołaczając ogół pożyczek niezwróconych, oraz zapomóg warunkowo zwrotnych, otrzymuje się saldo kapitału obrotowego, wynoszące 146,889 rb. 8 kop. Kapitał obrotowy urasta z wkładów członków, z ofiar jednorazowych, wreszcie i głównie z procentów i dochodów od kapitałów kasy, oraz zapisów i daje kasie rok rocznie do rozporządzenia bez naruszenia funduszu żelaznego, (czyli zasobowego) przeszło 200,000 rubli (ściśle n. p. w roku 1915: 221,228 rubli 91 kop.). Sumy to, jak widzimy, znaczne.

Z owych 200 tysięcy z okładem użyto na zapomogi na cele i badania naukowe, oraz wspomagające różne wydawnictwa naukowe: 174,079 rubli 39 kop. (ponadto z fuduszów specyalnych wydano zapomóg prawie 10,060 rubli), czyli razem w ciągu 1915 roku wypłaciła kasa zapomóg: 183,801 rubli 41 kop.

Rozchód roczny na administrowanie kasą (lokal, pensye, druk wyniósł 9000 rubli.

Wiele mówiącym jest wykaz pozycyi zaprolongowanych, udzielonych w roku 1915. Mianowicie przyznano i wypłacono: 4000 rubli panu Flaumowi na prowadzenie pracowni neuro-biologicznej, 4750 rb. p. Gembarzewskiemu na prace ikonograf. 4400 rb. p. Kalinowskiemu na urządzenie stacyi magnetycznej; p. Tadeuszowi Korzonowi na prace historyczne 4100 rb., p. Sosnowskiemu na prowadzenie pracowni fizyologicznej 4000 rb., p. Wojciechowskiemu na inwentaryzacyę zabytków architektury w Polsce 8000 rb. (z asygnowanych 13,000 rubli) i t. p. aż do sum, nie przenoszących 200, a nawet 1500 rubli.—Wśród długiej listy zapomóg, udzielanych wydawnictwom naukowym, znajdujemy n. p. 2000 na „Poradnik dla samouków", 2000 na drugi tom „Rocznika statystycznego", 2000 na wydanie 3 tomu prac. p. Abramowskiego z zakresu psychologii doświadczalnej, 2000 rb. ks. prałatowi Chełmickiemu na dalsze tomy „Podręcznej Encyklopedyi kościelnej", 2000 na przekład „Historyi matematyki", 10,000 rb. na wydanie sprawozdania z posiedzeń oraz prac Tow. Naukowego, 4300 dla „Pamiętnika Fizyologicznego", 1200 rb. dla „Słownika Języka polskiego Niedźwieckiego", 3440 na wyd. „Bilansu Królestwa Polskiego". pp. Tymienieckiemu oraz Rybackiemu asygnowano ogółem 7450 rubli na wyd. „Ksiąg ziemskich zakroczymskich" (1424—1429) i t. p.

Wielu pisarzom i literatom wypłacono zasiłki po 100 rubli.

Funduszami kasy zarządza komitet, którego skład w roku sprawozdawczym był następujący.

Prezesem kasy był p. Feliks Kucharzewski, matematyk i technik. Wiceprezesem p. Bronisław Chlebowski, historyk literatury, sekretarzem St. Holewiński, prawnik. Członkami komitetu są pp. Dominik Anc, prawnik; Józef Brudziński, rektor uniwersytetu: M. Flaum, lekarz i chemik; W. Kamieniecki, historyk; W. Konic, prawnik; J. Natanson, przyrodnik; p. Pawliński, lekarz; L. Szperl, chemik; Wł. Tatarkiewicz, prof. uniw. Warsz. Kasa liczy obecnie członków założycieli 83, honorowych 16 i rzeczywistych, opłacających składkę 180.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA W WARSZAWIE.

Dnia 10 czerwca w gmachu własnym przy ulicy Kaliksta w Warszawie odbyło się ogólne zebranie członków Tow. biblioteki publicznej. Drukowane sprawozdanie wymienia w dn. 1 stycznia 1916 r. 13,776 dzieł w 15,284 tomach. znajdujących się w posiadaniu biblioteki.

Majątek biblioteki stanowią fundusze specyalne rubli 9600, a w zbiorach i ruchomościach rb. 89,051. Kapitał obrotowy po odpisaniu niedoboru rb. 3567, wykazał samę rb. 7812. Dochody w ubiegłym roku wynosiły rb. 15,417 a wydatki rb. 18,984. Składki członkowskie dały rubli 4510, ofiary rubli 5624, czytelnicy wpłacili rb. 3841.

W roku sprawozdawczym do zbiorów biblioteki wpłynęło: z darów 22,409 tomów, a z zakupów 107, ogółem 22516, oraz 667 tytułów pism w 5328 rocznikach, 46 rycin etc. Od roku 1907 do 1916 wpłynęło z darów 129,823 tomy, z zakupu 2103, razem 131.928.

Prezesem towarzystwa bibl. publ. jest mecenas Antoni Osuchowski, wiceprezesem Hieronim Kondratowicz, sekretarzem p. Wiktor Bułatowski, skarbnikiem inż. Ignacy Bendetson, członkami zarządu pp. Stefan Holewiński, Henryk Korwin-Krukowski i Józef Mikułowski-Pomorski.

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE.

Nazwę muzeum miejskiego ustalono ostatecznie na „Muzeum narodowe miasta stoł. Warszawy". Na członków rady muzealnej zaproszono pp.: Miłosza Kotarbińskiego, Erazma Majewskiego, Bogusława Hersego, Jana Kochanowskiego, Aleksandra Janowskiego, Jana Heuricha, oraz obecnych członków komisyi muzealnej, pp.: Karola Jankowskiego, dziekana Jana Lewińskiego i Eligjusza Niewiadomskiego.

Zarząd miasta powierzył przerobienie i odnowienie gmachu przy ulicy Podwale na pomieszczenie muzeum firmie br. Hornowie i Rupiewicz. W domu powyższym (Nr. 17) do sierpnia roku zeszłego mieściło się biuro cyrkułowe policyi rosyjskiej. Przed kilku dniami rozpoczęto przebudowę fasady. Tynk obecny zerwano. Cały front będzie gruntownie odnowiony. Styl ma być zachowany bez zmiany. Jednocześnie rozpoczęto przeróbki wewnętrzne na pomieszczenie sal muzealnych. Prace te potrwają 2—3 miesięcy.

PRZYZNANIE NAGRODY IM. ORZESZKOWEJ WACŁAWOWI SIEROSZEWSKIEMU.

Komisya, w skład, której weszli pp.: Lorentowicz, Jaroszyński, Grzymała-Siedlecki, Rogowicz i prof. Kallenbach, na posiedzenia połączonych zarządów Kasy Literackiej oraz T-wa literatów i dziennikarzy polskich, w dn. 14 b. m. przyznała po raz pierwszy nagrodę imienia Orzeszkowej Wacławowi Sieroszewskiemu—„za całożyciową działalność literacką". Wybór ten powitała życzliwie cała literacka Warszawa.

PIERWSZY SŁOWNIK ILUSTROWANY JĘZYKA POLSKIEGO.

W wydawnictwie M. Arcta wyszedł trzytomowy, pierwszy w piśmiennictwie naszem „Słownik ilustrowauy języka polskiego". Redakcyę słownika prowadził H. Galle. Słownik zawiera 70 tys. wyrazów, przewyższa więc o 10 tys. wyrazów, słownik Lindego. Rysunki wykonane starannie, wyróżniają się wyrazistością. Dzieło to, jest wynikiem długiego szeregu lat pracy.

PISMA POLSKIE W WARSZAWIE.

Następujące pisma polskie codzienne wychodzą obecnie w Warszawie: „Dziennik Polski",„Gazeta Poranna 2 grosze",„Goniec Poranny i Wiecz.", „Kuryer Narodowy", „Kuryer Warszawski", „Nowa Gazeta", „Polak-Katolik", „Przegląd Poranny i Wieczorny"; czasopisma: „Akty prawodawcze", „Któż jak Bóg", „Kronika Dentystyczna", „Książka", „Myśl Polska", „Przyjaciel Zwierząt", „Rozwaga", „Sfinks", „Wiadomości Archidyecezyalne", „Wieś i Dwór", „Zdrowie", „Kuryer Kolejowy", „Ogrodnik", „Pracownica Katolicka", „Myśl Niepodległa", „Przegląd Historyczny", „Biblioteka Dzieł Wyborowych". „Anioł Stróż", „Biesiada Literacka", „Gazeta Rolnicza", „Gazeta Sądowa", „Gazeta Świąteczna", „Kuryer Świąteczny", „Medycyna", „Kronika Lekarska", „Moje Pisemko", „Mucha", „Nasz Dom", „Nowa Mucha Satyryczna", „Nowe Ognisko", „Posiew", „Przegląd Techniczny", „Przewodnik Kółek i Spółek Rolniczych",

„Przyjaciel Dzieci“, „Przyjaciel Młodzieży“, „Sowizdrzał“, „Świat“, „Tygodnik Ilustrowany“, „Tygodnik Polski“, „Tygodnik dla wychodźców“, „Wieczory Rodzinne“, „Zorza“.

W Łodzi: „Gazeta Łódzka“, „Nowy Kuryer Łódzki“, „Kuryer Polski“, „Godzina Polski“; w Częstochowie: „Dziennik Polski“, „Gazeta Częstochowska“, „Goniec Częstochowski“; w Sosnowcu: „Iskra“, „Kuryer Zagłębia“, „Głos Polski“ (tygodnik); w Płocku: „Kuryer Płocki“; we Włocławku: „Goniec Kujawski“.

UROCZYSTE POSIEDZENIE AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

W dniu 11 czerwca o godz 12 w południe odbyło się w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego uroczyste posiedzenie Akademii umiejętności w Krakowie. Na posiedzenie przybyli i zajęli miejsca honorowe książę biskup Adam Sapieha, arcybiskup X. Albin Symon, X. biskup Anatol Nowak, Marszałek kraju Niezabitowski, minister dla Galicyi dr. Morawski, szef sekcyi dr. Ćwikliński, delegat namiestnictwa dr. Fedorowicz, prezydent dr. Leo, naczelnicy władz i urzędów Państwowych i autonomicznych, po bokach katedry zamiejscowi i miejscowi członkowie Akademji, dalej profesorowie i docenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, wreszcie liczni goście i młodzież akademicka.

Posiedzenie zagaił przemówieniem prezes Akademii J. E. hr. Stanisław Tarnowski, w którem zaznaczył, że Akademia od dwu lat nie mogła wskutek wojny odbyć posiedzenia i że po raz pierwszy zagaja posiedzenie prezes sam, a nie jak zwykle z upoważnienia Arcyksięcia Protektora, króry zginął tragiczną śmiercią, a mord spełniony na arc. protektorze Franciszku Ferdynandzie, stał się początkiem tych walk, które znosimy. Prezes zaznaczył dalej, że mimo wojny i wszelkich trudności praca w Akademii szła i plony swoje przynosiła. Rezultaty swe zawdzięcza w tych dwu latach Akademia przedewszystkiem zajętemu przez się stanowisku, unikania wszystkiego, coby ją mogło wciągnąć choćby w sam pozór tylko politycznych czynności czy bieżących spraw lub sporów, do których w czasie walk nauka mieszać się nie powinna. Dalej zawdzięcza Akademia swe rezultaty dobrej woli i poczuciu obowiązku naukowego i obywatelskiego, a nadto cnotom roztropności, cierpliwości, wytrwałości czerpanym z duszy ludzi, z ich miłości swojej sprawy z ich ufności i wiary, że cokolwiek przynosi dzień dzisiejszy, jakiekolwiek jego udręczenia i boleści, jutro przyniesie lepszą przyszłość; a co się dziś zasiewa w pocie czoła, w potokach łez i krwi, to wyda plon, który kiedyś zbierać się będzie w pokoju i błogosławieństwie.

Zakończył zaś słowami: „Losy świata się ważą i nasze. Ten huk dział, co się zewsząd rozlega, czy on nie znaczy, że „rozgrzmiał się sąd w niebie?“ A na te słowa Krasińskiego odzywa się z daleka z przed wieków, głos innego poety, Kochanowskiego, i mówi:

„Siła Bóg może odmienić w godzinie,
a kto mu kolwiek ufa nie zaginie“.

Po przemówieniu Stanisława hr. Tarnowskiego, sekretarz jeneralny prof. dr. Ulanowski poświęcił wspomnienia zmarłym członkom Akademii ś. p. Arcybiskupowi dr. Likowskiemu, dr. Karolowi Hadaczkowi, prof. Uniwersytetu lwowskiego, Stojanowi Nowakowiczowi, prof. X. dr. Stefanowi Pawlickiemu, dr. Antoniemu Randzie, dr. Jaromirowi Czelako-

wskiemu prof. uniwersytetu praskiego, dr. Józefowi Milewskiemu, dr. Karolowi Olszewskiemu, dr. Maciejowi Leonowi Jakubowskiemu, prof. uniw. krakowskiego, dr. Karolowi Rothertowi, prof. w Odessie.

Potem nastąpiło sprawozdanie sekretarza jeneralnego prof. dr. Ulanowskiego o pracach naukowych, dokonanych w ubiegłych dwu latach przez poszczególne Wydziały i Komisye Akademii oraz o czynnościach administracyjnych. Nastepnie prof. dr. Kazimierz Morawski miał odczyt „O cesarzu Klaudyuszu".

W końcu nastąpiło ogłoszenie przyznanych nagród i mianowania nowych członków. Nowymi członkami są: dr. Kazimierz Żórawski, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego,—członek czyn. kraj., członkowie korespondenci: dr. Eugeniusz Romer, dr. Rudolf Zuber, prof. uniwersytetu we Lwowie.

Nagrody przyznała Akademia jak następuje:

1) Nagrodę z funduszu im. ś. p. Erazma i Anny Jerzmanowskich, wynoszącą 44,245 koron 80 hal., przyznano Henrykowi Sienkiewiczowi.

2) Nagrodę z fundacyi Probusa Barczewskiego za pracę historyczną w kwocie 2160 koron przyznano prof. Józefowi Tretiakowi w Krakowie za dzieło: „Bohdan Zaleski na tułactwie".

3) Taką samą nagrodę w kwocie 2160 koron za dzieło malarskie przyznano p. Stanisławowi Lencowi w Warszawie za obraz „Wspólny portret ostatnich profesorów b. Szkoły Głównej w Warszawie".

4) Nagrodę konkursową im. Juliana Ursyna Niemcewicza na temat „Monografia z dziejów Litwy albo Rusi w epoce aż do Unii Lubelskiej", wynoszącą 2500 koron przyznano po połowie, t. j. po 1250 koron X. pr. Janowi Fijałkowi w Krakowie za pracę „Kościół rzym.-kat. na Litwie" i prof. Stanisławowi Kutrzebie w Krakowie za pracę „Unia Polski z Litwą".

5) Nagrodę im. Lindego, wynoszącą 1628 koron 87 hal. przyznano prof. Janowi Łosiowi w Krakowie za dzieło „Przegląd językowych zabytków staropolskich do r. 1543".

6) Nagrodę ks. Lubomirskich w kwocie 3000 koron przyznano prof. Stanisławowi Bądzyńskiemu we Lwowie za pracę z zakresu fizyologii, w szczególności za rozprawę: „Wymiana materyi i energii u zwierząt".

7) Taką samą nagrodę w kwocie 3000 koron przyznano dr. Stefanowi Kreutzowi w Krakowie za prace z zakresu krystalografii, w szczególności za rozprawę: „Gipsy polskie. Podkarpacie".

8) Nagrodę z funduszu im. Konstantego Simona w kwocie 900 koron przyznano prof. Tadeuszowi Godlewskiemu we Lwowie za rozprawę: „O działaniu koloidów na produkty promieniotwórcze w roztworach".

KONKURS NA PROJEKT NAGROBKÓW DLA POLEGŁYCH ŻOŁNIERZY POLSKICH.

Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana", zasilone pomocą finansową Muzeum techniczno-przemysłowego w Krakowie, ogłosiło swego czasu konkurs na projekty nagrobków dla poległych na ziemi polskiej żołnierzy. Konkurs obejmował trzy zadania: 1) nagrobek dla pojedyńczego żołnierza, 2) wspólną mogiłę dla większej ilości poległych, oraz 3) ujęcie w uporządkowaną całość cmentarzysk wojennych. Do konkursu przyłączył się związek Towarzystw upiększenia kraju. Ogółem na nagrody, których wyznaczono 6, zaofiarowano 1,100 koron. Sąd konkursowy składali: J. Bukowski, J. Czajkowski, J. Gałęzowski. W. Krzyżanowski, Fr. Mączyński, J. Mehoffer, J. Puszet, St. Till i W. Warchałowski. Po rozważeniu prac nadesłanych, nagrodę pierwszą (200 koron) przyznano pracy

Karola Stryjeńskiego, nagrodę drugą w pierwszej grupie—Józefowi Kabanowi. W grupie drugiej nagrodę pierwszą otrzymała praca Bogdana Tretera, nagrodę drugą—Józefa Seredyńskiego; w grupie trzeciej nagrodę pierwszą—praca Romualda Gutta, nagrodę drugą—Zygmunta Harlanda z Warszawy. Pozatem zakupiono i nagrodzono trzecią nagrodą szereg innych prac z pomiędzy nadesłanych na konkurs. (*Echo Polskie*).

ZAPIS JANA STEFANICKIEGO.

Zmarły w Zakopanem (we wrześniu 1915 r.) lekarz-dentysta ze Stanisławowa dr. Jan Stefanicki, pozostawił szereg legatów, m. in. zapisał 80 tys. koron na fundusz stypendyjny swego imienia dla uczniów szkół średnich, przemysłowych i handlowych.

RESTAURACYA WAWELU.

Przed niedawnym czasem odbyło się w Krakowie drugie posiedzenie galicyjskiego krajowego Komitetu restauracyi zamku Wawelskiego.
Pierwszą sprawą na porządku dziennym, wniesioną przez krakowski Komitet miejscowy, było rozpisanie konkursu na dekoracyę wnętrza sal II piętra zamku. Po dłuższej dyskusyi decyzyę w tej sprawie odroczono, polecając Komitetowi miejscowemu, by w porozumieniu z Wydziałem krajowym prowadził dalej czynności przygotowawcze do rozwiązania tej kwestyi. Druga sprawą było umieszczenie na zamku „Pochodu" Szymanowskiego. Na zapytanie Wydziału krajowego co do opinii w tej sprawie, postanowiono odpowiedzieć, że Komitet miejscowy restauracyi Wawelu zaleca Wydziałowi Krajowemu zakupienie modeli gipsowych „Pochodu" w zmniejszonej skali. Na pokrycie kosztów nabycia Wydział krajowy zajmie się wyszukaniem źródeł, z którychby można było zaczerpnąć fundusze, nie naruszając ani cesarskiej, ani krajowej subwencyi, przeznaczonej na restauracyę Wawelu. Na wniosek prof. Antoniewicza ze Lwowa zalecono Wydziałowi krajowemu obmyślenie zdobycia funduszu na zakup dzieł sztuki i zabytków dla Muzeum Narodowego na Wawelu.

„TOWARZYSTWO DLA POPIERANIA NAUKI POLSKIEJ" we LWOWIE.

Wydział lwowski „Towarzystwa dla popierania nauki polskiej" ogłasza sprawozdanie ze swej działalności za okres dwu lat ostatnich 1914-15. Towarzystwo, założone przez profesora Balzera, stanowiło placówkę rzetelnej i scentralizowanej pracy naukowej polskiej, której właśnie we Lwowie, gdzie istniało wielkie rozdrobnienie sił naukowych polskich, brakowało. Mimo poparcia ze strony społeczeństwa, było Towarzystwo w swej działalności (między in. gromadzenie zbiorów celem zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych) bardzo ścieśnione. Dopiero rok 1914 stał się w kronikach Towarzystwa przełomowym. Na krótko przed rozpoczęciem wojny otrzymało Towarzystwo iście królewski dar od znakomitego obywatela p. Bolesława Orzechowicza, właściciela dóbr Kalnikowa (w Galicyi), który utworzył w Towarzystwie półmilionową fundacyę, mającą służyć popieraniu spraw nauki polskiej. W niespełna dwa tygodnie później otrzymało Towarzystwo drugi hojny dar od p. Władysława Gozdawy-Gozdowskiego, który ofiarował na rzecz fundacyi dwupiętrową kamienicę we Lwowie, przedstawiającą wartość według urzędowego oszacowania przeszło

100 tysięcy koron. W ten sposób Towarzystwo znalazło się nagle w posiadaniu środków, które mu umożliwią rozszerzenie swej działalności, dla wiedzy polskiej tak doniosłej. Przychodzi ta pomoc akurat w porę, wojna bowiem odbiła się fatalnie na ruchu członków; pod koniec 1915 roku było ich tylko 642, t. j. o 247 mniej, aniżeli w roku 1914, a 452 mniej, aniżeli w pokojowym 1913 roku. Wojna również sprawiła, iż kamienica z zapisu p. Gozdawy-Gozdowskiego w czasie sprawozdawczym nie przyniosła żadnego czynszu. Niemniej jednak zdołano wydać szereg cennych badan naukowych, wyświetlających rozliczne zagadnienia naszego bytu. Oto tytuły publikacyi: Hadaczek: „Osada przemysłowa w Koszyłowcach", Balzer Oskar: „Z zagadnień ustrojowych Polski", Ehrilch L.: „Starostwa w Halickiem 1390—1501", Nowak J.: „Jednostki tektoniczne polskich Karpat wschodnich", Tokarski J.: „Laktolit z Cerro de Cacheuta w Argentynie". Wszystkie te wydawnictwa ogłoszone zostały kosztem fundacyi Orzechowicza. Prócz tego poparto finansowo parę mniejszych instytucyi naukowych. Prezesem obrano ponownie Oskara Balzera, a wiceprezesem Władysława Abrahama. Poza tymi należą do wydziału lwowskiego Towarzystwa: Ludwik Finkel, Wiktor Hahn, Stef. Niementowski, Karol Skibiński, Rud. Zuber, Przem. Dąbkowski, Wł. Semkowicz, Jan Łukasiewicz i Kazimierz Twardowski.

HOŁD UNIWERSYTETU LWOWSKIEGO H. SIENKIEWICZOWI.

Łącząc się z całem społeczeństwem polskiem w hołdzie jubileuszowym, senat akademicki uniwersytetu lwowskiego wystosował do Henryka Sienkiewicza następujące pismo: Czcigodny Panie! Przed kilku laty, obchodząc dwuchsetną pięćdziesiątą rocznicę swej pierwszej fundacyi i pragnąc w uroczystej chwili tem ściślejszym połączyć się węzłem z najzasłużeńszymi mężami narodu, Wszechnica lwowska przesłała Tobie, Czcigodny Panie, jako jednemu z pierwszych w szeregu tych mężów, to. co ma najcenniejszego, dyplom doktora praw „honoris causa".

Położona na kresach dawnej Rzeczypospolitej, gdzie życie narodowe bywa z natury rzeczy najbardziej narażone na niebezpieczeństwo, wiedząca, że od zwycięskiego odparcia tych niebezpieczeństw zależy również i jej trwałość jako instytucyi narodowej, Wszechnica nasza pragnęła w ten sposób uczcić w Tobie także bojownika, który wspaniały twórczy geniusz swój oddał z całą świadomością tego, co czyni, przedewszystkiem na usługi walczącego narodu.

Na stronicach dzieł Twych potężnych odżyła potężna, w bohaterskiej krwi skąpana przeszłość nasza; dzięki niezwykłemu blaskowi, jakim otoczyć ją zdołałeś, nauczyli się ją kochać i najobojętniejsi, nauczyli się pojmować, iż życie społeczeństwa na historycznej polega ciągłości, i że bez należytego zrozumienia i ukochania tej ciągłości nie można w sobie wzbudzić skutecznej żądzy dalszego trwania narodowego.

A tego rodzaju owocny, uspołeczniający w duchu narodowym wpływ pracy Twojej nie ogranicza się jedynie do tak zwanych oświeconych kół społeczeństwa, ogarnął on jak najszersze jego warstwy. Marzenie Mickiewiczowskie, aby księgi twórcy stały się własnością ogółu, spełniło się także na Tobie. Zapewne ku niemałej Twojej radości, a ku wielkiemu pożytkowi Polski umiłowanie pragnień narodowych, przenikające Twe dzieła, przeniknęło dzięki tym dziełom do ludu i jeżeli ta nadzieja niemającego zaginąć bytu naszego czuje się dzisiaj organiczną cząstką narodu, to niedającą się z niczem porównać korzyść tę zawdzięczamy w niezwykłej mierze Twojemu właśnie duchowi.

Ale geniusz Twój jeszcze jedną narodowi naszemu ogromną wyświadczył przysługę. Nie mieliśmy i nie mamy pisarza, któryby takiego,

jak Ty, zażywał rozgłosu wśród obcych. Dzięki powszechnej sławie tej będącej wynikiem znamienitych sił twórczych, wypełniających Twą duszę i ujawnionych przez Ciebie, rozpowszechniło się i rozpowszechnia słynne Imię Polskie. Możnaby niemal powiedzieć, iż nazwisko Twoje stało się dla cudzoziemca nazwiskiem Polaka wogóle, w najlepszym, najszlachetniejszym wyrazu tego znaczeniu, Polaka, obdarzonego geniuszem, Polaka, kochającego ponad wszystko swój naród, Polaka, rozumiejącego prawa innych, ale równocześnie świadomego swych własnych, niezamarłych praw do własnego, historycznego życia, polaka nie przestającego wierzyć ani na chwilę, iż z tego krwawego zamętu, w jaki świat się dziś stoczył, wyłoni się nareszcie—sprawiedliwość.

W tym krwawym zamęcie dzisiejszym, w którym pogrążyła się nasza przedewszystkiem ziemia, albowiem na ziemi polskiej rozgrywają się walki, o jakich nie było dotąd mowy w dziejach ludzkich, najdonioślej i najskuteczniej—dzięki właśnie Twemu nazwisku — zabrzmiał znowu głos Twój Panie. Nietylko odezwałeś się do sumienia narodów, ażeby narody te przyszły z pomocą niszczonemu tak bezlitośnie krajowi, ale wskazałeś krzywdy, które spotkały nas do tej pory i jakie jeszcze spotkać nas mogą.

I za to należy Ci się również wielka nasza wdzięczność. To też dzisiaj kiedy kończysz siedemdziesiąty rok życia, w tym dniu, który zamyka tak ogromny obszar czasu, nieustanną, nietylko w literackim kierunku, twórczą wypełniony pracą, Wszechnica lwowska, pomna niespożytych zasług Twoich, ponawia niniejszem swe hołdy i najgorętsze zasyła Ci życzenia, ażebyś czcigodny Panie, z tą samą siłą w najdłuższe pracował lata i abyś z niezmąconą już radością spoglądał na błogie słoneczne owoce, które cierpienia i wysiłki narodu z Twoimi połączone wysiłkami, wydać powinny.

Z Senatu akademickiego Uniwersytetu lwowskiego. D-r. K. Twardowski, rektor.

Z TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK W POZNANIU.

Ukazał się 43-ci tom „Rocznika T-wa Przyj. Nauk w Poznaniu“ za rok 1916. Na bogatą i interesującą treść składają się następujące prace: ks. Stan. Kozierowskiego: „Nieznane zapiski heraldyczne“, będące owocem sumiennego przejrzenia 138 tomów ksiąg ziemskich i grodzkich wielkopolskich od pocz. XV do połowy XVI wieku; obszerna praca ks. Czaplewskiego: „Tytularny episkopat w Polsce średniowiecznej“ jest ciągiem dalszym pracy, której początek ukazał się w tomie 40-tym „Rocznika“. Dalej idą prace archeologiczne dr. J. Kostrzewskiego: „Zabytki grobowe wielkopolskie z początkiem epoki bronzowej“ oraz hr. Zofi: Szembekówny, wreszcie dwie prace historyczne prof. St. Karwowskiegoi „Biskupi poznańscy w drugiej połowie XIII wieku“ oraz „Inwentarz dóbr Wróblewskich, spisany 1794 roku“, stanowiący cenny przyczynek do poznania ówczesnych stosunków włościańskich oraz kultury i stanu majątkowego szlachcica polskiego z końca XVIII stulecia. Druga część „Rocznika“ zawiera sprawozdania z czynności poszczególnych wydziałów za rok ubiegły.

TOW. NAUKOWE W TORUNIU.

Towarzystwo Naukowe w Toruniu obchodzi w lipcu czterdziestolecie swej chwalebnej działalności naukowej. Założona przez Zy-

gmunta Działowskiego ze skromnych początków, rozwinęła się ta instytucya poważna i działająca rozlegle. Świadczą o tem wydawnictwa, obejmujące 22 tomy Roczników, 18 tomów źródeł do historyi Prus i Pomorza i 32 tomy Zapisków, wychodzących kwartalnie, a zawierających drobniejsze prace, świadczy biblioteka, licząca obecnie 5000 tomów i liczne fundacye. Główne zadania Towarzystwa—to gromadzenie i oświetlanie materyału do polskiej działalności kulturalnej w Prusiech Królewskich, dzisiejszych Zachodnich. Towarzystwo liczy obecnie około 600 członków, posiada zajmujące zbiory w Hotelu Muzeum w Toruniu i prowadzi swą działalność naukową mimo wojny. Dotkliwą stratę poniosło świeżo przez zgon swego prezesa ś. p. ks. Kujota, który zapisał Towarzystwu wspaniały księgozbiór.

ATLAS POLSKI.

W kraju ukazał się pierwszy zeszyt pomnikowego wydawnictwa p. t. „Geograficzno-statystyczny Atlas Polski", redagowanego i opracowanego przez prof. dla Eug. Romera przy udziale licznych wybitnych uczonych polskich. W chwili dzisiejszej, gdy sprawa polska tak powszechne budzi zainteresowanie, — przedsięwzięcie tego rodzaju jest czynem nietylko kulturalnym, naukowym, ale i patryotycznym. Korzystając z bardzo obfitego materyału autorzy opracowali naukowo najrozmaitsze stosunki w Polsce, ilustrując je szeregiem map i wykresów kartograficznych. Terytoryum przedstawione obejmuje cały obszar Rzeczypospolitej w granicach 1772 roku. Wcelu uprzystępnienia obcym treści „Atlasu", wydano go jednocześnie w trzech językach: polskim, niemieckim i francuskim.

Aby dać możność bliżej poznać to pomnikowe wydawnictwo, znajdujące się dotychczas w handlu jedynie po tamtej stronie kordonu wojennego,—przytaczamy za „Gazetą Polską" ustęp z rozdziału o oświacie, doskonale charakteryzujący nie tylko treść dział, ale i metody, jakie stosowano przy jego układzie:

1) S z k o ł a I. Osobna mapka przedstawia stosunek ilościowy uczniów szkół ludowych i analfabetyzmu do ogółu mieszkańców. Obraz stosunków szkolnictwa dano na podstawie danych z roku 1911, obraz analfabetyzmu oparto na spisie z r. 1910 z wyjątkiem zaboru rosyjskiego, dla którego rozporządzano tylko datami ze spisu z r. 1897; wartości analfabetyzmu odnoszą się do ludności ponad 9, względnie 10 lat wieku.

Dla zaboru austryjackiego i pruskiego zużyto daty szczegółowe, powiatowe, dla zaboru rosyjskiego były dostępne tylko zestawienia gubernialne. Tak wielka jednak znamionuje różnica te dwa światy, oddzielone kordonem rosyjskim, że nawet różna wartość materyału nie może wpłynąć na jej złagodzenie czy zaostrzenie. Liczba uczniów szkół ludowych przekracza mianowicie w zaborze rosyjskim tylko wyjątkowo 50 procent dzieci, w zaborze zaś austryackim schodzi tylko wyjątkowo nieco poniżej 100 proc.

W zaborze niemieckim i austryackim uderza, że depresye i kulminacye ilości uczniów szkół ludowych są przywiązane do terytoryów narodowych; najsłabsze natężenie barw uderza przeważnie w terytoryum ruskiem, średnie w niemieckiem, szczyt natężenia pokrywa się z rozmieszczeniem Polaków. Przyczyna tego jest oczywiście podwójna. Gdy idzie o Polaków i Niemców, tłumaczy się większą stosunkowo ilością dzieci polskich, przyczyna depresyi wśród Rusinów może być tylko kulturalną, bo płodność Rusinów jest jeszcze większą od polskiej.

Na szczególną uwagę zasługują zjawiska rozmieszczenia analfabetyzmu. Wschodnia część Galicyi, która ma 3—8 razy więcej dzieci

szkolnych, niż Kowno lub Warszawa, ma tyleż co te gubernie analfatów (Galicya wschodnia nieco ponad 50 prc., Warszawa 40 prc., Kowno 46 prc.), natomiast Kurlandya, mająca 4 razy mniej dzieci szkolnych od zachodniej połaci Galicyi ma, od niej znacznie mniej analfabetów (15 prc. przeciw 25). Fakty te uzmysławiają potężną rolę prywatnego nauczania w zaborze rosyjskim.

2) Szkoła II. Skała barw wyraża stosunek ilości uczniów szkół średnich do ilości uczniów szkół ludowych, czyli daje obraz produkcyi wyższej inteligencyi. Płaszczyzny, zabarwione ciemno, oznaczają pewne obszary hyperprodukcyi inteligencyi w stosunku do ogólnej oświaty ludowej. W Warszawie wypada 1 uczeń szkół średnich na 3 uczniów szkół ludowych! Co prawda i tu nie należy zapominać o doniosłej tam roli prywatnego nauczania.

Kreskowanie określa liczbę uczniów szkół średnich od ogółu mieszkańców. W zaborze austryackim i pruskim uderza jednolitość tego stosunku (wahania wynoszą od 3,8—7,3 prc.), w zaborze rosyjskim silne przeciwieństwa (wahania wynoszą od 13—103 prc.).

Osobne znaki określają terytoryum, w którem istnieją polskie szkoły.

3) Szkoły III. Język wykładowy szkolnictwa w Galicyi podlega w całości ustawodawstwu Sejmu krajowego we Lwowie, w którym stała i ogromną większość mają Polacy; interesujące jest przeto, w jaki sposób wyraża język wykładowy narodowy charakter szkolnictwa ludowego w Galicyi.

Podwójna skała barw ilustruje ten problem; barwy błękitne wskazują powiaty, w których jest procent polskich szkół ludowych niższy od procentu polskiej ludności. Jednem słowem, błękitny wyrażają protekcyę ludności ruskiej, brunatny protekcyę ludności polskiej. Obraz jest wymowny, chciażby chciano do niego nie wiem jaką stosować interpretacyę.

Osobne znaki wskazują miejsca z ruskiemi szkołami średniemi. Jest ich mniej, niż to odpowiada protowi ruskiej ludności, a nawet procentowi ruskich studentów.

W miejscach jednak, w których istnieją ruskie szkoły średnie, są polskie szkoły znacznie silniej uczęszczane, aniżeli ruskie (60 proc. przeciw 31 proc.), a w tychże samych miejscach uczęszcza do polskich szkół średnich znaczny procent młodzieży ruskiej (16 proc. w stosunku do liczby ruskiej młodzieży ruskich gimnazyów).

4) Druki polskie. Diagram ilustruje rozwój ilościowy druków polskich (z wyjątkiem pism peryodycznych i literatury jarmarcznej). Suma druków polskich, objęta diagramem i kartogramami, wyniosła od ostatniego rozboju 127, 805 dzieł, czyli rocznie średnio 1005, a w szczególności 1894 — 1830 rocznie 343 druków, 1831 — 69 rocznie 735 druków, a 1870—1913 rocznie 1964 druków.

Potężny rozwój w ostatnim okresie okazuje doniosłość konstytucyi w Austryi dla rozwoju umysłowego odrodzenia w Polsce. (Patrz też gwałtowny podskok liczby druków w Galicyi w pięcioleciu 1745—49, na które przypadły pierwsze drgnienia ruchów wolnościowych).

Diagram ilustruje też uczestnictwo pojedyńczych dzielnic polskich w tej pracy umysłowej; wykazuje świetność całego zaboru rosyjskiego do r. 1830, zupełny upadek Litwy i Rusi w dwu etapach, znaczonych datą 1831 do 1863; Królestwo Polskie uchroniło się od zupełnego upadku, ale dawnej świetności już nie osiągnęło. Zabór austryacki, długie lata w zastoju, budzi się w r. 1848 do świetnego życia i już nigdy pierwszeństwa w ruchu umysłowym z rąk nie wypuszcza. Wszystkie doniosłe zdarzenia w życiu narodowem odzywają się echem twórczem przedewszystkiem w Galicyi; nawet wielkie wydarzenia w zaborze rosyjskim wyrażają się silniej w ruchu umysłowym w Galicyi, aniżeli w Królestwie.

Przeciętna liczba druków 1898 1902 Kr. Pol. 727, Gal. 902.
Pzzeciętna liczba druków 1903—1907 Kr. Pol. 1162, Gal. 1855.

Ruch literacki w zaborze pruskim nie miał nigdy okresu świetności, a od 30 lat nie zdradza żywszej działalności.

Ruch druków polskich na emigracyi jest wymownem echem wypadków w zaborze rosyjskim.

Trzy kartogramy demonstrują rozkwit i upadek, tworzenie się i przesuwanie ognisk drukarstwa polskiego, czyli polskiego życia umysłowego w ciągu trzech okresów porozbiorowych: 1794—1830, 1881—69, 1870—1913 włącznie.

Kartogramy dają obraz rozmieszczenia ognisk drukarstwa polskiego, z wyłączeniem tych nieznacznych miejscowości, z w których drukowano w ciągu I i II okresu mniej niż 5, a w ciągu okresu III, mniej niż 10 książek.

Ilość ognisk drukarskich.

	Król. Pol.	Ruś. i Litwa	Zabór pruski	Zabór austr.
1794—1830	14	13	9	5
1831—1869	10	5	19	14
1870—1913	10	2	9	25

Osobne symbole oznaczają 10 pierwszych ognisk drukarstwa w każdym okresie; liczba kresek na odnośnym znaku wykazuje miejsce porządkowe ogniska drukarskiego. Warszawa stała zawsze na czele produkcyi umysłowej, ale podczas gdy w pierwszym okresie Warszawa wykazała 35 proc. druków, a Kraków 30 proc. Wilno drukowało w I, okresie 19 proc., w II. 7 proc., w III. pół proc. Podobne losy, choć na mniejszą skalę, przeszedł Wrocław, który wydawał w I okresie 4 proc., w II 1 i pół proc., a w III jedną dziesiątą procentu. Ale świetny w swoim rodzaju ruch drukarski w Połocku, Lesznie, Krzemieńcu, Berdyczowie znikł bez śladu.

5) P r a s a p o l s k a. Zestawienie prasy polskiej, wychodzącej na obszarze państw zaborczych, wykonane przez dr. B. Gubrynowicza, a uzupełnione odpowiedziami na kwestyonaryusz, obejmuje 664 tytuły pism peryodycznych, wychodzących na obszarze państw zaborczych, a 69 wychodzących w Stanach Zjednoczonych. Prócz tego doszły do naszej wiadomości tytuły 7 pism polskich w innych państwach Europy, a nie mamy żadnych ścisłych danych o pismach, pojawiających się w innych obszarach polskiej emigracyi. Uwzględniając wszystkie czynniki, które utrudniają zwłaszcza podczas „wielkiej wojny“ zebranie odnośnych informacyi, musimy wyrazić przekonanie, że nasze zestawieniu prasy polskiej nie uwzględniono roczników i sprawozdań dorocznych, których sumę, zapewnie jej nie doceniając, można oszacować na około 1500 tytułów.

Pisma peryod.	Kwartalne	Miesięczn.	Dwutyg.	Tygodn.	Codź.	W. i torm.	Razem
Austrya	13	126	115	94	19	31	393
Niemcy		19	16	63	26	43	137
Rosya	6	21	9	43	37	13	128

Lwów wydaje 180 czasopism. Kraków 99, Warszawa 74, Poznań 58, Cieszyn 14, Wilno 12.

Pisma codzienne wychodzą w Europie w 25 miejscach, z których 5 znajduje się poza obszarem etnograficznym: Petersburg, Bochum, Kerne i Oberhausen w Nadrenii.

WYŻSZE KURSY NAUKOWE W WIEDNIU.

Dzięki staraniom radcy ministeryalnego d-ra Witolda Bartoszewskiego, powstała w Wiedniu instytucya o charakterze naukowym, mająca doniosłe znaczenie dla inteligencyi polskiej stale lub chwilowo zamieszkałej w stolicy naddunajskiej: utworzyły się tam „Wyższe Kursy Naukowe“, urządzające wykłady systematyczne i odczyty z różnych gałęzi wiedzy. Program wykładów obejmuje zarówno teoretyczne podstawy nauki, jak i zagadnienia z różnych dziedzin wiedzy. Cykl pierwszy obejmował wykłady: „O kształceniu i wykształceniu“, „Obecna wiedza o wszechświecie, ziemi i człowieku“, „Z zagadnień polskiej myśli pedagogicznej“, „Sztuka a życie“, „O liryce polskiej z ilustracyami wokalnemi i muzycznemi“, „Z dziedziny muzyki polskiej“, „Z geografii ziem polskich“ i w. in. Jako prelegenci wystąpili: prof. dr. E. Romer, prof. Zipper, art. rzeźbiarz Roman Lewandowski, Stan. Fałat. Witold Bartoszewski i wielu innych.

ODCZYTY O POLSCE W WIEDNIU.

W wiedeńskim teatrze „Urania“ odbyły się w kwietniu z inicyatywy polskiej trzy wykłady w języku niemieckim, poświęcone sprawie polskiej. Przemawiali prof. Stan. Smolka: „Die Polen und die Deutschen“, prof. Maurycy Straszewski „Der gegenwärtige Stand der Polenfrage“, poseł Roger bar. Battaglia „Die Zukunft Polens im mitteleuropäischen Wirtschaftssystem“.

WYKŁADY POLSKIEGO ARCHIWUM WOJENNEGO WE FRYBURGU.

Staraniem Komitetu Polskiego Archiwum wojennego we Fryburgu (w Szwajcaryi) odbył się w marcu i kwietniu szereg odczytów. P. Bron. Piłsudzki mówił o Japonii, prof. dr. St. Dobrzycki miał wykład p. t. „Wojna i żołnierz w poezyi ludowej polskiej“, p. L. Bronarski: „O melodyach wojennych pieśni ludowych polskich“ z ilustracyą muzyczną, prof. Tadeusz Estreicher: „Środki wybuchowe“; prócz wymienionych odbyły się jeszcze inne odczyty na tematy aktualny.

JUBILEUSZ PROF. LASKOWSKIEGO.

29 czerwca świat naukowy i profesorski genewski żegnał prof. Laskowskiego, ustępującego z katedry anatomii po czterdziestu latach pracy pedagogicznej.

Prof. Prevost, prezes komitetu organizacyjnego powitał prof. L. i zarazem wyłożył motywy tej manifestacyi.

Prof. Oltramare, prezes Rady administuacyjnej, mówił w imieniu tej ostatniej; prof. d'Erpine podnosił zasługi jubilata dla nauki; profesor Rehfous, rektor, odczytał list Departamentu oświaty publicznej.

Dr. Lardy składał hołd jubilatowy w imieniu Rady Związkowej, dziekan zaś prof. Fehr wręczył dyplom doktora nauk przyrodniczych „honoris causa“.

Przemawiali następnie profesorowie medycyny, najbliżsi koledzy prof. L., profesorowie dentystyki i członkowie towarzystwa lekarskiego.

Wkońcu wręczono jubilatowi medal pamiątkowy od kolegów, przyjaciół i uczniów.

POLACY NA PÓŁWYSPIE PIRENEJSKIM.

Burza dziejowa rozproszyła pracowników szkoły Jagiellońskiej po całym świecie. Tak np. p. Eugeniusz Frankowski rodem z Wołynia, asystent zakładu antropologicznego uniw. Jagiellońskiego w lipcu 1914 r. udał się jako korespondent „Czasu“ do Madrytu, gdzie go wojna zastała. Znalazłszy się w trudnem położeniu, lecz podtrzymywany żądzą wiedzy przy chłodzie i głodzie rozpuczął na półwyspie studya etnologiczne których już cały szereg ogłosił drukiem po hiszpańsku i portugalsku. Prace młodego uczonego krytycy tej miary jak prof. H. Obermayer, H. du Breuil i V. Correga przyjęli bardzo życzliwie, zaznaczając‘ że jest on pierwszym który zapoczątkował studya etnologiczne na półwyspie. Życzymy Szanownemu Koledze wytrwałości w pracy w tak trudnych warunkach na chwałę Jagiellonicum i imienia polskiego.

POLONICA W ROSYI.

|| *„Czterdzieści i cztery“*. Do długiego szeregu prób wytłomaczenia tajemnicy „44“ z trzeciej części „Dziadów“, przybyła nowa, umieszczona 19 lipca na łamach „Nowego Wremieni“ „Przyjaciel Polaków“—,pod takim pseudonimem ukrył się nowy autor interpretacyi, — pisze między innymi:

„Polski poeta Ad. Mickiewicz, który wielokrotnie zaznaczał, że zmartwychwstanie Polski może nastąpić dopiero po wielkiej wojnie, — zapowiada w III-ej części „Dziadów“ wskrzesiciela Polski, mówiąc, że imię jego będzie „czterdzieści i cztery“. Jakkolwiek się to może wydać dziwnem, nie można jednak nie zwrócić uwagi, — będąc nawet dalekim od uwierzenia w prorocze słowa poety,—na znamienny fakt, że panujący obecnie cesarz Mikołaj II, którego dążenia ku ulżeniu doli Polaków nie ulegają wątpliwości, jest właśnie 44-ym królem polskim,—licząc od Mieczysława I, a kończąc na ostatnich pięciu cesarzach rosyjskich. Z liczby panujących w Polsce usunąć należy Henryka Probusa, powołanego na tron *krakowski* przez mieszczan i—Fryderyka Augusta księcia warszawskiego, którzy wogóle za *królów polskich* nie są uważani“

|| Rosyjskie towarzystwo wydawnicze w Moskwie, rozpoczęło wydawanie „Biblioteki polskich pisarzy“. Dotychczas ukazały się K. Tetmajera: „Karpaccy górale“ i St. Żeromskiego: „Opowiadania“, oba zbiory w tłómaczeniu Włodzimierza Wysockiego.

|| *P. Librowicz* wydał w języku rosyjskim obszerny tom wspomnień o Maurycym Wolffie, znanym księgarzu petrogradzkim i o zasługach jego firmy wydawniczej dla ruchu umysłowego w Rosyi. Ciekawa ta książka, p. t. *„Na placówce księgarskiej“* zawiera sporo szczegółów, dotyczących i polskiego życia umysłowego w Petrogradzie. Do pracy p. Librowicza powrócimy jeszcze w sprawozdaniu obszerniejszem.

NEKROLOGJA.

Szczupłe polskie przedstawicielstwo polityczne w Rosyi nową dotkliwą poniosło stratę. Dnia 2 czerwca zmarł *Henryk Święcicki,* poseł ziemi Wileńskiej do Dumy Państwowej. H. Święcicki pochodził Mińszczyzny, urodził się w 1851 roku w rodzinnym majątku Metliczycach; gimnazyum ukończył w Mińsku; studya wyższe odbył w instytucie

dróg i komunikacyi w Petrogradzie. Przez długi szereg lat zmarły pracował jako inżynier. Był jakiś czas zarządzającym koleją Nowgorodzką; budował, jako główny inżynier, linię Bołogoje—Psków.

Powołany do Dumy Państwowej trzeciego powołania, reprezentował do końca życia Wileńszczyznę, gdzie posiadał majątek. Jako inżynier, specyalista w sprawach komunikacyi, pracował w Dumie w komisyach kolejowej i marynarki wojennej. Pozatem brał udział we wszystkich sprawach dotychczących interesów polskich oraz kraju naszego. Zajmował się bardzo gorliwie sprawami Mińszczyzny, nie żałując wysiłków w celu przejścia z pomocą ludności katolickiej trapionej licznemi dochodzeniami sądowemi i zatargami na tle wyznaniowem.

Gdy wybuchła wojna, ś. p. Henryk Święcicki jeden z pierwszych pomyślał o zorganizowaniu pomocy dla nieszczęśliwych ofiar wojny. On był założycielem i prezesem Polskiego Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny. To była sprawa, którą ze szczególną troską zajmował się w ostatnich czasach, aż śmierć przerwała pasmo czynnego żywota.

Zmarły jechał właśnie na kuracyę i ledwie zdążył przybyć do Kisłowodzka, znalazł tam spoczynek wieczny.

Zwłoki zostały przewiezione do Piotrogrodu, gdzie złożono je obok zwłok żony i dwuch synów, którzy zginęli w wojnie obecnej.

— Prawie jednocześnie z posłem H. Święcickim zeszedł do grobu ś. p. *Stanisław Glezmer*, były członek Rady Państwa, wybitny inżynier technolog i niestrudzony pracownik na niwie narodowej.

W r. 1908 ś. p. St. Glezmer wszedł do Rady Państwa, jako przedstawiciel przemysłu i handlu i na tem stanowisku gorąco zawsze spraw gospodarczych polskich w komisyach Izby Wyższej i poza nią, korzystając ze swego stanowiska, bronił. Dlatego też za czasów wojny w jego doświadczone ręce, między innemi Centralny Komitet Obywatelskich nteresów. Uzyskiwanie funduszów skarbowych na akcyę planową C. K. O. i Komitetów Obywatelskich w kraju przed ewakuacyą — była codzienną troską ś. p. Stanisław Glezmera. Po ewakuacyi był przez krótki czas na stanowisku prezesa Rady „Polskiego Biura Prasowego". Jako do dni ostatnich brał żywy udział w pracach naszych organizacyi ratunkowych ewakuowanego C. K. O., oraz P. T. P. O. W. Koła Opieki nad zabytkami przyszłości i wielu innych.

Królestwo Polskie zna St. Glezmera, jako hojnego fundatora i opiekuna Gniazd Sieroczych, które były ulubionem jego przedsiewzięciem społeczno-narodowem, zakreślonem na szerszej skale.

— Uniwersytet Jagielloński a z nim nauka polska poniosły nową bolesną stratę. Dnia 31 maja zmarł w Krakowie lekarz i profesor laryngologii, *dr. Przemysław Pieniążek*, przezywszy lat 66. Urodzony w Warszawie, do gimnazyum uczęszczał w Krakowie, poczem w r. 1874 otrzymał na uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora medycyny. Celem kontynuowania studyów wyjechał do Wiednia, gdzie poświęcił się laryngologii. Po powrocie do Krakowa habilitował się jako docent chorób gardła, krtani i nosa w r. 1879, poczem w r. 1890 został prof. nadzw. tego przedmiotu. Przez kilka lat był prezesem krakowskiego Tow. Lekarskiego. Jako pracownik naukowy zapisał prof. Pieniążek imię swe w literaturze szeregiem poważnych i wartościowych prac i podręczników z zakresu swej specyalności, ogłaszanych w języku polskim i niemieckim. Do najważniejszych należy podręcznik „Laryngoskopia, oraz choroby krtani i tchawicy" (Kraków 1879), uwieńczony konkursową nagrodą im. Chałubińskiego w Warszawie. Pozatem napisał kilkadziesiąt rozpraw pomniejszych, ogłaszanych w kraju i zagranicą.

— Dn. 7 lipca zmarł w Krakowie, *dr. Edmund Klemensiewicz*, uczestnik powstania w r. 1863, sybirak, prezydent krakowskiej Izby

notaryalnej i notaryusz w Krakowie, b. poseł na sejm krajowy, radca miejski, prezes Dyrekcyi Kasy Oszczędności miasta Krakowa — Zmarły był niezwykłą postacią, szczerym patryotą, oddanym do ostatniej chwili życia służbie w sprawach publicznych i narodowych, niezmiernie ofiarny, nie szczędził grosza na żaden cel, który, zdaniem jego, na poparcie zasługiwał. W testamencie zapisał piękny dwupiętrowy dom, przy ul. św. Anny, Towarzystwu Szkoły Ludowej, z życzeniem, by umieszczono w nim biuro Towarzystwa. Zmarły zostawił legat w sumie 50,000 koron na utworzenie funduszu imienia Amelii i Edmunda Klemensiewiczów na wspieranie ochronek. Nadto zapisał „Sokołowi“ krakowskiemu 5,000 koron i przytulisku weterynów 2,000 kor. Pogrzeb ś. p. Edmunda Klemensiewicza odbył się 9 lipca, przy olbrzymim udziale ludności Krakowa. Przed domem przemówił prezes Tow. Szkoły Ludowej dr. Ernest Banarowski.

— Zagranicą przeniósł się do wieczności jeden z najbitniejszych przedstawicieli naszej emigracyi—pułkownik *Józef Gałęzowski*. Liczna niegdyś rzesza emigrancka z roku 1863, utraciła znów jednego z tych, co obok żyjących. Władysława Mickewicza i Wacława Gasztowtta,—stali na czele, poświęcając całe swe życie twardej pracy dla ojczyzny J. Gałęzowski urodził się w Lipowcu na Ukrainie. Po ukończeniu szkoły w Niemirowie, wstąpił do Akademii Wojskowej w Petrogrodzie, gdzie z czasem został profesorem geodezyi i astronomii, w randze kapitana sztabu jeneralnego. Na tym stanowisku zaskoczyło go powstanie styczniowe. Mimo liczne trudności udało mu się przedostać do szeregów powstańczych. Ówczesny Rząd Narodowy mianował go referentem komisyi wojny. Dzięki sile charakteru i zdolnościom jakie okazał wciągu powstania, stał się on jednym znajbliższych Trangutta. Upadek powstania wyrzucił Gałęzowskiego na bruk emigracyjny, gdzie zmarły spędził pół wieku z okładem.

Postać tę znały doskonale kolonie polskie. W ich życiu brał Gałęzowski bardzo żywy i wybitny udział. Gdy w 1880 zmarł hr. Władysław Plater, pułkownik Gałęzowski, jako wykonawca ostatniej jego woli poświęcił swe pracę i energie niezmordowaną — Muzeum Narodowemu w Rapperswilu. Jemu to w dużym stopnia ta jedyna w swoim rodzaju instytucya byt swój zawdzięcza. Jako prezes Muzeum, otaczął je przez długie lata najtroskliwszą opieką. Piastując tak zaszczytne a zarazem odpowiedzialne stanowisko, był on jednocześnie prezesem rady szkoły polskiej w Balignolles, przewodniczącym emigracyjnej instytucyi paryskiej p. n. „Czci i chleba“, prezesem komitetu „Wolnej Polski“, wreszcie członkiem „Ligi Narodowej“.

Działalność Gałęzowskiego nie ograniczała się jedynie do pracy na terenie emigracyjnym. Jako zdolny finansista zwrócił on uwagę instytucyi finansowej Crédit Foncierz de France, która wybrała go na kierownika ogólnej rachunkowości, a później na prezesa wydziału honorowego. Był on również kawalerem francuskiej legii honorowej.

Uroczystość żałobna odbyła się dnia 20 marca w Passy pod Paryżem, w kościele Notre Dame de Grâce, gdzie nabożeństwo odprawiał ksiądz prałat Postawka. Na grobem na cmentarze Père-Lachaise w Paryżu przemawiali: dyrektor szkoły balignolskiej Alfred Budzyński, przyjaciel zmarłego pr. Wacław Gasztowtt, dr. Bolesław Motz i inż. Józef Lipkowski.

Dodać należy, że rodzina Gałęzowskich miała kilka wybitnych przedstawicieli na emigracyi. Należał do nich dr. Seweryn Gałęzowski, zmarły w r. 1878, profesor uniwersytetu wileńskiego, później lekarz wojskowy w r. 1831, a po powstaniu wybitny działacz emigracyjny. Do tej samej rodziny należał również zmarły w r. 1907 słynny okulista Ksawery Gałęzowski, współuczestnik w powstaniu styczniowem, później również emigrant, osiadły we Francyi.

— Nauka i literatura małoruska straciła jednego znajwybitniejszych i najpłodniejszych przedstawicieli. We Lwowie zmarł *Iwan Franko*, autor całego szeregu studyów historyczno-literackich i popularnych utworów poetyckich i powieściowych.

Franko pochodził z ubogiej rodziny ruskiej, (ojciec jego był kowalem), urodził się w Galicyi, w Nakujawiczach, w r. 1756. Po ukończeniu szkoły Bazylianów w Drohobyczu, wstąpił na uniwersytet Lwowski, poświęciwszy się studyom historyczno-literackim.

Budzące się narodowe życie ruskie wciągnęło go w swój wir, i Franko wkrótce znalazł się w kołach młodzieży, przejętej duchem święto-jurskim. W organie tej młodzieży p. t. „Druh" ukazały się pierwsze utwory Franki. Dzięki wpływom znanego przywódcy ruchu ukraińskiego—M. Dragomanowa, Franko zerwał z dawnem środowiskiem i stał się radykałem, narodowcem-socyalistą. Jego działalność polityczno-społeczna zwróciła uwagę policyi i spowodowała areszt kilkumiesięczny.

Więzienie zwichnęło na długo karjerę naukową studenta, do której przygotowywał się, podczas studyów uniwersyteckich. Opuściwszy w czasie aresztowań uniwersytet, wrócił doń dopiero po latach kilkunastu, otrzymawszy w roku 1894 dyplom doktora filozofii. Senat uniwersytecki zaproponował go wtedy na profesora literatury małoruskiej i staroruskiej, jednak ówczesny namiestnik Kaz. Badeni, kandydatury Franki nie zatwierdził, motywując odmowę brakiem prawomyślności politycznej przyszłego profesora.

Nie mając ustalonego stanowiska, Franko rzucił się na pole publicystyki, zakładając i redagując szereg czasopism ukraińskich, a jednocześnie poświęcił się literaturze pięknej. Był on między innymi założycielem „Narodu", organu radykałów małoruskich, redagował „Zoryę", „Żytje i słowo", pracował w „Dile", w pismach rosyjskich, czeskich, niemieckich i polskich.

Z pośród czasopism polskich, najczęściej udzielały mu swych szpalt „Tydzień" i „Kuryer Lwowski". W r. 1798 Franko ściągnął na siebie oburzenie społeczeństwa polskiego za artykuł, umieszczony w wiedeńskiej „Zeit" p. t. „Der Dicher des Verratts". W roku jubileuszowym A. Mickiewicza Franko usiłował przekonać swoich i obcych, że autor „Pana Tadeusza" był „poetą zdrady", że nie tylko apoteozował ją w „Konradzie Wallenrodzie", podnosząc ją — do wyżyn bohaterstwa i cnoty, ale że zemsta i zdrada są wogóle czynnikiem dominującym w twórczości największego poety polskiego. To wystąpienie, podyktowane czemś więcej niż samą tylko ignoracyą dział Mickiewicza, zamknęło France drzwi polskich redakcyi. W ostatnich latach „Towarzystwo im. Szewczenki" powołało go na redaktora „Literaturno-naukowego wistnika", — najpoważniejszego czasopisma ukraińskiego, wychodzącego we Lwowie. Tam ukazywała się większość jego prac i artykułów krytycznych, literackich i historycznych.

Już na ławie uniwersyteckiej wystąpił Franko, jako poeta i powieściopisarz. Zetknięcie się z ludem, z łona którego sam wyszedł dało mu znajomość bezpośrednią ludu ukraińskiego. Trzykrotny pobyt w więzieniu znajomość tę rozszerzył, dając możność zapoznania się nie tylko z biedą i nędzą ludzką, ale i z odpadkami społeczeństwa, i zepsutą, zgangrenowaną duszą mętów społecznych. Franko był z przekonań demokratą,—i w całej swej działalności pisarskiej, ani razu nie sprzeniewierzył się swym ideom społecznym. Jego powieści to śmiała obrona ludu ukraińskiego, którego stosunki z otoczeniem i życie wewnętrzne odtwarzał z prawdą i realizmem, nie pozbawionym nieraz bardzo silnego wyrazu i plastyki. Z pośród społecznych utworów Franki największą popularnością cieszy się powieść: „Na dni" (1880), przetłomaczona na obce języki, między innemi i na język polski.

Autor „W Poti czoła", próbował również sił i w dziedzinie powieści historycznej. W r. 1883 ukazał się jego romans historyczny p. t. „Zachar Berkut", do którego wątku zaczerpnął Franko z dziejów tatarskich na Rusi w XIII stuleciu. Utwór ten zdobył mu nagrodę konkursową czasopisma. „Zorja". Niektóre z jego powieści, jak np. „Osnowi suspilnosti" (Filary społeczeństwa) lub „Dla domowego ogniska" pisane były z wyraźną tendencyą antypolską.

Iwan Franko nie posiadał wybitnego, o europejskiej doniosłości talentu, jednak był to umysł ruchliwy, wielostronny i bardzo pracowity. W dziejach kultury ukraińskiej zajmuje on miejsce jedno z pierwszorzędnych.

— Nauce, francuskiej, a wszczególności historyi literatury i krytyce, ubyła postać która przez długie lata odgrywała wybitną rolę nie tylko w życiu umysłowem francuskiem, ale cieszyła się też dużą popularnością i w kołach naukowo-literackich po za granicami Francyi. Człowiekiem tym *Emil Faguet,* literat, krytyk, publicysta, socyolog i moralista, zmarły dnia 6 czerwca w Paryżu. Faguet urodził się w r. 1847. W ciągu długoletniej pracy naukowej, był on profesorem w liceach w Bordeaux i w Paryżu, a w r. 1890 został powany na profesora literatury francuskiej w Sorbonie. Do najwcześniejszych prac Fagnet'a, który mu wyrobiły imię i utorowały drogę do późniejszej karyery naukowej,—należy: „La tragédie francjoise au XVIII sacle" (1550—1600), wydana w r. 1883. Lecz nie wiek szesnasty był tą dziedziną, myśli ku której najchętniej zwracał się pióro historyka literatury.

Najczęściej pociągali go wielcy tragicy XVII stulecia i pisarze moraliści XVIII, i dzięki gruntownym nad nimi badaniom zdobył sobie Faguet czytającą publiczność europejską. Z głębokich rozważań nad pisarzami trzech ostatnich wieków powstały cztery tomy studyów, będących swego rodzaju arcydziełem analizy nie ludzi, ale idei, nurtujących okresy dziejowe. Faguet'a bowiem mniej interesowały osobistości i dzieła, całą uwagę skupiał on na zjawiska literackie, starając się je zrozumieć i wyjaśnić współczesnym, pomijając przy tem wszelkie badania szczegółowe. Ze przy tej przenikliwej i głębokiej analizie powstawały świetne, plastyczne charakterystyki postaci, — to już była tajemnica pisarskiego talentu autora studyum o Voltair'ze.

Dużą popularnością cieszyły się i dziś nic z tej popularności nie straciły trzy serye studyów krytycznych p. t. „Politiques et moralistes du 19 siècle". Z pod jego pióra wyszła też pierwsza, gruntowna praca o Flaubercie,—umieszczona w wydawnictwie „Grands ecrivains français". Gdy w kołach literackich francuskich powstała myśl napisania zbiorowej historyi języka, i literatury francuskiej,—podjęta i zrealizowana pod kierunkiem Petit de pulleville'a Faguet w pracy tej wziął żywy udział i jego własnością są, między innemi, wstępny do ostatnich dwu tomów XIX stulecia. Obracając się z jednakową erudycyą na przestrzeni czterech wieków historyi literatury francuskiej, miał Faguet swe sympatye i antypatye. Nawet powierzchowny czytelnik z łatwością zauważy, że znakomity znawca i wielbiciel całej literatury, z największą rozkoszą duchową przebywał wśród klasyków wielkiego we Francyi wieku 17-go.

Obok historyi literatury, Faguet interesował się też szczerze współczesnym teatrem francuskim. Przez długie lata był on krytykiem teatralnym *w Le Soleil, purnal des Débats, Revue bleue* i in. Jego recenrye i krytyki teatralne ukazały w r. 1894 w trzech seryach, i w ośmiu tomach.

Profesor, historyk literatury i krytyk teatralny był Faguet jednocześnie publicystą, pilnie interesującym się prądami politycznemi społecznemi. „Questions politiques" i „Problemes politiques" zawierają w sobie szereg artykułów i rozpraw, będących odbiciem interesującej się

wszystkiem duszy tego niestrudzonego pracownika umysłowego. Faguet był z przekonań polityczno-społecznych rojalistą, w poglądach religijnych występował jako katolik, nie lubił urządzeń republikańskich i radykalnej trzeciej Republiki. Był konserwatystą, zwalczał socyalizm, i hałaśliwie propagowany przez demokracyę współczesną pacyficyzm. Mimo jednak swe przekonania, był popularny, bo poprzez poglądy jego przebijała szczera wiara, otwartość, i talent, ujmujące i zdobywające mu czytelników nawet wśród radykałów i przeciwników kościoła.

Znając doskonale umysłowe stosunki francuskie Faguet nie zbyt mocno czuł się na gruncie literatur obcych. Zasugiestyonowany, jak wielu, wielu współczesnych Francuzów układem sił politycznych w Europie w w. 19-m, jedne literatury przeceniał, innych nie doceniał, jak to miało np. miejsce przy charakterystyce literatury polskiej.

W r. 1901 Faguet został wybrany do Akademii Nieśmiertelnych.

BIBLIOGRAFIA.

Lucien Roquigny. A la Pologne! avec une préface de St. Karwicki. Kijów. Księgarnia N. Geryna.

Prof. dr. Eugeniusz Piasecki: „Zabawy i gry ruchowe dzieci i młodzieży". Kijów. 1916.

Lucyan Freytag: „Dajcie głos duszom". Petrograd. 1916,

„Wiązanka kwiatów". Legendy i opowiadania, podała Wanda Dalecka. Część naukową opracowała Józefa Czarnowska. Z ilustracyami. Petrograd. Księgarnia Polska.

Władysław Korycki. „Historya Polski popularna dla wszystkich". Kijów. Leon Idzikowski 1916.

Tadeusz Uhma „Na Niemca!" I. U. Piastowego domu wrót. Chrobry wódz. Kijów, 1916. Czcionkami „Drukarni Polskiej".

M. Jarosławski. „Historya trzech miłości". Kijów. L. Idzikowski. 1916. Czcionkami „Drukarni Polskiej".

Janina Ułaszynówna. „O księciu Józefie Poniatowskim". Kijów. L. Idzikowskiego. 1916. Serya „Złota Iskierki". Czcionkami „Drukarni Polskiej".

Cecylia Niewiadomska. „Czytanki dla szkół początkowych". 2-ga książeczka. Nakładem księgarni L. Idzikowskiego. Kijów. 1916. Odbito w „Drukarni Polskiej".

B. Dyakowski. „Historya Naturalna". Kurs niższy, ułożony podług zbiorowisk. Część I, z 149 rycinami. Cena 85 kop. Nakładem Rady Zjazdów Polskich Organizacyi Pomocy Ofiarom Wojny w Moskwie. Kijów. 1916. Czcionkami „Drukarni Polskiej".

„Skarbnica Prozy i Poezyi", pod redakcyą A. Drogoszewskiego i C. Niewiadowskiej. T. I. Kijów. Nakładem L. Idzikowskiego. 1916.

J. Korzeniowski „Spekulant", część pierwsza w opracowaniu A. Drogoszewskiego. Kijów. Nakładem L. Idzikowskiego. 1916.

Kazimierz Dunin-Markiewicz. Lilie polne. Smutna komedya w 4 odsłonach. Kijów. L. Idzikowski. 1916.

Cecylia Niewiadomska. „Słoneczny Światek". Powiastki dla dzieci od lat 7 do 10. Z ilustracyami M. Wisznickiego. Kijów-Warszawa. Nakładem L. Idzikowskiego 1916.

Zuzanna Morawska. „Powiastki i Wierszyki". Okładka i rysunki M. Wisznickiego. Kijów. Nakładem księgarni L. Idzikowskiego. 1916.

Cecylja Niewiadomska. „Czytanki dla szkół początkowych". Druga książka po elementarzu. Kijów. L. Idzikowski. 1916.

Edmud Amicis. „Miłość ojczyzny". Kijów. Nakładem L. Idzikowskiego. 1916.

Edmund Amicis. „Od Apeninów do Andów". Kijów. Nakładem L. Idzikowskiego. 1916.

Stanisław Sierosławski. „Dwa czyny Henryka Sienkiewicza". Moskwa. Skład główny w księgarni „Gazety Polskiej". 1916.

Michał Bron. „Konstytucya trzeciego maja". Wspomnienie w 125-ą rocznicę. Moskwa. 1916. Cena 10 kop.

„Polskie pieśni narodowe", opracował J. R. Wydanie 2-gie, przejrzane i uzupełnione. Kijów. Księgarnia Narcyza Gieryna. Rok 1916. Czcionkami „Drukarni Polskiej". Cena kop. 15, na lepszym papierze kop. 20.

„Miasto świętego Jana".—Zeszyt zbiorowy. Wydawnictwo Zarządu Koła Literacko-artystycznego Domu Polskiego w Moskwie. Skład główny w Kięgarni Polskiej. Moskwa, Strietieński zauł. 2. 1916.

Tad. Uhma. „Henryk Sienkiewicz, szkic krytyczny w 70-letnią rocznicę urodzin H. S." Kijów. Nakładem L. Idzikowskiego. 1916.

„Dzieciom polskim. Pol. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny. Petrograd. 1915.

„Pożyczki ulgowe dla osób poszkodowanych z powodu wojny". Ubrali, spolszczyli i zaopatrzyli wyjaśnieniami Fr. Nowodworski i M. ks. Radziwił. Petrograd. 1916. Cena 40 kop.

OD REDAKCYI.

Dalszy ciąg pracy prof. ks. A. Woycickiego p. t. „Dzieje rozwoju klasy robotniczej fabrycznej w Królestwie Polskiem" ukaże się w numerze następnym.

Administracya „Myśli Narodowej" podaje do wiadomości Szanownych współpracowników, że z powodu braku papieru nie może w przyszłości drukowac nadbitek i odbitek.

Pragnąc, aby pismo nasze stało się wyrazem polskiej myśli naukowej na obczyźnie podczas wielkiej zawieruchy dziejowej, zdołaliśmy w krótkim stosunkowo czasie skupić koło „Myśli Narodowej“ poważny poczet polskich sił naukowych. Do ostatnich czasów przyrzekli nam łaskawie współpracownictwo Pp.:

Prof. Baudouin de Courtenay, Dr. B. Bator, Dr. K. Chodynicki, Dyr. S. Cybulski, W. Dąbrowski, Dr. R. Dyboski, prof. Uniw. Jagiell., A. Drogoszewski, Dr. J. Flach, ks. prof. M. Godlewski, Wł. Grabski, L. hr. Grocholski, Dr. Wł. Günther, Dr. L. Jachno, Dr. St. Jasiukowicz, Dr. F. Kierski, J. Kożuchowski, Dr. A. Kropatsch, Dr. J. Kruszyński, J. Krzyżanowski, Dr. St. Kubala, J. Kurnatowski, B. Kutyłowski, R. Kwiatkowski, J. Lutostawski, prof. W. Lutosławski, Al. Łętowski, K. Mayzel, prof. K. Merczyng, inż. prof. H. Mianowski, Dr. M. Morelowski, Dr. W. Nakonieczny, Mec. Fr. Nowodworski, M. Pawlikowski, Dr. Z. Pazdro, prof. Polit. Lwowskiej, prof. L. Petrażycki, M. Piotrowski, prof. W. Porzeziński, St. Posner, prof. St. Ptaszycki, J. Ptaszycki, K. Pulaski, J. Raciborski, ks. dr. J. Radziszewski, Rektor Akademii duchownej Rz.-Kat. E. Starczewski, dyr. A. Sznuk, Dr. Wł. Szumowski, doc. Uniw., Lwów. Dr. M. Treter, Dr. H. Ułaszyn, Z. Wasilewski, B. Wasiutyński, prof. E. Waskowski, inż. St. Widomski, Ks. prof. A. Wóycicki, A. Zakrzewski, Z. L. Zaleski, Dr. M. Zdziechowski, prof. Uniw. Jagiell, prof. T. Zieliński, Dr. Z. Ziembiński.

KOMITET REDAKCYJNY.

Dr. Piotr. Bańkowski, Klemens Jędrzejewski, P. Wacław Kryński, Dr. Bohdan Winiarski.

Wydawca: **Dr. Bohdan Winiarski.**
Redaktor **Dr. Piotr Bańkowski.**

Druk Wł. Lesmana, Petrograd, 2 Rożdestw. 14.